

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 13 920
indeks 211060
#153 12/2018



ISSN 1895-4960
9 771895 496803

Jestę Celebrytą!

JAK **ANTYCELEBRYTYZM** ZMIENIŁ POLSKĘ

Piotr **Lisiewicz**

Grzegorz **Wierchołowski**

Marcin **Wolski**

eprasa.pl 69e64b4a2d



Spis treści

▶ TEMAT NUMERU

- Piotr Lisiewicz
Jestę celebrytą! 4
 Jak antycelebrytyzm zmienił Polskę
 Grzegorz Wierzchołowski
Celebrycki dom bez klamek 8
 Ryszard Czarnecki
Antypisowscy trendsetterzy i posłuszni celebryci... 11

- Maciej Marosz
Spadkobiercy komuny bronią demokracji 12

▶ IDEE

- Małgorzata Matuszak
Nieświęte święta 16
 Ewa Polak-Palkiewicz
Nasz największy sojusznik 20
 Kaja Bogomilska
Święty Patron Polski 22

▶ HISTORIA

- Piotr Lisiewicz
Szpicle i katy na kolonijnych wakacjach 26
 Magdalena Złotnicka
Koziołek, Przemysł i Zakopane 32
 Dariusz Jaroński
Gietrzwałdzkie refleksje. Część 2 38
 Agnieszka Kowalczyk
Zabita tożsamość 44
 Ewa Polak-Palkiewicz
Krawiec z Gloster, czyli tajemnica rękodzieła 50

- Wiktor Weintraub
Mickiewicz między Marksem a Stalinem 56
 Ignacy Daszyński
Czy socjaliści mogą uznać „dyktaturę proletariatu”? 59

▶ KULTURA

- Jakub Augustyn Maciejewski
Stolice planów pięcioletnich 62
 Olga Doleśniak-Harczuk
Diwa, diablica i elf mistrza Strindberga 68
 Krzysztof Karnkowski
Naćpani od słów 74

▶ ŚWIAT

- Maciej Kożuszek
Brexit, czyli kim jesteśmy 78
 Stefan Czerniecki
Polacy! Dziękujemy, że jesteście 84
 Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92
 Hanna Shen
W co gra prezydent Korei Południowej 96

Stale rubryki

- Katarzyna Gójska
Pedagogika wystudy ukształtowała celebrytów 3
NA POCZĄTEK
 Marcin Wolski
Celebrytany 15
PAPKULTURA
 Małgorzata Matuszak
Czym jest... kolęda 24
KATECHIZM INTELIGENTA
 Łukasz Jankowski
Sukcesja, czyli ciągłość działania firmy 61
SŁOWEM O GOSPODARCE
 Marek Kalinowski
Wyjątkowy prezent 67
DO GRAJĄCEJ SZAFY...
 Ryszard Czarnecki
Pocztówka z Pekinu 83
CZARNECKO TO WIDZĘ
 Olga Doleśniak-Harczuk
Żelazo i aksamit 94
Z GLOBALNEGO TYGŁA
 Tomasz Sakiewicz
Dlaczego Rosja jest coraz bardziej agresywna 99
OSTATNIE SŁOWO



Nieświęte święta / 16



Szpicle i katy na kolonijnych wakacjach / 26



Stolice planów pięcioletnich / 62



Brexit, czyli kim jesteśmy / 78

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
 POLSKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
 wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
 REDAKCJA
 02-056 Warszawa
 ul. Filtrowa 63/43
 e-mail: redakcja@niezalezna.pl
 www.panstwo.net

ZESPÓŁ
 Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jaroński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
 Martyna Hajdo-Trolińska
 DYREKTOR WYDAWNICZY
 Tomasz Sakiewicz
 PROJEKT GRAFICZNY
 Mariusz Troliński
 DTP
 Aleksander Razwarkow
 KOREKTA
 Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE
 tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
 prenumerata@rejtan.org
 NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
 4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.
 Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
 ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Pedagogika wstydu ukształtowała celebrytów

Czy zastanawiali się Państwo, jak wygląda Polska w najsłynniejszych obrazach współczesnego rodzimego kina? Odpowiem – jak wspólnota wykolejeńców nienawidzących innych oraz lepszych od siebie.

Od trzech lat tydzień bez celebryty, który ogłasza, iż boi się wyjść na ulicę, albo drży o przyszłość Polski pętanej więzami faszyzmu, albo – jeszcze lepiej – nie spodziewał się, iż dożyje czasu powrotu PRL (to kwestie starszych), to tydzień stracony. Być może należy sporządzić rejestr wszystkich okropieństw, zniewoleń, o jakich prawią lokalne znane twarze. Aż dziw bierze, że ci ludzie jeszcze nie zwariowali, żyjąc w tak dramatycznym momencie historii. Piotr Lisiewicz stawia taką tezę: zaczął się czas antycelebryctwa, czyli powszechnej – szczególnie wśród młodego pokolenia – beki z gwiazd i gwiazdeczek, które przez całe lata były sprzedawane gawiedzi również jako tuzy intelektu. Po części ma rację. Widzę to po nastoletnich dzieciach. Z drugiej strony jest ciągle ogromna przestrzeń społeczna, na którą wpływ osobistości znanych z portali plotkarskich jest bardzo silny. To prawda, że wypowiedzi gwiazd, choćby o demokracji, historii czy praworządności, rozłożone na czynniki pierwsze to bardzo często bełkot niepozwalający wycisnąć z niego ani kropli sensu. Ale dzisiejsza rzeczywistość medialna, w której rządzą przede wszystkim obrazy i emocje, pozwala z osłuchanego nazwiska zrobić autorytet niemal od wszystkiego i to bez względu na wartość wypowiedzi. W najnowszym numerze opisujemy postawę większości celebryckiego świata po ostatnich wyborach parlamentarnych. Patrzymy na obraz Polski, jaki wylania się z ich opisu. Nie chodzi nam jednak o polityczne sympatie. Nie o to, że gwiazdorski świat na samą nazwę „Prawo i Sprawiedliwość” reaguje histeryczną agresją – ludzie mają prawo do różnych poglądów politycznych. Sęk w tym, iż ci kreowani na idoli zdają się po prostu nie cierpieć zarówno swojego państwa, jak i swojego narodu. Czy zastanawiali się Państwo, jak wygląda Polska w najsłynniejszych obrazach współczesnego rodzimego kina? Odpowiem – jak wspólnota wykolejeńców nienawidzących innych oraz lepszych od siebie. Jesteśmy pijakami, patologią społeczną, łapownikami, zakutymi łbami, antysemitami, zwyrolami, hipokrytami.

A przecież ostatni wiek naszych losów obfituje w postaci nie tylko wybitne poprzez swoje dokonania, lecz także o niezwykłych biografiami – niemal jak gotowe scenariusze filmowe. Jak to jest, że Amerykanie potrafią pięknie opowiadać o swojej historii, a polskie kino chwytą się wyłącznie kontrowersji, dodatkowo je zresztą zniekształcając? Wydaje się, iż źródeł tego zjawiska należy szukać w postkomunistycznej pedagogice wstydu, którą wytresowani zostali przede

DZISIEJSZA RZECZYWISTOŚĆ MEDIALNA,
W KTÓREJ RZĄDZĄ PRZEDZ WSZYSTKIM OBRAZY
I EMOCJE, POZWALA Z OSŁUCHANEGO NAZWISKA
ZROBIĆ AUTORYTET NIEMAL OD WSZYSTKIEGO
I TO BEZ WZGLĘDU NA WARTOŚĆ WYPowiedzi.

wszystkim właśnie przedstawiciele artystycznego świata. To zresztą dość logiczne – wszak to oni nieśli w lud przesłanie o tym, iż powinniśmy się ukorzyć, przepraszać, przyjąć współwinę za zbrodnie czy to wojenne, czy powojenne. Tego oczekiwali od nich sponsorzy, a za brak pozytywnej odpowiedzi groziło wykluczenie – wypadnięcie z branży. Proszę zwrócić uwagę, iż jedyną postacią, która doczekała się wielkiej filmowej monografii, jest Lech Wałęsa. Człowiek dogłębnie uwikłany w utrzymanie Polski w postkomunizmie. Gloryfikacja tej postaci jest wszak wskazaniem, iż ubabranie w bezpieczeństwo, wspieranie interesów Moskwy w RP nie przekreśla. Wręcz przeciwnie.

A na koniec zapowiedź – w kolejnym numerze ogłosimy laureatów Nagrody im. Grzegorza Wielkiego. Dyskusja redakcyjna jeszcze trwa i nie jest wykluczone, iż – wyjątkowo – wyróżnienie otrzyma więcej niż jedna osoba. Ale o tym za miesiąc. ■



Piotr Lisiewicz

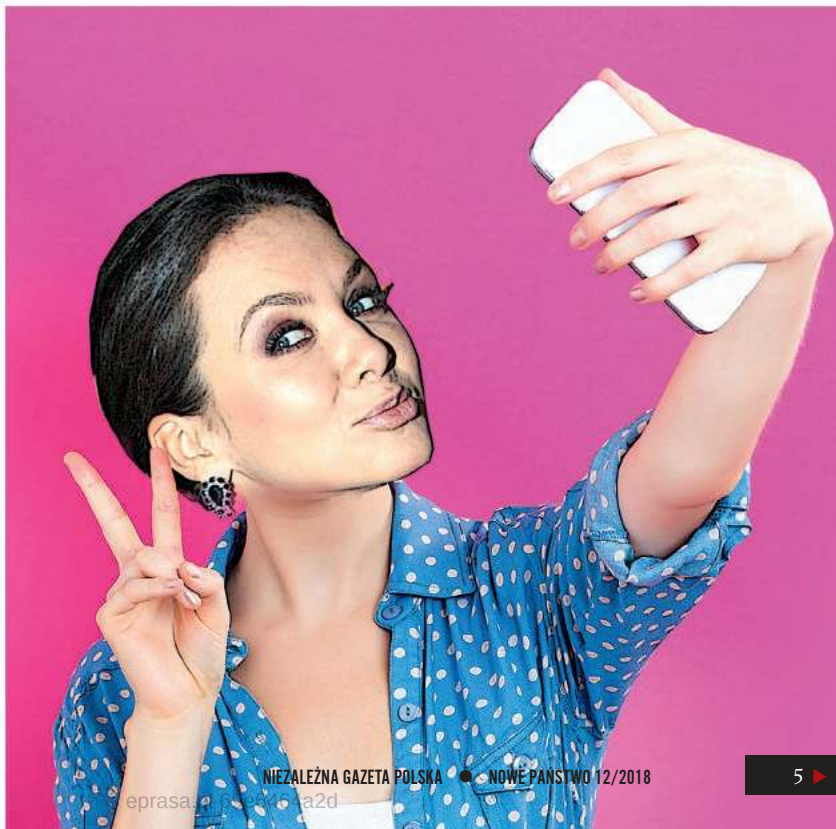
Jestę celebrytą!

JAK ANTyceleBRYTYZM ZMIENIŁ POLSKĘ

Antycelebrytyzm to jedno z najważniejszych zjawisk, które zmieniły Polskę w ostatnich latach. Żarty młodych patriotów i konserwatystów z głupoty celebrytów rozbiły narrację „Gazety Wyborczej” z lat 90., w myśl której jej środowisko górowało intelektualnie nad resztą świata. Przekaz, w którym można być jednocześnie subtelnym intelektualistą i gwiazdą Pudelka, okazał się w czasach mediów społecznościowych nie do obronienia. Tymczasem oni nie potrafili zrezygnować ani z jednego, ani z drugiego. W efekcie stracili to pierwsze, czyli status intelektualistów. A jednocześnie osłabili to drugie, czyli wpływ celebrytów na zwykłych Polaków.

Ilustracja na podstawie zdjęć: Fotolia (4), Stach Leszczyński/PAP(2), Gregor Fischer/PAP, Euan Cherry/PAP





Teatr Jandy bez pieniędzy z rządu – słuchaj, człowieku./ Z czego ma się on utrzymać? Serio? Z biletów?/ Lis bez pracy, gdzieś tam siedzi w Onecie./ A wille opłacać trzeba. No wiecie przecież – kpi z celebrytów w utworze „Jestę celebrytę” raper Evtis, czyli narodowiec Mariusz Chojnacki z Poznania.

► Kup kubek „Jestę celebrytę”

W internecie można kupić już kubki z hasłem „Jestę celebrytę”. Evtis nie uznaje autocenzury i ani odrobinę nie boi się oskarżeń, że jego poglądy sprzyjają temu czy innemu. I parodiuje przekaz celebrytów z Pudelka: „Bo wolności trzeba bronić, a Kaczafi ją zabiera./ Mam nadzieję, że na pomoc z wojskiem przybędzie Angela./ Europa umiera? Co za bzdury./ Muzułmanie wypełnią demograficzne dziury!./ Kornik w Polsce dobry, nie należy drzew wycinać./ Tak się martwię, jak ta nasza zatrokana Kinia./ U sąsiada kornik zły, tam wycinaka to jest racja./ Oj tam, oj tam, wszyscy głośno konstytucja! Demokracja!”.

Raper za nic ma także poglądy, które poprzez celebrytów narzucane są ogłupianym Polakom: „Jeszcze jedna koleżanka, ta co małe ma mieszkanie./ Dla niej normą jest skrobanka, nic dziwnego, drogie panie!./ Po co rodzić? Ciasno w domu, usunąć sobie wolę!./ Ale apeluję razem z nią: adoptujcie pszczołę!”.

Narodowiec Evtis specjalizuje się w szydzeniu z celebrytów, ale akurat w tej sprawie scena hip-hopowa od prawa do lewa, rzecz jasna z wyjątkiem ewidentnych hip-hopowych celebrytów, wydaje się dość zgodna. Nie ma większego obciachu od celebryty. Niekoniecznie ze względu na jego poglądy, lecz dlatego, że jest on medialną wymuszką, kimś, kto jest znany z tego, że jest znany. Niechęć do celebrytów łączy ludzi niezależnych ponad ideologiami. Jest wyznacznikiem elementarnej inteligencji, rozumienia świata dookoła.

► Zwolennicy PiS żartują, zwolennicy PO milczą

Celebryci to temat, o którym poważni publicyści nie rozmawiają. No bo jak rozmawiasz, to sam się stajesz częścią celebryckiego show. Tak to się kręci. No a jeśli już dojdzie na gruncie prywatnym, w jakimś mieszanym politycznie towarzystwie, do dyskusji o celebrytach? Wtedy rozmowy wyglądają tak, że po stronie zwolenników PiS i reszty prawicy żarty z celebrytów są czymś oczywistym. Paradoksalnie, podobnie jest po stronie lewicy z okolic Partii Razem

czy Federacji Anarchistycznej. Adrian Zandberg szydził z celebrytyzmu na portalu Gazeta.pl: „Ten ciągły konkurs na lidera to prezent dla Kaczyńskiego. PiS mówi o tym, jakiej chce Polski, a potem wciela to w życie. Reszta sceny politycznej stara się w tym czasie jak najlepiej obsłużyć oczekiwania publicystów. Ta licytacja skończyła się już marnie dla kilku kandydatów na zbawcę narodu. Najpierw kazano kochać Mateusza Kijowskiego. Potem do roli zbawcy przymerzali się Ryszard Petru i Władysław Frasyniuk. Teraz znów trwa rozpaczliwe poszukiwanie celebryty, któremu można by zmontować jakiś kolejny ruch poparcia”. A zwolennicy PO? Milczą lub wzruszają ramionami. Nie ma co o tym rozmawiać. Jesteśmy ponad to. No ale skoro jesteśmy ponadto, to jednak milcząco przyznajemy, że to jest głupie. Czyli nasza propaganda jest głupia. A to już niedobrze.

**NARODOWIEC EVTIS SPECJALIZUJE SIĘ
W SZYDZENIU Z CELEBRYTÓW, ALE AKURAT
W TEJ SPRAWIE SCENA HIP-HOPOWA OD
PRAWA DO LEWA, RZECZ JASNA Z WYJĄTKIEM
EWIDENTNYCH HIP-HOPOWYCH CELEBRYTÓW,
WYDAJE SIĘ DOŚĆ ZGODNA.**

No więc powiem oczywiście, ale rzadko wypowiadaną. Zapomnijmy o wersji, zgodnie z którą celebrytstwo to tylko środek odμόdźdzający dla Polaków, w którym biorą udział odμόdźdzone gwiazdy. To wszystko prawda, ale dalece niecała. Ten spektakl ma reżyserów, którzy używają celebrytów jako narzędzia do panowania nad zwykłymi Polakami.

To jest przemysł, w którym nie przypadkiem obok postaci, których fizjonomie nie zdradzają śladu myśli na twarzy, pojawiają się dziennikarze polityczni jak Justyna Pochanke, Kinga Rusin, Monika Olejnik, Beata Tadla, Agata Młynarska, Tomasz Lis czy Piotr Kraśko. Portale plotkarskie służą poszerzaniu ich siły rażenia, gdy chodzi o polityczną propagandę. Polubiliśmy kogoś, bo biega, skacze, przeżywa romanse albo się odchudza? To i chętniej mamy posłuchać go, gdy mówi nam, na kogo głosować. No może nie aż tak daleko – raczej gdy straszy, na kogo nie głosować na pewno!

► Jak aktorzy „Kleru” zostali celebrytami

Nie przypadkiem gwiazdami portali plotkarskich są w ostatnich miesiącach aktorzy z filmu „Kler”. Newsy z ich udziałem stały się takie by – w zamysle reżysera – były dobrze odbierane przez gospodynie domowe. Ale nie tak, by aktor z filmu „Kler” był tylko „jednym z nas”, lecz także wymarzoną księciem z bajki. Tytuł newsa na Pudełku był sympatyczny: „Zafrapowany Jacek Braciak myszkuje po bazarku. Zaopatruje Agatę Buzek w świeże jarzyny?”. Ale dalej jest już po trosze księciem: „Braciak obdarował podobno swoją lubą dwoma obrazami wartymi kilkanaście tysięcy złotych, a także wspiera ją w codziennych obowiązkach, wychodząc na przykład na spacer z jej ukochanym pieszkiem. Paparazzi ponownie przylapali aktora w ostatni «czarny piątek». Gwiazdor »Kleru« postanowił świętować amerykańskie święto konsumpcjonizmu w dość nietypowym miejscu, a mianowicie na osiedlowym bazarku. Braciak bardzo dokładnie przebierał w jarzynach, wdając się w emocjonalne dyskusje ze sklepikarzami, czerpiąc z tego zauważalną satysfakcję”.

Od początku prezydentury Andrzeja Dudy analizuję w rubryce „Zyziu na koniu Hyziu” w „Gazecie Polskiej”, jak na plotkarskich portalach zmienia się wizerunek Pierwszej Damy. To jest tak przewidywalne, że nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Gdy prezydent realizował swój program do spółki z PiS, był wyśmiewanym Adrianem, a i jego żona okazała się popełniać zupełnie niepolityczne faux pas. Po prostu mało obyta i mało elegancka. Gdy tylko prezydent zawetował reformę wymiaru sprawiedliwości, kreacje Pierwszej Damy okazały się wzorem elegancji, a ona sama kobietą wyjątkowej klasy. Natomiast ostatnie zdecydowanie lepsze decyzje prezydenta spowodowały, że Pudelek.pl, Pomponik.pl, Party.pl, Plotek.pl i Viva.pl zgodnie doszły do wniosku (za tygodnikiem Tomasa Lisa), że Pierwsza Dama „bywa naprawdę kapryśna”, ponadto jest „apodyktyczna i trudna we współpracy” oraz „ma opinię humorzastę”.

► Dziewczyny piłkarzy odgrzewają celebrytizm

Nie przypadkiem „hejt” na celebrytów rozkręcił się po nieudanym występie Polaków na Mundialu. Zderzyły się bowiem dwa światy. Establishment, który w ramach wspierania Donalda Tuska gnoił złych kiboli, z piłkarzami, którzy sami być może zachowywaliby się rozsądnie, jednak

znaleźli sobie niezbyt mądre żony i dziewczyny. A im zachciało się brylować na Pudełkach. „Może na profilach żon piłkarzy nie byłoby hejtu gdyby zajęły się swoim życiem a nie próbowały się wybić na mężach. To ciągłe łażenie na mecze o których nie mają pojęcia, szpileczki, fryzurki, posty motywacyjne” – ten wpis (pisownia oryginalna) jednego z internautów cytowały zwalczające hejt media.

To nie jest tak, że świat celebrytów ma dziś decydujący wpływ na polską politykę, lecz jednak odgrywa pewną rolę. Szczytem sukcesu zarządzania Polską przy użyciu celebrytów były czasy prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego. Internet dopiero się zaczynał, a w owym przemyśle prym wiodły czasopisma kobiece. To one uczyniły z Jolanty Kwaśniewskiej boginią, a manipulacja była tak skuteczna, że gorliwie katoliczki czytające kobiecą prasę zachwycaly się... pobożnością Jolanty Kwaśniewskiej, modlącej się w prezydenckiej kaplicy.

Co da się z tym zrobić? Mam okazję brać udział w kilku medialnych pomysłach, które podważyły pozycję celebrytów. Gdy w „Kulisach manipulacji” razem z redaktorem naczelną „Nowego Państwa” Katarzyną Gójską zaczynaliśmy w 2013 roku pokazywać manipulacje mediów, bardzo szybko się okazało, że żarty z celebrytów są wyjątkowo dobrze odbierane przez widzów. Po nas prawdę tę odkryły portale takie jak Niezalezna.pl czy wPolityce.pl. Popularność antycelebrytyzmu stawała się niekiedy wprost proporcjonalna do... celebrytyzmu.

► Konserwatywni celebryci?

Z kolei mój program „Wywiad z chuliganem” jest próbą pokazania antycelebrytów. Ludzi, którzy naprawdę coś mocnego przeżyli, naprawdę się buntowali, naprawdę ryzykowali. Nierzadko więc mają oni te cechy, które komercyjny ściek przypisuje... celebrytom.

Ale to nie znaczy, że pojawiający się od czasu do czasu pomysł, by kreować naszych, konserwatywnych celebrytów, nadawał się wprost do zastosowania. To nie jest takie proste, bo celebrytizm w wielu momentach popada w konflikt z konserwatywnymi wartościami. Nie każdy zgodziłby się jak Tomasz Lis, by jego córki zostały celebrytkami w wieku kilkunastu lat. Wielu z nas najzwyczajniej bałoby się, że ryzyko, iż dziecku to zaszkodzi, jest zbyt duże. Konserwatywny celebryta z definicji musi być częściowo antycelebrytą. Warto przyjrzeć się, jak w Ameryce funkcjonują Clint Eastwood, Chuck Norris, Mike Tyson czy Arnold Schwarzenegger. ■



Grzegorz Wierchołowski



CELEBRYCKI dom bez klamek

Najbardziej zaangażowani politycznie polscy celebryci – niezależnie od tego, czy chodzi o aktorów, modelki czy prezenterki telewizyjne – lubią wypowiadać się na każdy temat. Co więcej, chcą, by ich słowa traktowano bardzo poważnie. Gdyby jednak politolog faktycznie wziął serio ich wypowiedzi z ostatnich trzech lat, to musiałby uznać Polskę za skrzyżowanie III Rzeszy z Państwem Islamskim.



Pod koniec listopada tego roku gościem programu Jarosława Kuźniara „Onet rano” była aktorka Krystyna Janda. Mówiła oczywiście nie o kulturze, lecz o bieżących wydarzeniach politycznych w kraju. Zaliła się, że ostatnie dwa lata były dla niej bardzo trudne. Z uwagi, rzecz jasna, na rządy Prawa i Sprawiedliwości. Wyznała wreszcie: „Dla mnie to jest tak traumatyczne przeżycie te ostatnie dwa lata, to jest tak ciężkie doświadczenie. Ja zapadłam na zdrowiu i na umyśle”.

► Wojna, faszyzm, kalifat

Doświadczenie, o którym wspomniała Janda, nie jest zapewne obce innym „antypisowskim” aktorom i celebrytom – ale na dyrektorce artystycznej Teatru „Polonia” odbiło się wyjątkowo dotkliwie.

Jeszcze w 2016 roku aktorka próbowała szukać przed PiS-em obrony w Bogu i Kościele. „Marsz Narodowców! Jezus Maria, będzie wojna! Chroń nas, Boże!” – pisała przed 11 listopada na Facebooku, mnożąc wykrzykniki. Porównując zaś sytuację w Polsce do PRL (a KOD do „Solidarności”), narzekała: „Ale przede wszystkim dla mnie to najgorsze, że gdy był Sierpień, to byłam na Wybrzeżu. Wiedziałam, co się dzieje. Nie ma w ogóle Kościoła tutaj! To jest podstawowa różnica! Każdy dzień strajku zaczynał się od mszy. A tu ani razu... A byłam pewna, że przed każdym marszem KOD odbędzie się msza święta i znajdzie się ksiądz, który będzie chciał czynić posługę ludziom, którzy inaczej oceniają rzeczywistość. Nie znalazł się żaden ksiądz, to jest nieprawdopodobne!”.

W 2017 roku jako gość Centrum Premier na Czerskiej Krystyna Janda nie widziała już żadnej nadziei: „Czytałam tyle książek o dwudziestoleciu międzywojennym. W mojej rodzinie były sympatie endeckie, rodzina była podzielona. [...] To było piekło, w wielu dziedzinach. I dzisiaj nagle pomyślałam, że przecież dziś jest tak samo, czyli my Polacy zawsze byliśmy tacy sami. Teraz te nastroje po prostu się odrodziły, nagle ktoś pozwolił, żeby to stało się normą, żeby ludzie, którzy tak myślą, mieli odwagę powiedzieć to głośno. Rodzi się faszystowska Polska, w której nie spodziewałam się, że przyjdzie mi żyć”.

Podobny ogląd sytuacji ma kolega Jandy po fachu – Jerzy Stuhr. „Historia, szybciej niż się spodziewaliśmy, zaczęła zataczać koło. To przerażające, że w tak krótkim czasie od wojny zaczyna się odradzać nacjonalizm, faszyzm. [...] Ale w Polsce zdarzają się rzeczy nieprzewidywalne. Na minus i na plus. Na minus było ostatnio wiele rzeczy, więc może coś zmieni się na plus. Liczę na polską nieprzewidywalność. Sierpień 1980 też nas wszystkich pozytywnie zaskoczył” – powiedział artysta w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”.

Nieco inaczej scharakteryzowała „reżim” panujący w Polsce Renata Dancewicz, aktorka znana z takich filmów i seriali, jak „Pułkownik Kwiatkowski”, „Ekstrady-

cja”, „Kryminalni” oraz „Prawo Agaty”. Komentując w „Fakcie” projekt ustawy antyaborcyjnej, oceniła: „Nie trzeba być feministką, żeby coś takiego uznać za rzecz skrajnie nieprzyzwoitą, niegodną, niehumanitarną oraz niechrześcijańską. Nie widzę w tej chwili różnicy między kalifatem islamskim a Polską”.

► Czarami w Piotrowicz

Znanym krytykiem obecnej władzy w Polsce jest też reżyserka Agnieszka Holland. W jej opinii PiS „buduje wizunek zakapiornego, parafaszystowskiego kraju”, a Jarosław Kaczyński jest „dyktatorem”. Reżyserka była też oburzona pokazaniem w popularnych telewizyjnych „Plastusiach” figurki Franciszka Jagielskiego „Farmazona”, którą wzięła za Żyda. „Fakt, że TVP hańbi się pokazywaniem czegoś takiego, świadczy o tym, że ta telewizja jest już na granicy faszyzmu. [...] To jest karmienie faszola [...] wszystkie te figurki są tak ulepione, że można znaleźć odpowiedniki karykatur ze »Stürmera« – grzmiała w rozmowie z Tomaszem Lisem.

Ale to nic w porównaniu z tym, czego dowiedzieliśmy się w lipcu 2018 roku z wymiany zdań między Holland a inną „intelektualistką” walczącą z PiS, czyli pisarką Marią Nurowską. Otóż ta druga postanowiła wziąć na cel Stanisława Piotrowicza, szefa sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka, przed którą procedowano nowelizację ustaw sądowych. Nurowska napisała na Facebooku: „Stało się, zrobiłam laleczkę prokuratura Piotrowicza i wbijam w nią szpilki. Jego dni są policzone...” Na osobliwy pomysł Nurowskiej zareagowała właśnie Holland, odpisując: „Marysiu, ja to zrobiłam w młodości 2 razy, za każdym razem ze skutkiem śmiertelnym. Obiecałam sobie i mojej córce, że już nigdy żadnego voo-doo nie wykonam. Jestem przeciwna karze śmierci!”.

Nurowska nie dała się jednak przekonać: „[Piotrowicz] jest bardzo skuteczny, to, co on wyprawia w komisji sprawiedliwości, nie ma na to określenia. Poza panną Wassermann nikt z nich nie jest tak bezczelny, a przez to skuteczny. Więc ja jestem za laleczką voo-doo, nie musi od razu zabijać, wystarczy mały wylew i paraliż”.

Czarom w wykonaniu Holland i Nurowskiej mogą się tylko równać teorie aktora Krzysztofa Pieczyńskiego, jednego z sygnatariuszy listu otwartego z 2016 roku. W piśmie tym stwierdza się, że „nadeszła chwila, by wypowiedzieć posłuszeństwo tej władzy” (apel podpisali m.in. Lech Wałęsa, Władysław Frasyniuk i Mateusz Kijowski). Zdaniem Pieczyńskiego „PiS to zbrojne ramię Kościoła katolickiego”. A Kościół według aktora „wypełnił Polskę siecią ośrodków, które dzień i noc zajmują się indoktrynacją. Stworzył w ten sposób pole energii, które go żywi”. Poza tym – twierdzi bojownik o demokrację – Kościół zamordował rękoma 9 milionów kobiet w polowaniu na czarownicę. I to dlatego, że „czarownica latała na miotle, to jest tak naprawdę falliczny podtekst. To jest prowoka-

cja. I ta prowokacja, to była prowokacja meduzy, która widzi na wskroś człowieka. Czyli czarownice widziały wskroś słabość mężczyzn, którzy przykryli się pod pozorami pobożności, tak naprawdę ukryli swoją niekończącą się erekcję”.

► Stuhr i Cielecka cierpią za „miliony”

Skoro PiS to „wojna”, „faszyzm” i „zbrojne ramię Kościoła”, życiu ludzi w Polsce – także celebrytów – musi towarzyszyć strach. W kwietniu 2016 roku aktor Jacek Poniedziałek opowiadał w programie Tomasza Lisa: „W tym roku na Wielkanoc nie wszedłem do kościoła. Obawiałem się spojrzeń i komentarzy tych ludzi. [...] Nigdy na ulicy nie czułem takiego lęku jak dzisiaj, na przykład przechodząc koło kościoła”. Gość byłego celebryty medialnego rozwodził się nad „duszną” atmosferą, którą wyczuwa w Polsce. „Obawiam się, że powoli stajemy się totalitarnym państwem, quasi-faszystowskim” – zaznaczał.

Także u Lisa, tyle że w „Newsweeku”, swoimi dramatycznymi przeżyciami w „pisowskiej” Polsce dzieliła się Magdalena Cielecka. Jak podkreśliła – wchodząc do tramwaju ze znaczkiem KOD, poczuła się „jak żydowskie dziecko podczas okupacji. Dziecko, które jest wystraszone i wie, że nie powinno w tym tramwaju być”. „Chciałabym po prostu żyć, korzystać z tego, na co zapracowałam, co mogę wziąć od świata i światu dać. O takiej wolności mówię. Ale boję się, że do mojego schronu w każdej chwili może ktoś przyjść i zapytać, z kim śpię” – wyznała.

Pojawiająca się z Cielecką na marszach KOD aktorka Maja Ostaszewska także cierpi z powodu lęku. W rozmowie z portalem przeambitni.pl poskarżyła się: „Życie dzisiaj w Polsce jest trochę jak życie w patologicznej rodzinie, gdzie cały czas żyjemy w strachu i niepokoju, co się może wydarzyć”.

Otuchę w serca braci aktorskiej potrafił wlać jedynie Maciej Stuhr, który co rusz dzielnie walczy z wymagowaną cenzurą państwa PiS. „Kiedyś dzieci w polskich szkołach będą uczyły się, że rządy PiS w latach 2015–2017 były czymś najstraszniejszym, co mogło się wydarzyć w Polsce na początku XXI wieku. [...] Dziś polityka po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat chce zaplanować, jak ma wyglądać sztuka. Władza myśli, że to się jej uda, choć żadnej władzy nie wyszło. Nawet Stalinowi czy Hitlerowi [...] Z tego, co słyszałem, do końca roku PISF ma zostać »zaorany« przez obecną władzę [...]. Jest bardzo prawdopodobne, że filmy z Maciejem Stuhrem będą miały dużo mniejsze szanse, o ile będzie w nich grał Maciej Stuhr. Niech mnie odsuną. Robię to, co czuję” – zarzekł się Stuhr w 2017 roku. Od tego czasu ani Polski Instytut Sztuki Filmowej nie został „zaorany”, ani aktor nie został odsunięty od grania.

Ale choć Maciej Stuhr nie stracił pracy, to tragedia ta spotkała „miliony Polaków”. Tak przynajmniej zapew-

niał w programie Elizy Michalik Piotr Zelt – aktor znany m.in. z „13 Posterunku”, jak i z udziału w takich programach jak „Gwiazdy tańczą na lodzie” czy „Taniec z gwiazdami”. Gdy dziennikarka rzuciła, że PiS „czyści [posady] z ludzi PO-PSL – albo tych, których uważa za ludzi PO-PSL – na niespotykaną dotąd skalę”, Zelt odpowiedział: „To jest przerażające, to są tysiące, setki tysięcy, być może miliony w skali kraju. Być może nikt tego nie policzył”.

► Klerykalny reżim wybił dropie

Z walki z pisowskim „reżimem” znane są też prezentka Kinga Rusin i modelka Anja Rubik – obecnie gwiazdy Instagrama. Ta ostatnia wystosowała rok temu w mediach społecznościowych przesłanie do mieszkańców Berlina dotyczące sytuacji w Rzeczypospolitej. „Polska stacza się w ramiona skrajnie prawicowego, nacjonalistycznego i autorytarnego reżimu. Oznacza to, że w Polsce, jednym z krajów Unii Europejskiej, prawa słabszych oraz mniejszości nie będą już chronione. Każdy, kto stanie na drodze klerykalnego, agresywnego reżimu, będzie w tym starciu bez szans. To straszna wiadomość dla milionów polskich kobiet, a także mniejszości seksualnych, religijnych czy narodowych. To zamach na polską kulturę i wolne media. To zabicie wolności w narodzie, który tak wiele poświęcił, by ją odzyskać” – lamentowała Rubik.

Modelka zaangażowała się także w ekologię; na niedawnej manifestacji przeciw hodowli na futra trzymała tabliczkę „Gdzie ta dobra zmiana dla zwierząt?”. Ale internauci szybko zwrócili uwagę, że Rubik jest przecież twarzą marki Saint Laurent, która w swoim asortymencie posiada ubrania, buty, torebki i inne dodatki wykonane z... naturalnej skóry. A kosmetyki Yves Saint Laurent są testowane na zwierzętach.

Zbrodniczą rękę PiS w dziedzinie środowiska widzi też wszędzie Rusin. Jej głośna wyprawa do lasu na Mazurach, podczas której natrafiła na tartak – i stwierdziła, że to dowód na tzw. Lex Szyszko – szybko stała się pośmiewiskiem. Zwłaszcza że Rusin nie omieszczała do tekstu dołączyć zdjęć, na których ze smutną miną czule obejmuje składowane w tartaku pnie drzew. Innym razem przekonywała, że „taka dewastacja [lasów] nie występowała nawet w czasie okupacji hitlerowskiej”.

Ostatnio zaś – odbierając statuetkę „Osobowość roku” portalu plejada.pl – celebrytka w mocno patetycznym wystąpieniu oskarżyła Polski Związek Łowiecki o mordowanie zwierząt. Powiedziała m.in., że „dramatycznie spada populacja ptaków, cały czas na liście ptaków łownych znajdują się dropie, cietrzewie i bataliony”. Ignorancję Rusin błyskawicznie obnażono w sieci, przypominając, że cietrzewie są pod ścisłą ochroną od prawie 25 lat (chronione są nie tylko one, lecz także miejsca, w których żerują, zimują i zakładają gniazda), bataliony są pod ochroną od ponad 25 lat, natomiast dropie... wyginęły w Polsce w latach 80. ■



Ryszard Czarnecki

Antypisowscy trendsetterzy i posłuszni celebryci...

„Antypisizm”, choć intelektualnie ubogi, opłaca się tym, którzy występują pod jego sztandarem. Ich się promuje, dostają role, dotacje do filmów, zagraniczne stypendia dla twórców czy choćby możliwość obecności na różnego rodzaju festiwalach.

Moja koleżanka z klasy w liceum skończyła weterynarię i od potem pracowała w tym zawodzie. Przed laty była inicjatorką powołania specjalnego stowarzyszenia skupiającego weterynarzy zajmujących się „małymi” zwierzętami (pies, kot, chomik etc.) w odróżnieniu od zwierząt hodowlanych (koń, świnia itp.). „Od zawsze” była we władzach tego stowarzyszenia jako jego inicjator i współzałożyciel. Zdarzyło jej się parokrotnie na posiedzeniach zarządu czy kongresach przyznać, że na przykład głosowała na Andrzeja Dudę, jest za PiS-em, a jej szkolny kolega Czarnecki został niesłusznie odwołany tylko dlatego, że bronił Polski. Przyszły wybory w stowarzyszeniu, pierwsze „za PiS-u”. Antypisowska „spółdzielnia” wyciąga ją, nie chcąc pamiętać, że to ona wystąpiła z inicjatywą zorganizowania się środowiska.

Czemu o tym piszę? Bo identyczny ostracyzm, tyle że do sześcianu albo i potęgi „n-tej”, panuje w środowiskach artystycznych czy szerzej – celebryckich. Ba, weterynarz dalej będzie leczył koty, żółwie i kanarki, choć pewnie mu przykro, że z powodów czysto politycznych, na fali antypisizmu nie będzie już reprezentantem branży. Ale co ma zrobić aktor czy reżyser, który nie chce śpiewać w antykapitalistycznym chórze? Artysta żyje z zamówień. Oferta państwa dotyczy głównie okazjonalnych i epizodycznych występów z okazji rocznic narodowych. To może i dobre, ale jako uzupełnienie właściwych gaży i stawek. Tymczasem środowiskowi trendsetterzy jasno wytyczają antypisowskie drogowskazy. Polecam nawet nie tyle wyczytny słowny Kryształ Jandy czy Agnieszki Holland, bo forma i treść ich historii jest tak skrajna, że szereg osób zraża, lecz wywiady publikowane w „Gazecie Wyborczej” z różnymi tuzami (pisarzami, reżyserami, muzykami, aktorami). Ani – Boże, broń! – nie opowiadają się za PiS, ani nie bronią formacji Jarosława Kaczyńskiego, lecz rozpaczyliwie prezentują swoisty współczesny eskapizm, w ramach którego uciekają od ocen obecnej sytuacji politycznej w kraju. Jak im wtedy

„GW” dociska śrubę, aby wreszcie wydusili pół słowa o konstytucji czy rzekomo zagrożonej demokracji. Przekaz jest oczywisty: baczność, w lewo patrz! Bez żadnych tam herbertowsko-norwidowskich „światłocieni”. Oczywiście „antypisizm”, choć intelektualnie ubogi, opłaca się tym, którzy występują pod jego sztandarem. Ich się promuje, dostają role, dotacje do filmów, zagraniczne stypendia dla twórców czy choćby możliwość obecności na różnego rodzaju festiwalach. Jak cię tam nie ma – to wyraźnie nie istnieje. A jak nawet istniejesz, to raczej jest to vegetacja poza głównym nurtem. Opozycyjne media dopieszczają takich artystów – „obrońców konstytucji”, przekazując ich z redakcji do redakcji, aby „rekord medialny” był później argumentem przy kolejnym zatrudnieniu do filmu, możliwości wydania książki itp., itd.

Celebryci żyją w „bańce”, by użyć określenia nawróconego na antyestablishment Roberta Biedronia: oglądają TVN, słuchają TOK FM, czytają „Wyborczą”, surfują po necie (można tu postawić inne medialne tytuły). Przekonanie mniejszości, nieraz wyraźnej mniejszości, że jest się większością, siłą dominującą, a już za chwilę obejmie władzę polityczną, lecz rząd dusz mając już od dawna, jest proste pod warunkiem stworzenia zamkniętego obiegu medialnego. W niemieckim filmie „Good Bye, Lenin!” jest scena, gdy syn walczący o „dobro” matki (funkcjonariuszki komunistycznej partii w dawnej NRD), której ciężka wielomiesięczna choroba nie dała zorientować się, iż komuna już upadła, specjalnie montuje rzekome dzienniki telewizyjne, aby matka nie dowiedziała się, że Ericha Honeckera i wschodniomemieckiego komunizmu już dawno nie ma.

Mam wrażenie graniczące z pewnością, że w podobnym „wirtualu” żyje też spora grupa celebrytów („made in III RP”). Nawet jeśli wiedzą, iż w wyniku demokratycznych wyborów społeczeństwo pogoniło PO, to są święcie przekonani, że to tylko chwilowe, że to tylko przejściowe „usterki w programie”. I tak to się toczy...



Spadkobiercy komuny bronią demokracji

Maciej Marosz



Córka inspektora KC PZPR ciska gromy na władzę PiS, która ma nie respektować prawa i konstytucji; siostra sekretarza KW PZPR napomina rządzących, by przestrzegali zasad praworządności; a syn innego prominenta komunistycznego, wiceministra sprawiedliwości PRL z Frontu Jedności Narodu, protestuje wobec autorytaryzmu rządu. Co to za głosy? To celebryci na froncie walki o odsunięcie tych, którzy zagrażają staremu porządkowi, zaplanowanemu jeszcze przed upadkiem PRL.

Celebryci usiłują zareklamować się dziś jako przeciwnicy władzy PiS, jako ci, którzy są przerażeni pelzaniem Polski – w ich mniemaniu – w stronę państwa autorytarnego.

► Antypis i gender

Dorota Zawadzka, ekspertka i autorka programów TVN Style jako Superniania, daje w internecie upust swojej złości z powodu rządów PiS emocjonalnymi wpisami. Zamieszcza memy sztydzące z polityków partii rządzącej, chwaliła też prezydent stolicy Hannę Gronkiewicz-Waltz i jej urzędnik Ewę Gawor za zakaz Marszu Niepodległości, który określiła jako „marsz faszystów”. W czasie kampanii wyborczej nawoływała w stylu właściwym dla totalnej opozycji, by pójść do wyborów samorządowych i zagłosować przeciwko PiS. Namawiała, by postawić krzyżyk w miejscu, które „gwarantuje zjednoczenie, a nie podział. Wolność, a nie łamanie prawa”. Ogłosiła też pochwałę polityka, który podał, jak skutecznie można odsunąć od władzy formację rządzącą. Na słowa Barbary Nowackiej, że opozycja może wygrać z PiS, gdy skupi się wokół lewego skrzydła, Zawadzka stwierdziła, że to „bardzo mądra kobieta”. Innym razem promowała mem: „Za granicą myślą, że polski prezydent nazywa się Będziesz Siedział. A jego żona to Konstytucja”.

Zawadzka napisała też w odniesieniu do polskiego wierzącego „ciemnogrodu”, że w świetle znanych jej badań ateista „to osoba mniej autorytarna i słabiej ulegająca presji”, „bardziej tolerancyjna wobec innych, przestrzegająca prawa, mniej dogmatyczna i mniej uprzedzona, współczująca, sumienna, dobrze wykształcona i o wysokiej inteligencji”. Dorota Zawadzka wychowanie dzieci łączy z ideologią promującą odmienności seksualne. Wspiera akcje Kampanii Przeciw Homofobii, m.in. „Tęczowy piątek” czy „Ramię w ramię po równość”.

Przedstawiając się w sieci jako jedna z najbardziej zagorzałych obrończyni demokracji i konstytucji Zawadzka wywodzi się z komunistycznej rodziny. Jej ojciec Adam Piekarski był w latach PRL partyjną szczyhą – socjologiem od 1970 roku zatrudnionym w Komitecie Centralnym PZPR. Był inspektorem w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR. W latach 70. wyjeżdżał na zaproszenie Akademii Nauk Społecznych przy KC KPZR. Matka celebrytki, Eugenia, w PRL była dyrektorem liceum w Warszawie.

► Obrońcy konstytucji

Wielu celebrytów przedstawiających się jako obrońcy państwa prawa i praworządności oprócz uczestnictwa w demonstracjach antyrządowych angażuje się w akcje przeciwko reformowaniu wymiaru sprawiedliwości przez PiS. Część z nich wzięła udział

w akcji #WolneSądy prowadzonej przez znanych prawników. Inicjatywę współtworzą zawodowe prawniczkę – żona mecenas polityków PO – Maria Echart-Dubois czy żona znanego dziennikarza TVN Macieja Knapika – Paulina Kieszowska-Knapik.

Elicie prawniczej prowadzącej akcję #WolneSądy nie przeszkadza wulgarny język reklamujących ją osób. Z dumą prezentują udział w niej reżysera filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego, który klnąc i wymyślając historię, w której leje się krew, stara się przerazić internautów rządami PiS. „Wyobraź sobie taką oto sytuację. Znowu jesteś w szkole podstawowej. W klasie masz Adriana, którego nie lubisz. Pewnego dnia dochodzi między wami do przepychanek, pierwszej krwi [...] Adrian niefortunnie uderza potylicą w kant szafki. Leje się krew. Nakrywa was katecheta albo ksiądz. Ginią jakieś pieniądze. I sprawa robi się grubsza. Niefart jest taki, że dyrektorką szkoły jest mama Adriana. Nauczyciele, którzy będą również decydować o twoim losie, bardzo lubią swoją pracę, niektórzy boją się zwolnień. I teraz, jak myślisz? Kogo tego dnia wypier...ą ze szkoły? Adriana czy ciebie?”. Twórcy akcji #WolneSądy zachwyceni wypowiedzią Smarzowskiego podsumowują, że to „bardzo mocna metafora upolitycznienia sądów”. Wybierając go na twarz kampanii, nie zraziło ich, że reżyser jest synem PRL-owskiego sekretarza partii, Zygmunta Smarzowskiego, który w stanie wojennym piętnował publicznie protesty opozycji, nazywając je sianiem niepokoju przez chuliganerię. Inną twarzą tej samej akcji stała się feministka Agnieszka Graff, która przekonuje, że nikt dziś nie może pozostawać obojętny na polityczne sterowanie sądami i nominowanie sędziów. Dodała, że każdy powinien walczyć o niezależne sądy, bo one chronią obywateli przed opresją ze strony władzy. I w tym wypadku dla organizatorów kampanii bez znaczenia był fakt, że Graff – związana ze skrajną lewicą ideolog genderyzmu – wywodzi się z komunistycznej rodziny. Bratem jej dziadka był krwawy stalinowski prokurator Kazimierz Graff. W latach 50. pełnił funkcję zastępcy naczelnego prokuratora wojskowego. Jego żoną była Alicja Graff, również stalinowska prokurator, której podpis widnieje na dokumencie odnoszącym się do wykonania wyroku na gen. Augusta Fieldorfa-Nila.

Akcję #WolneSądy poparł również aktor Wiktor Zborowski. Artysta dał się też poznać jako uczestnik protestów w obronie Trybunału Konstytucyjnego i praworządności, pojawiając się z emblematem „Jestem gorszego sortu”. Grzmiał, że rządy PiS zagrażają wolności, a zwolenników tej partii przyrównał od czegoś paskudnego i obłego. Robił to bez zażenowania, choć w PRL należał do partii, a jego ojciec Adam Zbo-

rowski był wiceministrem sprawiedliwości PRL, chwalać jeszcze w latach 70. stalinowskie dekrety prawne. Oprócz tego Adam Zborowski należał do władz Stronnictwa Demokratycznego, a także do ORMO, TPPR oraz stołecznego komitetu Frontu Jedności Narodu. Również brat Adama, Tadeusz Zborowski, był w partii, w funkcji I sekretarza. Równocześnie zajmował stanowisko kierownicze w jednym ze śląskich szpitali i był członkiem plenum Komitetu Miejskiego PZPR w Ustroniu.

Akcja prawników zyskała także wizerunek dziennikarki Agaty Passent – córki Daniela Passenta. W kampanii #WolneSądy nakłaniała do zainteresowania się polityką wobec PiS-owskiej nawały. W dramatycznej wypowiedzi nagranej podczas demonstracji przeciwko reformom wymiaru sprawiedliwości przed Sejmem dziennikarka ubolewała: „Ten moment, w którym trzeba demonstrować w obronie niezależnych sądów, jest jedną z najsmutniejszych chwil w moim dorosłym życiu”. Dodała, że niezależne sądy ograniczają zakusy władzy do nadużyć. „Bo ta władza uderza do głowy i zaczynamy jej nadużywać. Tak już bywało w historii” – zapewniała Passent.

Nie sięgała jednak aż tak daleko w czasy PRL, gdy jej ojciec Daniel Passent był znienawidzonym przez opozycję niepodległościową dziennikarzem reżimowych mediów. Nie tylko to. Był zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako kontakt operacyjny „Daniel” oraz tajny współpracownik o pseudonimach „John” i „Dan”.

► Pierwsze gardło Głównego Zarządu Politycznego LWP

Bezpartodowym obrońcą państwa prawa i konstytucji jest też piosenkarka Elżbieta Igras, która była jedną z PRL-owskich gwiazd piosenki wojskowej, znaną uczestniczką propagandowego Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. W 1969 roku zdobyła nagrodę Złotego Pierścienia. Rok później odebrała zaś laur specjalny jury festiwalu.

Od 1998 roku do minionych wyborów była radną stołecznego Ursynowa, ostatnio z mandatem Platformy Obywatelskiej. Gwiazda dawnej świetności rządu PiS skomentowała w internecie stwierdzeniami w rodzaju: „Oblepia nas kłamstwo, nepotyzm i korupcja”. Czytając jej wpisy, można stwierdzić, że w rządzie PO-PSL afer nie było i to nowe zjawisko przyniosło ze sobą rządu PiS. „Absurdem było klasyfikowanie Polski jako rynku rozwiniętego. Jest wręcz przeciwnie, najnowsze afery ujawniają skrajną korupcję na najwyższych szczeblach władzy, całkowity brak etyki i kompetencji urzędników” – przekonywała na Facebooku.

Igras wyróżniła na swoim profilu wypowiedź Donalda Tuska, w której wzywał do pokonania współ-

czesnych bolszewików, jak kiedyś zrobił to Józef Piłsudski. Zamieściła też w dniu wyborów zdjęcie Lecha Wałęsy w koszulce „Kon-sty-tuc-ja” z podpisem, że to „nasz symbol wolności”. Innym razem napisała, że kocha piosenkarza Macieja Maleńczuka. Zareagowała tak na jego wypowiedź o nienawiści, jaką ma on do PiS-u. „Nienawidzę PiSu. Nienawidzę tych ludzi. Ja na nich k***wa patrzeć nie mogę. Robi mi się niedobrze, kiedy patrzę na ich paskudne gęby i słyszę ich opowieści o tym, że będziemy teraz lepsi moralnie”.

Ówczesna radna PO obrażała też urzędującą premier Beatę Szydło, pisząc, że ona „śpiewa, tańczy, recytuje, d*** daje i haftuje”. Choć w tym czasie Igras zasiada-

WIELU CELEBRYTÓW PRZEDSTAWIAJĄCYCH SIĘ JAKO OBROŃCY PAŃSTWA PRAWA I PRAWORZĄDNOŚCI OPRÓCZ UCZESTNICTWA W DEMONSTRACJACH ANTYRZĄDOWYCH ANGAŻUJE SIĘ W AKCJE PRZECIWKO REFORMOWANIU WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI PRZEZ PiS.

ła w ursynowskiej radzie w komisji kultury, to sama uznawała, że nie będzie dobierać słów. Na krytykę jej wpisu zareagowała urażeniem. „Nie jestem w stanie pojąć, jak po takim wpisie od razu złatuje się towarzystwo PiS-owskie i kopie mnie za to, co napisałam. Następnie natychmiastowy hejt. To jest nie fair” – narzekala radna PO. „Mnie to nawet nie wkurza, ale śmieszy. A mnie stać na to, by pisać i mówić, co myślę” – zakończyła radna.

Igras już wcześniej dawała popisy „mowy nienawiści”. Zaatakowała na przykład licealistkę z Gorzowa, Marysię Sokołowską, która nazwała ówczesnego premiera Donalda Tuska zdrajcą. Radna PO oburzona stwierdziła, że „dałaby [jej – przyp. red.] za to w pysk, aż by się nogami nakryła”.

Igras występuje w obronie praworządności i demokracji bez zażenowania, choć jej brat Stefan Igras w PRL był członkiem KW PZPR w Warszawie. Ojciec piosenkarki w erze komunizmu był wysokim urzędnikiem w Urzędzie Miejskim w Biłgoraju. Odpowiadał za sprawy gospodarki. Sama Elżbieta Igras była nagradzana w PRL za swoje występy i działalność artystyczną. Dostała Brązowy i Srebrny Medal „Za Zasługi dla Obronności Kraju”. W 1981 roku zasłużyła nawet na takie wyróżnienie, jak medal Głównego Zarządu Politycznego LWP. ■



Marcin Wolski

Celebrytany

Istnienie celebrytów jest stare jak ludzkość. Jedynie nazwa jest dużo młodsza. Od dawien dawna ludzie wybitni cieszyli się szacunkiem współczesnych i budzili powszechne zainteresowanie. Antyk obfitował w pomniki nie tylko wybitnych filozofów czy bohaterów, lecz także znakomitych sportowców. Jednak dopiero współczesna masowa kultura wyłoniła kategorie ludzi sławnych, dlatego że są sławni (wcześniej taki przywilej dotyczył tylko rodów panujących). Oczywiście dość długo, aby stać się ikoną popkultury, trzeba było odnieść jakiś sukces – Einstein wybił się nie tylko dzięki swoim włosom i grze na skrzypcach, wielkość Salvadora Dali nie kończyła

na przykład Leonarda da Vinci, nie ma większego kłopotu, aby podszyć się pod jego geniusz, mimo że prywatnie nie rozróżni tabliczki mnożenia od tablicy Mendelejewa. Oczywiście owo pomieszanie ról nie się żalosne skutki, coraz trudniej przebić się na ekran rzeczywistym ekspertom – za to pospolici durnie nagminnie wypowiadają się w kwestiach polityki, a rozmaite amoralne typy kreują się na wzorec moralności. Czy są granice śmieszności i absurdu, których nie można przekroczyć? Nie ma! Zwłaszcza gdy przestały cokolwiek znaczyć takie staroświeckie cnoty, jak honor i przyzwoitość. Nawet coś tak oczywistego, jak zdrowy rozsądek z czasem prze-

CELEBRYTA RZADKO OGRANICZA SIĘ DO SATYSFAKCI, JAKĄ DAJĄ „ODSLONY” NA YOUTUBE.

CZĘŚCIEJ USIŁUJE PRZEŁOŻYĆ SVOJĄ POPULARNOŚĆ NA INNE OBSZARY EKSPLOATACYJNE.

ZACZYNA BAWIĆ SIĘ W POLITYKĘ, ZABIERA GŁOS W DEBACIE PUBLICZNEJ, CHĘTNIE PRZYWDZIEWAJĄC KOSTIUM AUTORYTETU MORALNEGO.

się na jego wśach, a przed kultem wiecznie żywego Elvsa szła jego muzyka. Jednak dopiero telewizja dała szansę praktycznie każdemu, pod warunkiem, że kocha go kamera, a ludzie z jakiegoś powodu chcą go oglądać. Wybitny naukowiec czy pisarz jest nikim w porównaniu z prezenterką pogody czy aktorką z popularnego serialu. Pobyt w domu Wielkiego Brata daje uczestnikowi pozycję, jakiej nie zapewni sto napisanych książek czy tuzin skomponowanych symfonii. Gdybyż jednak na tym się kończyło. Celebryta rzadko ogranicza się do satysfakcji, jaką dają „odslony” na YouTube. Częściej usiłuje przełożyć swoją popularność na inne obszary eksploatacyjne. Zaczyna bawić się w politykę (nieważne, że nie ma o niej pojęcia) oraz zabiera głos w debacie publicznej, chętnie przywdziewając kostium autorytetu moralnego. A wobec masowej widowni aktor, który zagrał

staje funkcjonować, bombardowany przez takie pojęcia jak „obciach”, „wszyscy ludzie na poziomie”. W świecie bez twardych zasad możliwość manipulacji zyskuje niebywałe pole do działania. My z naszymi wątpliwościami zostajemy nagle osamotnieni, wyalienowani, jak w komunizmie, bo nagle słyszymy: „wszyscy aktorzy”, „wszyscy sędziowie”... itp. Ucieczką pozostaje rodzina, jakaś mała wspólnota, ale nie zawsze. Świat mediów i reklam jest niezmiennie wszechobecny. Czy nie ma wyjścia? Jest. Jak w bajce Andersena – trzeba tylko posiadać odwagę i naiwność dziecka i powtarzać uparcie „król jest nagi!”, „ideole to łże-autorytety!”. Oczywiście jeden głos to mało. Jednak gdy zaczynamy mówić, po pewnym czasie widać, że są nas miliony. I że nie dadzą nam rady nawet najbardziej wypasionie – celebrytany! ■



Małgorzata Matuszak



NIEŚWIĘTE ŚWIĘTA

uż w listopadzie, zaraz po „akcji” Wszystkich Świętych, rozpoczyna się „akcja” Boże Narodzenie. Początkowo nieśmiało, by wraz z kolejnymi dniami zacząć wzbierać na sile. W grudniu nie można się już opędzić od serwowanych ze wszystkich stron zachęt do tego, by tegoroczne święta uczynić wspanialszymi niż wszystkie przeżyte do tej pory. Ową wspaniałość mają zapewnić przede wszystkim niezwykle zakupy i prezenty, które z okazji świąt wręczymy naszym bliskim, no i oczywiście... kredyty, bo to one pozwolą sprostać finansowo wmówionym nam potrzebom. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce na prawdziwe Boże Narodzenie?

► *Profanum przykrywa sacrum*

Najważniejsze święta to dni wolne od pracy. Święto nie jest jednak tym samym co dzień, w którym możemy nie pracować. To dzień wolny dlatego, byśmy mogli te wyjątkowe chwile przeżywać razem, we wspólnocie, we właściwy sposób.

Już starożytni wiedzieli, że „theoria”, mająca istotny związek ze świętem, nie jest czymś dowolnym. Zawiera trzy główne momenty: kult, podróż i udział. „Theoria” oznacza najpierw świąteczne poselstwo, wreszcie „boga (tzn. jego wolę, jego polecenia) zachowywanie i chronienie”. „Theoroi”, czyli ci, którzy w świątecznym poselstwie uczestniczyli, czynnościami należnymi bogu czy bogini „zachowywali” bóstwo, tradycyjny sposób jego czczenia. „Theoria” opiera się bowiem na kulcie, na tym zatem, co trzeba powtórzyć. Na obchodzeniu święta. Utrwalaniu go. Kult jest określony religijnie – ustanawia stosunki między ludźmi i bóstwem. Jak pisze Josef Pieper: „Nie ma święta, które nie żyłoby z kultu i swego świątecznego charakteru nie miało przez to, że żyje z kultu”.

W tym kontekście do święta nie przynależą te wszystkie rzeczy, które przedstawiane są w różnych przekazach jako niezbędne dla „właściwego” przeżycia tego momentu. Okres świąteczny przestaje być czasem świątecznego bycia razem, a zaczyna być czasem zbiorowego szaleństwa. Szaleństwa kupowania, do którego namawiani jesteśmy na różne sposoby. Owszem, nie ma niczego złego we wzajemnym obdarowywaniu się, wręcz przeciwnie, wszak podarki to także część świątecznej tradycji. Podobnie jak ubieranie choinki, przystrajanie w szczególnie sposób domu, pieczenie pierników i ciast, szykowanie różnego rodzaju potraw. Z roku na rok coraz wyraźniej jednak przesuwają się granice pomiędzy *sacrum* i *profanum*, gubione są ich właściwe proporcje, a Boże Narodzenie w niepokoi-

Autentyczność przeżywania i doświadczenia jest tym, co najważniejsze w obchodach świąt religijnych. Człowiek współczesny staje się jednak coraz bardziej racjonalny, przynajmniej pragnie za takiego uchodzić, uważa zatem, że tradycyjne formy religijności nie przystają do świata, w którym żyje.

jący sposób staje się coraz mniej wydarzeniem religijnym, a coraz bardziej marketingowym eventem, w którym kupowanie staje się tym, co przed świętami najważniejsze. Już od listopada. A to przecież Adwent dopiero winien być dla chrześcijanina czasem zbliżającym do świąt narodzenia Dzieciątka Jezus i to czasem radosnego oczekiwania na ten moment, nie zaś cieszenia się okresem promocji, zakupów i przeróżnego rodzaju kampanii reklamowych. Łatwo w tym wszystkim zapomnieć o tym, że cenniejsze jednak od najkosztowniejszego prezentu są chwile, które możemy podarować najbliższemu. I czas, który poświęcimy na kontemplację Tajemnicy Bożego Narodzenia o cudzie, który stał się w Betlejem, i na to, by odnaleźć Betlejem w sobie. By to w nas narodził się Bóg. Pięknie powiedział o tym Benedykt XVI: „Pośrodku nocy Ono przyjdzie dla nas. Pragnie jednak przyjść do nas i zamieszkać w sercu każdego z nas. Aby tak się sta-

ket – wybierają ze świąt to, co im się podoba. Pamiętamy, jaką sensację wzbudził Richard Dawkins – jeden z najbardziej znanych ateistów i krytyków religii, rok po publikacji bestselleru „Bóg urojony”, w którym autor postrzega religię jako przyczynę prześladowania nauki, wzniesienia fanatyzmu i nietolerancji, a także zła w społeczeństwie – przyznając się w programie BBC, że obchodzi święta Bożego Narodzenia. „Nie rozumiem, czemu kogoś to dziwi” – powiedział, dodając, że kulturowo czuje się chrześcijaninem i że nie znajduje powodów, dla których miałby zrezygnować z takiej przyjemnej, rodzinnej okazji. Przyznał, że ubiera choinkę i że nawet ochocho idzie do kościoła, by pośpiewać sobie kolędy, gdyż lubi je bardziej aniżeli świeckie, świąteczne piosenki. „Nie jestem z tych, którzy chcą wykorzystać świąteczne tradycje. Historycznie UK jest krajem chrześcijańskim, a ja kulturowo należę

DZISIEJSZA KOMERCJALIZACJA ŚWIAŁ POWODOWANA JEST POWSZECHNĄ TENDENCJĄ REZYGNACJI Z TEGO, CO ODRÓŻNIA NAS OD INNYCH NARODÓW, LEKCEWAŻENIEM TEGO, CO POLSKIE. ZBYT CZĘSTO, ZWYKLE BEZREFLEKSYJNIE, POWIELAMY WZORCE ZACHODNIE.

ło, musimy być otwarci i przygotować się, by Je przyjąć, chcieć zrobić Mu miejsce w nas samych, w naszych rodzinach, naszych miastach. Obyśmy, kiedy się narodzi, nie byli pochłonięci świętowaniem Bożego Narodzenia, zapominając, że główną postacią tego święta jest właśnie Ono!”.

► Boże Narodzenie bez Boga

Czy ateści mogą obchodzić Boże Narodzenie? Rzec można, że oni wręcz powinni najbardziej. Wszak Jezus Chrystus rodzi się właśnie po to, by rozświetlić mroki naszej duszy. Pragnie przyjść do nas i zamieszkać w sercu każdego z nas. Nade wszystko zaś pragnie przyjść nie do sprawiedliwych, dobrych i zdrowych, lecz do tych, którzy najmocniej Go potrzebują – grzeszników, chorych, „celników”. Najbardziej troszczy się o tych zagubionych. A któż może być bardziej zagubiony od ateisty czy agnostyka? Dodać w tym miejscu trzeba jednak, że na narodziny Jezusa trzeba się otworzyć, trzeba Go chcieć. Ateści zaś są głęboko przekonani o tym, że Boga nie potrzebują.

Z drugiej jednak strony ateistom często zarzuca się, że traktują Boże Narodzenie jak supermar-

do tej tradycji, tak jak inni kulturowo są muzułmanami albo żydami, nawet jeśli są niewierzący” – stwierdził. Zaatakowano Dawkinsa z wielu stron. Radykalni ateści stwierdzili, że jego słowa są obłudne i że źle przyczyniły się walce o słuszną ich zdaniem sprawę, chrześcijanie zaś nazwali go bluźniercą i hipokrytą. Sam Dawkins nie przejął się zamieszaniem wokół swojej osoby i tłumaczył, że współcześnie święta dla większości ludzi stały się tradycją nie tylko kościelną, lecz także świecką. Przytaczał ponadto wiele przykładów na to, że również Kościół przejął wiele obyczajów pogańskich. I od czasu pamiętnego wywiadu co roku umieszcza w Internecie kolejne komentarze na temat świąt.

Wielu ateistów, tak jak właśnie Dawkins, to zwolennicy teorii ewolucji świąt i innych tradycji. Według nich dzisiejszy bardziej kulturowy charakter świąt Bożego Narodzenia to właśnie efekt ewolucji. Twierdzą, że szanują tradycję, dlatego obchodzą święta. Na swój sposób. Wielu jednak, podobnie jak Dawkins, nie rozumie na przykład choćby tego, że kolęda niesie ze sobą treści teologiczne, jest pieśnią chwalejącą Boga, który stał się człowiekiem. Niestety, dziś kolęda

coraz częściej staje się piosenką wytwarzającą atmosferę świąt, zostaje zrównana z pastoralką i świątecznym „christmasem”. Kolęda nie jest jednak piosenką chwalcą uroki świąt Bożego Narodzenia, lecz pieśnią religijną, a tym samym również formą modlitwy. „Modlący się zdeklarowany i żarliwy ateista” – czyż to nie zakrawa na oksymoron?

► Powszechna sekularyzacja

Autentyczność przeżywania i doświadczenia jest tym, co najważniejsze w obchodach świąt religijnych. Człowiek współczesny staje się jednak coraz bardziej racjonalny, przynajmniej pragnie za takiego uchodzić, uważa zatem, że tradycyjne formy religijności nie przystają do świata, w którym żyje. Dawkins ma rację – święta Bożego Narodzenia mają wymiar kulturowy. Trzeba

bra, nie korzystają z tego; że goniąc za nowościami, zatracają to, co najważniejsze, co czyni nas ludźmi właśnie. Dotyczy to również stosunku do tradycji. „W świecie, w którym następuje błyskawiczny przepływ trendów kulturowych, gdzie ludzie przestają się trzymać zasad odziedziczonych po poprzednim pokoleniu i gdzie nauka, religia i sztuka podporządkowane zostają ekonomii, trudno się dziwić, że odchodzimy od przeżywania świąt w kategoriach duchowych” – stwierdza cytowany już prof. Gerlich.

Dzisiejsza komercjalizacja świąt powodowana jest powszechną niestety tendencją objawiającą się rezygnacją z tego, co odróżnia nas od innych narodów, lekceważeniem tego, co polskie. Zbyt często, zwykle bezrefleksyjnie, powielamy wzorce zachodnie, zatracając nasz kulturowy kanon na rzecz innych, obcych elementów. Nie jest jeszcze tak bardzo źle wtedy, gdy filtrujemy i dosto-

BOŻE NARODZENIE W NIEPOKOJĄCY SPOSÓB STAJE SIĘ CORAZ MNIEJ WYDARZENIEM
RELIGIJNYM, A CORAZ BARDZIEJ MARKETINGOWYM EVENTEM, W KTÓRYM KUPOWANIE STAJE
SIĘ TYM, CO PRZED ŚWIĘTAMI NAJWAŻNIEJSZE.

jednak w tym miejscu dodać: także. Mają bowiem przede wszystkim, z istoty, wymiar religijny. Powiedzieć można, że wymiar kulturowy i religijny splatają się, tworząc nierozdzielalną całość. Zwrócić trzeba uwagę również na to, że skoro mają wymiar kulturowy, związane są także z naszą, polską tradycją, a ta przesiąknięta jest i połączona z religijnością. Odnajdujemy tego wyraz w wielu trudnych momentach naszej historii. Jak twierdzi prof. Marian Grzegorz Gerlich z Uniwersytetu Wrocławskiego: „W okresie zaborów wyraźne kulturowanie tych tradycji służyło manifestowaniu swojej odrębności w stosunku do zaborców, w okresie międzywojnia to również służyło wyraźnemu określeniu tożsamości, szczególnie na Kresach Wschodnich, w PRL zaś tradycyjne świętowanie miało charakter nie tylko religijny, ale było również pewnym przejawem oporu wobec władzy”.

Dzisiejszy świat się zmienia, zmienia się także żyjący w nim człowiek. Czy na lepsze? To raczej wątpliwe. Zdobyte współczesnej nauki, techniki, wszechobecny postęp cieszą i równocześnie zasmucają. Smuci bowiem to, że ludzie mając coraz większe możliwości czynienia do-

sowujemy powszechne trendy do naszego kanonu, problem rodzi się wówczas, gdy przyjmujemy je bezwiednie. Przysnąć musimy się również do tego, że część odpowiedzialności za powstałą sytuację spada także na samych chrześcijan. Powinniśmy jednak sami umieć się oprzeć temu, co podważa naszą wiarę. Komercjalizacja i laicyzacja świąt Bożego Narodzenia to groźne zjawisko, ale chrześcijanie nie muszą mu się poddawać. Zjawisk tych nie da się zatrzymać, od nas jednak zależy, w jakiej mierze procesowi temu się poddamy. Przez tę coraz grubszą warstwę powierzchowności warto się przekopać – do samej istoty świąt.

Człowiek potrzebuje czasu świętego, gdyż nadaje on rytm i sens ludzkiej egzystencji. Jak pisze Mircea Eliade, święto religijne reaktualizuje jakieś wydarzenie sakralne, które wydarzyło się w przeszłości; przejściowo choćby odtwarza stan pierwotny. Czas święty jest z natury swej odwracalny, daje się więc odzyskiwać, powtarzać. Każdorazowo odsyła nas do tego, co było „na początku”. Na początku było zaś Słowo i w Boże Narodzenie celebруем Świętą Tajemnicę tego, że „Słowo stało się Ciałem i zamieszkało między nami”.

Ewa Polak-Palkiewicz

NASZ NAJWIĘKSZY SOJUSZNIK

Najlepszym, wypróbowanym i niezawodnym sprzymierzeńcem naszego państwa jest prawda. Ta o historii Polski. Jesteśmy krajem, gdzie jest ona szanowana jak na żadnym innym terytorium w czasach nam współczesnych.



Istnieje u nas żywa pamięć przeszłości, pamięć utrwalona nie tylko w historii oficjalnej, lecz także w historii rodzinnej. Jest ona jednak również stale zagrożona, bo stanowi coś absolutnie nie na rękę naszym sąsiadom, Rosji i Niemcom.

Przez wiele ostatnich lat pamięć ta była źle traktowana w naszym kraju. A jednak nie udało się jej zakopać głęboko pod ziemię. Przeszłość jest dla Polaków czymś ważnym, stale obecnym w ich umysłach. Nawet jeśli w nieistotnych szczegółach mogą się mylić, nawet jeżeli istnieje w naszym kraju niemała grupa ludzi, która wykazuje niechęć albo całkowitą obojętność wobec niej. Jednak to, że jeste-

śmy jako Polacy ludźmi tak dzielnymi, zawdzięczamy przeszłości, z którą wciąż obcujemy.

► Choroba duszy lub ciała

Niemcy, Rosjanie, także, w innym wymiarze, Żydzi – nie mają przeszłości państwowej, z której mogliby być dumni, którą chcieliby za wszelką cenę ochronić, by nic z niej nie uронić, nie zaprzepaścić. To zastanawiająca wspólna ich cecha. Jeśli ktoś nie szanuje własnej historii, to tak jakby nie czcił ojca i matki. To rodzaj duchowej choroby. Vittorio Messori przypominał, że „powierzchniowość postchrześcijańskich ideologii sprawiła, iż uwierzy-

liśmy, że najgłębsze podziały między ludźmi są spowodowane różnicami o charakterze społecznym, ekonomicznym i politycznym... Ta klasyfikacja jest bez wątpienia bardzo ważna. Lecz ludzie podlegają zupełnie innym rozgraniczeniom: są ludzie zdrowi i ludzie chorzy, istnieją osoby przepelnione radością (lub przynajmniej pełne wewnętrznej pokój) i osoby pogrążone w rozpacz. Powodem rozdziału są choroby duszy lub ciała i one stawiają między ludźmi najwyższe mury”.

Gdy więc myślimy o narodach i społeczeństwach, które nie potrafią zidentyfikować się z własną przeszłością – która jest czymś obiektywnym – mamy do czynienia z ludźmi nie całkiem zdrowymi. Niekoniecznie z własnej winy. Winę ponoszą ci, którzy tak ich historię ukształtowali. Cześć dla historii Polski i jej znajomość w naszym społeczeństwie jest w dzisiejszym świecie czymś unikalnym. Dlatego właśnie obaj nasi sąsiedzi zza granicy wschodniej i zachodniej, pomimo ponawianych wciąż wysiłków, nic nie osiągną swoimi tradycyjnymi metodami, które dziś, tak samo jak niegdyś, nie mają nic wspólnego z uczciwością. Usiłują wylansować na świecie „zupełnie inną historię Polski”. Jest to, trzeba przyznać, zajęcie żałosne, cel chybiony. Przynosi ono korzyść czysto doraźną, propagandową. Tak naprawdę naszym sąsiadom na Wschodzie i Zachodzie przeszkadza cała polska historia: uwiera ich ona, boli, stale dręczy. Gdy długo żyje się w kłamstwie, gdy umysł człowieka osaczony jest przez ideologię lub fałszywą religię – jedno nie istnieje bez drugiego – pojawia się syndrom panicznego lęku przed prawdą. Mamy z tym coraz częściej do czynienia. Ostatnio doświadczył tego (ze strony środowisk żydowskich ze Stanów Zjednoczonych) premier Mateusz Morawiecki przy okazji nowelizacji ustawy o IPN. Szefa rządu próbowano zniesławiać, straszyć warcząc, sycząc, kłając – i dostawano od niego zawsze tę samą godną odpowiedź. Gdy w przekazie prawdy historycznej rzadzący nie zmieniają nawet przecinka, możemy być spokojni o los naszego kraju.

► Antysemityzm Rosji i Niemiec

To nie przypadek, że antysemityzm rodzący zbrodnie na ludziach miał swoją ojczyznę w państwach, których władza odznaczała się nieludzkim traktowaniem własnego społeczeństwa, czynieniem z niego narodu niewolników – w Rosji carskiej, bolszewickiej oraz w protestanckich Niemczech (pierwszym antysemitytą w tym kraju był nie Hitler a Luter). Dla tego rodzaju władzy było czymś dogodnym wylansować grupę „jeszcze gorszych”,

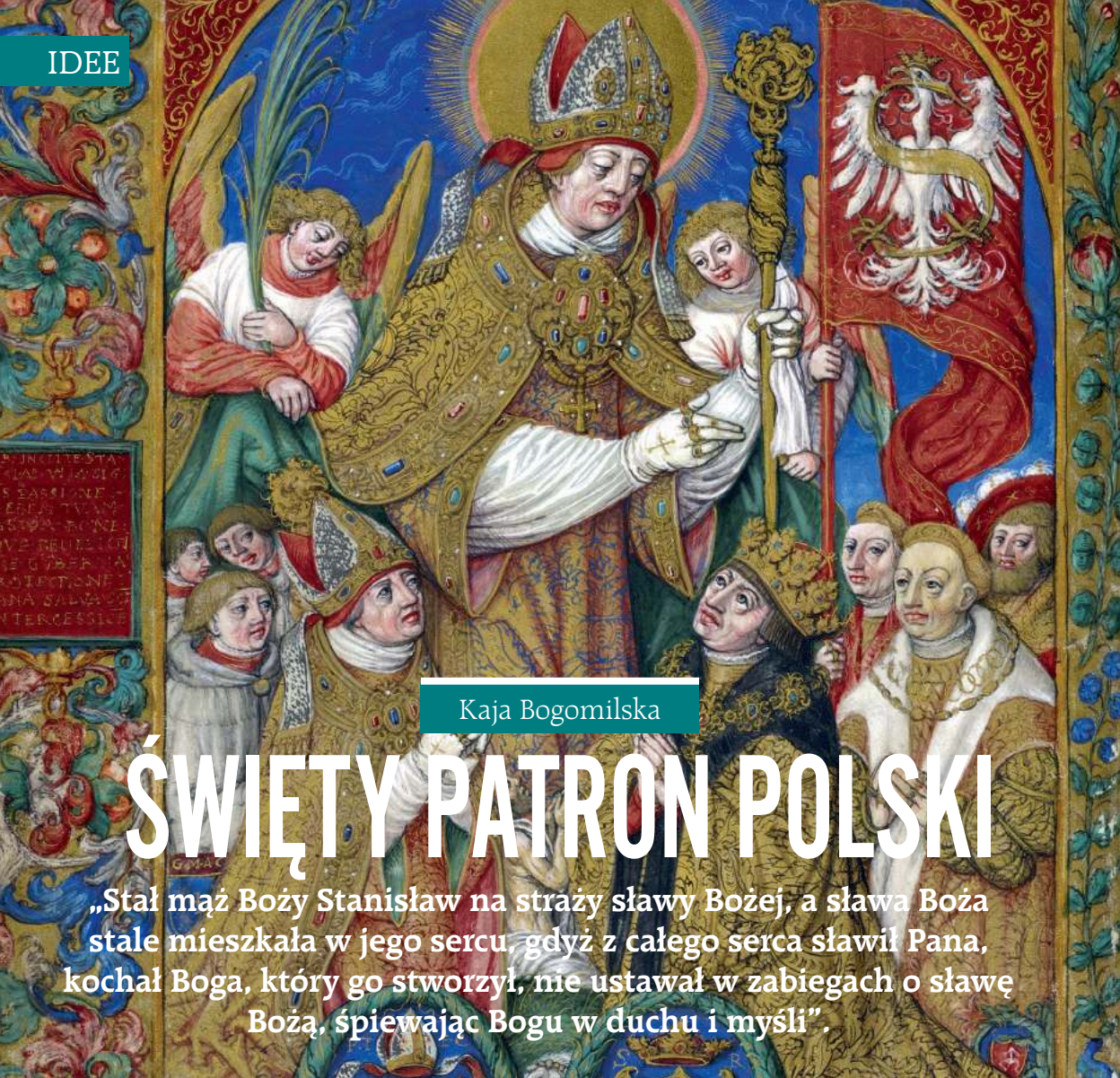
by zrzucić na nią całą winę za zniewolenie, którego doświadczają jej poddani. Dziś „antysemityzm Polaków” starają się propagować właśnie oba te kraje, a „antylitewskość” tradycyjnie Rosja. W dobie globalnego kryzysu, jaki jest ich udziałem, ma im to zagwarantować polityczne korzyści. Czy jednak któryś z narodów, których przedstawiciele prześcigają się dziś w publicznym zniesławianiu Polaków, mógłby nam powiedzieć w oczy: „Patrzcie na nas, naśladowcie nas! Nasz naród jest narodem wielu świętych i bohaterów. Idźcie naszą drogą!”?

I oto ta okropna Polska, ta zakała na drodze do zbudowania imperium Moskwy i Berlina, która wreszcie, w XXI wieku, dźwignęła się z porozbiorowych zniszczeń oraz komunistycznej nędzy cywilizacyjnej, moralnej i materialnej, odrzucając kłamstwo ideologii, stała się znów, jak w XVI, XVII

HISTORIA POLSKI JEST TAK PRZEZ NASZYCH
POLITYCZNYCH SĄSIADÓW NIELUBIANA,
BO JEST HISTORIĄ PIĘKNĄ, PORYWAJĄCĄ,
DOMINUJE W NIEJ ETOS BOHATERSTWA,
ALTRUIZMU, ODWAGI, NADZIEI.

i XVIII wieku, wyzwaniem dla świata. Groźnym wyzwaniem, bo okazała się radykalnym burzycielem mitów o osiągnięciu trwałej potęgi państw na fundamencie kłamstwa. Przykład naszej determinacji, polskie sukcesy polityczne ostatnich trzech lat, wpływ moralny polskich przywódców politycznych na inne społeczeństwa – budzą prawdziwą trwogę tam, gdzie siłę czerpie się z ludzkiego upadku. Historia Polski jest tak przez naszych politycznych sąsiadów nielubiana, bo jest historią piękną, porywającą, dominuje w niej etos bohaterstwa, altruizmu, odwagi, nadziei – wszystko to, co u normalnego człowieka wypływa z wiary, z pojmowania, że cel ludzkiego istnienia znajduje się poza nami. Poza „tu i teraz”.

Prawda ma dla człowieka niewysłowny, nigdy nieprzemijający urok. Tak jesteśmy zbudowani, tak stworzeni, nie zmieni się to nigdy. Stworzono nas nie dla kłamstwa, lecz dla prawdy. Obcowanie z nią czyni nas lepszymi, mądrzejszymi, doskonalszymi. Ona daje ludziom i narodom prawdziwe poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie zapewnią arsenady najnowocześniejszych broni. ■



Kaja Bogomilska

ŚWIĘTY PATRON POLSKI

„Stał mąż Boży Stanisław na straży sławy Bożej, a sława Boża stale mieszkała w jego sercu, gdyż z całego serca sławił Pana, kochał Boga, który go stworzył, nie ustawał w zabiegach o sławę Bożą, śpiewając Bogu w duchu i myśli”.

Święty Stanisław ze Szczepanowa urodził się w 1030 roku za panowania Mieczysława syna Bolesława Chrobrego. Dokładnego momentu jego śmierci nie znamy. Źródła podają różne daty, różniące się od siebie mniej więcej o 5–10 lat. Faktem niebudzącym wątpliwości jest to, że była to śmierć męczeńska.

► Kim był?

„Kto to był” – zastanawia się ks. Stanisław Belch, jeden z biografów świętego. „Kim był czło-

wiek zwany Stanisławem? Czy wbił się w pamięć i czym spowodował taki dla siebie podziw i cześć?”. Odpowiedź umożliwia, ale zarazem utrudnia jeden główny fakt – był to święty. A święci to ludzie do tego stopnia ludzcy, że aż nadludscy. Tak upodobnieni do ideału człowieka istniejącego w umyśle Bożym, że trudni do pojęcia, że dziwni, a dla wielu dziwaczni lub – niemożliwi.

Rodzice przyszłego patrona Polski – Wielisław i Bogna – przez wiele lat pozostawali bezdzietni, lecz gdy ślubowali, że dziecię poświęcą służbie Bo-

gu, matka w podeszłym już wieku poczęła. Chłopiec rósł, ćwicząc się w pobożności. Niektórzy ówczesni historycy (na przykład Gall Anonim) przypisują mu studia na Uniwersytecie w Padwie. Rodzice jednak nie byli tak zamożni, by ową naukową wyprawę sfinansować. Bardziej więc prawdopodobne, że studiował teologię w ojczyźnie. Biskup krakowski Lambert uczynił go kanonikiem. „On zaś od razu zaistniał między innymi kanonikami jak gwiazda pośród mgły” – czytamy w „Żywocie Mniejszym Świętego Stanisława”, dziele powstałym kilkadziesiąt lat po jego śmierci i opartym na kronikach Wincentego Kadłubka. „Stał bowiem – czytamy dalej – mąż Boży Stanisław na straży sławy Bożej, a sława Boża stale mieszkała w jego sercu, gdyż z całego serca słał Pana, kochał Boga, który go stworzył, nie ustawał w zabiegach o sławę Bożą, śpiewając Bogu w duchu i myśli”. Po śmierci Lamberta Stanisław „kanonicznie i jednomyślnie” został wybrany na biskupa krakowskiego.

► Droga do męczeństwa

Hierarcha pilnie pełnił służbę Bożą, często i z wyjątkową pobożnością sprawował sakramenty. Dbał o czystość, zwłaszcza stanu duchownego. „Tych, którzy posiadali beneficja duchowne, zobowiązywał, aby znamionowały ich przystojne obyczaje, skromność, czystość i ogólnie znana uczciwość. Jeżeli zaś na te ojcowskie upomnienia nie odpowiadali synowskim posłuszeństwem, pozbawiał ich beneficjów i wypędzał z parafii” – potwierdza „Żywot Mniejszy...”. Taki człowiek nie mógł udawać, że nie widzi, iż król Bolesław, zwany wtedy Szczodry lub Waleczny (przydomek, pod którym dziś występuje w podręcznikach historii, to Śmiały), „porzucałszy zamięłowanie do cnót pograżał się we wszelakich występkach, a naturalny styl życia zamienił na taki, który jest sprzeczny z naturą” (cytat za „Żywot Mniejszy...”).

Wiele ówczesnych źródeł wskazuje, że Śmiały poczynił sobie nazbyt śmieie. Okrutnie prześladował swoich wrogów, nie gardząc skrytobójstwem. Porywał nawet żony dostojników i je niewolił. Dla włościan był bezlitosny. Tolerował wypasanie dworskiego bydła na chłopskich łąkach i polach, niszcząc biedakom środki do życia.

► Inni się bali

Inni biskupi również znali te królewskie niegodziwości, ale po prostu bali się nie tylko wprost

władcę upomnieć, lecz nawet mówić o tym między sobą. Obawiali się wszyscy, tylko nie Stanisław.

Gdy sprawował Mszę świętą w kościele św. Michała na krakowskiej Skałce, błagając Boga o nawrócenie króla, ten razem z drużyną stanął u wrót świątyni. Zachowały się słowa, które wówczas wypowiedział: „O, wy tchórze wyrodni, nie potraficie porwać jednego kapłana!”. Jednak towarzyszący mu zbrojni nie byli w stanie wykonać tego rozkazu i tak, jak opisuje to autor „Żywota Mniejszego...”: „Okrutnie mieczem powalił bezbożnik świętego, zbrodniarz pobożnego, świętokradca biskupa, a zadawszy mu okropne rany i miejsce święte zbroczywszy krwią, uczynił go ofiarą Chrystusa”. Szczątki kazał posiekać i rozrzucić na cztery strony świata.

Tradycja mówi, że szczątków tych pilnowały cztery orły, a gdy kapłani przyszli je zabrać, znaleźli ciało nienaruszone „nawet bez jednej blizny”. Zostało ono złożone w kościele na Skałce. I od tej pory męczennik ukazywał się pobożnym mężom i niewiastom czuwającym potajemnie – bo z lęku przed królem – przy jego grobie. Bolesław wygnany przez zbuntowanych możnowładców uciekł na Węgry i zginął śmiercią samobójczą. Wielu uważało, że była to kara Boża za mord na biskupie krakowskim.

18 września 1253 roku ojciec święty Innocenty IV kanonizował męczennika i rekomendował go na głównego patrona Polski. ■

Z hymnu „Gaude Mater Polonia”

**O ciesz się, Matko Polsko,
w sławne potomstwo płodna.
Króla królów i Najwyższego Pana
wielkość uwielbiaj!**

[...]

**Albowiem z Jego Łaskawości
Biskupa Stanisława Męki
niezmierne, jakie on wycierpiał,
jaśniej cudownymi znakmi.
Potykał się za sprawiedliwość.
Przed gniewem króla nie ustąpił
i staje żołnierz Chrystusowy
za krzywdy ludu sam do walki.**

[...]

(przekład Leopolda Staffa)



Małgorzata Matuszak

Czym jest... kołęda

Dla większości współczesnych Polaków „kołęda” oznacza przede wszystkim pieśń o narodzinach Jezusa Chrystusa. Nazywamy nią także poświęteczną wizytę duszpasterską, obejmującą wspólne dziękczynienie za otrzymane łaski i prośbę o błogosławieństwo na cały nadchodzący rok. Tradycja duszpasterskiego kołędowania wyrosła ze słowiańskiego zwyczaju chodzenia w czasie „szczodrych godów” z winiszowaniami od domu do domu i datków wręczanych kołędniczej grupie w zamian za błogosławieństwo zapewniające gospodarzom i właścicielom ziemskim urodzaj i dostatek na cały nadchodzący rok. Kościół zaadaptował ten ludowy zwyczaj, a polska tradycja każe z tej okazji pisać

Słowo kołęda jako „pieśń bożonarodzeniowa” zaczęło funkcjonować stosunkowo późno, bo na przełomie XVII i XVIII wieku, a powszechnym stało się właściwie dopiero w XIX wieku. Nasi dawni przodkowie mieli inne określenia na tego typu pieśni – nazywali je na przykład kantyczkami (od łacińskiego „canticum”, czyli pieśń) czy też rotułami („rotula” to po łacinie „mały poemat religijny”) albo po prostu „pieśniami”, a pastorałkami stały się dopiero w XVII wieku.

Początkowo kołedy były tworzone i wykonywane tylko w języku łacińskim i bazowały na Ewangeliach św. Mateusza i św. Łukasza, wszak to właśnie u św. Łukasza pojawiają się pierwsze wzmianki o śpiewie towarzyszą-

SŁOWO KOŁĘDA JAKO „PIEŚŃ BOŻONARODZENIOWA” ZACZEŁO FUNKCJONOWAĆ STOSUNKOWO PÓŹNO, BO NA PRZEŁOMIE XVII I XVIII WIEKU.

poświęconą kredą na drzwiach błogosławionych domów „C+M+B” i datę roczną. Owe symbole nie oznaczają, jak zwykło się uważać, sumy pierwszych liter imion trzech króli, lecz są skrótem od łacińskiego Christus Mansionem Benedicat (lub polskiego: Chrystus Mieszkanie Błogosławi) wraz ze znakami krzyża.

Samo słowo „kołęda” pochodzi od łacińskiego terminu „calendae”, oznaczającego „pierwszy dzień miesiąca”, ma bowiem swoje źródło w obchodach rzymskich Calendae (Kalendae) styczniowych, podczas których konsulowie rzymscy obejmowali swój urząd. Od 46 roku p.n.e., za panowania Juliusza Cezara, 1 stycznia został zaś oficjalnie uznany za początek roku administracyjnego. Podczas kalend styczniowych odwiedzano się w domach, składano sobie życzenia i wzajemnie się obdarowywano. Starożytny zwyczaj świętowania nowego roku w wiekach VI–VII został przejęty przez bałkańskie ludy słowiańskie, a później dotarł na Ruś i do Polski. Słowianie rozwinęli rzymskie kołędowanie, przeobrażając je i udoskonalając. Stałą składową kołędowania były życzenia pomyślności, składane indywidualnie i zbiorowo, nazywane właśnie „kołędami”. Słowem tym określano także „podarek noworoczny”. Jeszcze w XVII wieku obdarowywanie się prezentami w czasie Bożego Narodzenia nazywano „dawaniem na kołędę”.

cym narodzinom Jezusa. Późniejsze czerpią już treści ze wszystkich Ewangelii oraz apokryfów czy literatury średniowiecznej. Ich forma także jest różnorodna. Mogą być uroczyste, przypominać hymn lub chorał albo też przybierać formę poloneza, oberka czy krakowiaka. Jak głosi tradycja, pierwszą kołędę stworzył św. Franciszek z Asyżu i wykonał ją podczas wystawiania swojej szopki bożonarodzeniowej. Pierwsza polska kołęda zaczynająca się od słów „Zdrów bądź, Królu Anielski” będąca, wedle przypuszczeń badaczy, tłumaczeniem z oryginału czeskiego lub łacińskiego powstała w 1424 roku.

Polskie kołedy to nie tylko „śpiewana teologia” o dużym ładunku emocjonalnym, w której ukazywane jest ubóstwienie Chrystusa człowieka i uczłowieczenie Boga, to także pieśni, które głęboko i niepodważalnie wtopiły się w świadomość naszego narodu. Ich funkcja w historii Polski nie ograniczała się do dostarczania przeżyć czysto religijnych – w okresach niewoli „krzepiły serca” Polaków, śpiewano je w łagrach i obozach koncentracyjnych, a w czasie stanu wojennego także w obozach dla Polaków. W imię polskości i tego, co dla Polaków ważne. Nazywana „królową polskich kołęd” kołęda „Bóg się rodzi”, skomponowana do słów „Pieśni o Narodzeniu Pańskim” Franciszka Karpińskiego, zastępowała zakazany hymn polski w czasie II wojny światowej, a także później.

WOLNE MEDIA - WOLNA POLSKA!

STOP CENZURZE W INTERNECIE

Celem działania naszej Fundacji jest walka o wolną Polskę poprzez wspieranie niezależnych mediów.

Dzięki pomocy ludzi, dla których ważna jest Polska
- niezależni dziennikarze mogą pisać prawdę.

DANE DO PRZELEWU W POLSCE

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA, ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Bank Pekao SA, Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864

TYTUŁEM: DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA,

ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa, POLAND

Bank Pekao SA, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa

NUMER KONTA - PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864

SWIFT CODE - PKOP PL PW

TYTUŁEM: AS A DONATION FOR „FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA”



Wspomóż
naszą Fundację
nawet skromnym
datkiem



FUNDACJA
NIEZALEŻNE
MEDIA



Piotr Lisiewicz

Szpicle i katy na kolonijnych wakacjach

Kierownik kolonii wakacyjnej Józef Piłsudski stawiał się 27 sierpnia 1913 roku w Starostwie w Limanowej. Starosta powiadomiony został wcześniej przez strzelców, że do miejscowości Stróża przyjechali na wakacje członkowie legalnego Towarzystwa „Strzelec”, by oddawać się „rozmaitym rozrywkom” oraz urządzać wycieczki. Jednak informacje pozyskane przez starostę były zgola inne. Mimo to kierownik kolonii Piłsudski zapewnił go, że „ćwiczenia z bronią w polu się nie odbywają zupełnie”.

„W tym domu mieściła się w lipcu 1913 roku Pierwsza Oficerska Szkoła Strzelecka pod komendą Marszałka Józefa Piłsudskiego” – taka tablica zawisła na dworcu w Stróży 20 lat później. W PRL Komitet Powiatowy PZPR w Limanowej kazał zniszczyć tablicę, która została zerwana i rozbita. Ale szczątki tablicy pozbierali mieszkańcy Stróży. W 1989 roku ją odrestaurowano i dziś znów wisi na gmachu szkoły.

► Ob. „Mieczysław” z polskim sarmackim wąsem

Jednym z absolwentów owej niezwyklej szkoły, któremu zawdzięczamy tę relację o niej, był płk Tadeusz Münnich. Losy owego legionisty Piłsudskiego, potem adiutanta naczelnego wodza marszałka Polski Edwarda Rydza Smigłego, a w czasach PRL wygnanica, są równie zmienne, co opisaną przez niego placówki w Stróży... W 2009 roku pisma Münnicha zebrał i uzupełnił szkicem biograficznym historyk IPN Marek Gałęzowski w książce „Pułkownik »Żegota«. Życie i pisma pułkownika dyplomowanego Tadeusza Münnicha”, z której korzystam, pisząc ten tekst.

„Choć nas tropią szpicle i wieszają katy, ja ze swoją spluwą pójde na armaty” – śpiewali uczestnicy wspomnianej podejrzanej kolonii wakacyjnej. Jaką rolę odegrać mieli w przyszłości absolwenci szkoły w Stróży? Przewidział to trafnie sam „kierownik kolonii”. „Wykłady Komendanta Głównego były zawsze kulminacyjnym momentem zajęć... Tezy swe Piłsudski ilustrował przykładami z 1831 i 1863 i stale powtarzał nam, że na początku ruchu możemy liczyć na szczupłą tylko awangardę, która musi zaryzykować i pociągnąć za sobą siły główne” – wspominał Tadeusz Münnich.

Związek Strzelecki był wówczas w Austro-Węgrzech legalną organizacją, działającą na prawach licznych wówczas organizacji sportowo-strzeleckich, dzięki którym cesarstwo chciało poprawiać sprawność młodzieży, a to także na wypadek wielce prawdopodobnej wojny. Tymczasem za sprawą Polaków stał się on w Stróży „względnie legalną pokrywką tej pracy wojskowo-powstańczej”. Obok Komendanta zajęcia prowadził Kazimierz Sosnkowski, a nielegalna szkoła wychowała wielu przyszłych generałów i oficerów, tak później ważnych, jak Stanisław Grzmot-Skotnicki, Adam Koc, Tadeusz Kasprzycki czy Janusz Głuchowski. Ale strzelcy nie znali wówczas nawet... nazwisk swoich kolegów, bo „znano się na szkole tylko z pseudonimów, nie wolno było robić zdjęć fotograficznych, zapisków osobistych”.

„Szkoła w Stróży była jedyną i wyjątkową w swoim rodzaju w historii naszej wojskowości i poczyniła zbrojnych. Była ona bez względu na jej warunki i czas trwa-

nia, z ducha jej twórcy, dowódców komendantów i elewów następczynią podchorążówki 1830 r., była pierwszym w niewoli kursem – szkołą na własnym polskim Piemoncie, nie jak jej poprzedniczka z 1862 r. na obczyźnie w Cuneo, a szczęśliwsza od nich, gdyż uczestnikom jej danym było nie tylko walczyć i ginąć, ale zwyciężyć – pisał po latach Münnich.

Stała się także w oczach wielu jej absolwentów początkiem legendy marszałka Józefa Piłsudskiego. „Była wreszcie jedyną, nie tylko w naszych dziejach, ale niewątpliwie w historii świata, szkołą wojskową – kompanią, którą stworzył, którą uczył i dowództwo sprawował i trudy i znoje żołnierskiego dzielił sam Komendant Główny – Wódz Naczelny i Pierwszy Naczelnik wyzwolonego Państwa” – wspominał Münnich ową „szkołę obowiązku, charakteru i idei”. W innym wspomnieniu pisał o Komendancie: „Mieszkał obok opuszczonego dworku-koszar, w małej izdebce włościańskiej chaty, ob. „Mieczysław” z polskim sarmackim wąsem, ostro zakończoną brodą, krzaczastymi brwiami”.

► Malował obrazy i śpiewał arie Moniuszki

Kim był Tadeusz Münnich? Na pewno zaprzeczeniem stereotypu wojskowego, jaki wynieśliśmy z PRL i III RP. Jego syn Krzysztof Münnich tak wspominał w książce Marka Gałęzowskiego: „Na urlopach, specjalnie tych nad morzem, Ojciec malował. Jego olejne obrazki łodzi rybackich, wzburzonych fal Bałtyku czy kaszubskiej ceramiki zdobiły nasze mieszkanie. Wiem, że malował też na wyjazdach inspekcyjnych z gen. Śmigłym-Rydzem”. Oprócz malowania była także muzyka. „Ojciec bardzo lubił śpiewać, a głos miał dobry. Mówiono, że podbił nim serce Mamy. Od niego w latach dziecińczych nauczyłem się całego repertuaru piosenek legionowych – wiele z nich mało znanych. Śpiewał też piosenki z operetek Lehara, arie z oper Moniuszki i wiele innych, ale jego specjalnością były koledy przy choince” – opowiadał syn.

Tadeusz Stefan Aleksander Münnich urodził się 18 sierpnia 1893 roku we Lwowie. Jak pisze Gałęzowski, nazwisko Münnich wywodzi się od niemieckiego słowa „Monch”, czyli „mnich”. Münnichowie pochodzili prawdopodobnie ze Szwajcarii, skąd w XV wieku dotarli do Księstwa Oldenburskiego na terenie Rzeszy Niemieckiej. Do Polski trafili już w wieku XVI. Ojciec Tadeusza Münnicha, Tadeusz Władaw Münnich, był absolwentem architektury na politechnice w Wiedniu i profesorem w Państwowej Szkole Przemysłowej we Lwowie. Projektował kościoły, szkoły i kamienice. Jak pisze Gałęzowski, matkę Tadeusza Stanisławę z domu Ziemińską poznał „u wód”, czyli w sanatorium w Krynicy.

Rodzina matki była od pokoleń zaangażowana w walkę o niepodległość Polski. Jej ojciec Leonard walczył w powstaniu styczniowym, za co władze rosyjskie zesłały go wraz z żoną Florentyną na Syberię, gdzie na świat przyszedł ich dzieci. Po śmierci ojca w 1900 roku matka ponownie wyszła za mąż, a rodzina trafiła do Dębicy, gdzie Tadeusz uczył się w Gimnazjum im. Władysława Jagiełły. Jak wynika z dokumentów cytowanych w książce „Pułkownik »Żegota«”, Tadeusz uznawany był za ucznia „chlubnie uzdolnionego”.

► Związek Jastrzębi

W Gimnazjum Jagiełły nastoletni Tadeusz trafił do pierwszej konspiracji. Wspominał to następująco: „Wiosną 1911 roku doszła do mnie, jako ucznia 7 klasy gimnazjum w Dębicy, wiadomość o stworzeniu tajnej organizacji wojskowej pod nazwą Związek Jastrzębi... Statut Związku Jastrzębiego wymagał ślubowania żołnierskiego, tajności oraz związanych z nią pseudonimów dla członków – wprowadzał dyscyplinę i hierarchię wojskową oraz organizację. Za cel stawiał walkę zbrojną o niepodległość i przygotowanie do niej. Nie zdołaliśmy zgłębić wówczas ani nigdy potem źródeł tej organizacji. Ale atmosfera, jaka wówczas zaczęła się rozszerzać, sprzyjała przyjęciu tej myśli wśród młodych, szczególnie jak my, przeciętnie szesnasto- i siedemnastolatków”.

Były tajne zajęcia z taktyki i broni, nierzadko odbywające się u samego Tadeusza. O atmosferze tego czasu napisze on tak: „Już wojna rosyjsko-japońska, rewolucja młodoturecka, aneksja przez Austro-Węgry Bośni i Hercegowiny, wojna włosko-turecka, wszystko to nasuwało co raz żywiej myśli o zbliżającej się wojnie wielkich mocarstw – i nie skrytalizowaną, ale stałą myśl, że będzie ona realną sposobnością do oczekiwanej i upragnionej walki o naszą sprawę”. Wiosną 1912 roku Związek Jastrzębi stał się częścią Związku Strzeleckiego i 20-letni konspirator trafił do opisanego szkoły w Stróży.

► Pistolet i szabla za studenckie oszczędności

Po ukończeniu gimnazjum Tadeusz rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był członkiem Związku Walki Czynnej. Ukończenie pierwszego roku studiów wspominał tak: „Gdy więc u schyłku czerwca 1914 roku, po pozbyciu się semestralnych egzaminów prawniczych na uniwersytecie w Krakowie, opuszczałem popołudniowe przedstawienie »Strasznego Dworu« Moniuszki i gdy do uszu pełnych jeszcze melodii pieśni bojowej dobiegły krzyki gazeciarzy o zamachu w Sarajewie i nadzwyczajnych wydaniach pism, nie uświadomiłem sobie zgoła, że to już początek”.

Wyjechał na wakacje do Dębicy, jednak gdy dotarł tam pogłoski, że coś się może zacząć, zgłosił się z kolegą do komendy okręgowej Związku Strzeleckiego w Rzeszowie. Tam dotarł akurat następujący rozkaz: „W ciągu sześciu godzin od otrzymania rozkazu wyruszyć do Krakowa wyznaczonego na miejsce koncentracji”. Wrócili do Dębicy i ostatnim wieczornym pociągami o 19.00 pojechali do Krakowa. Kilkunastu strzelców mieszkańcy Dębicy pożegnali pieśnią „Boże coś Polskę”. „Z trudem zdołałem zakupić jeszcze w Krakowie automatyczny pistolet i szablę (jakże zbędny, ale nieodzowny sprzęt), co prawie doszczętnie pochłonęło skromną sumę kilkudziesięciu koron zabranych ze studenckich oszczędności na wojenną wędrowkę. Teraz już można było ruszyć na wojnę” – wspominał żartobliwie.

► Sławna tyraliera pod Kostiuchnowką

Wziął udział w wymarszu Pierwszej Kadrowej z krakowskich Oleandrów. „Zostałem mianowany dowódcą plutonu w kompanii ob. »Wicza« (sp. gen. J. Stachiewicz), mojego wykładowcy w szkole w Stróży [...] bez względu na naszą nikłość i nędzę czuliśmy się dosłownie polskim żołnierzem w stopniu trudnym dzisiaj do prawdy do wyrażenia [...] Nie mierzyliśmy historyczności tego momentu ani jego wagi. Wszystko przesłaniała wiara w Wodza i świętość Sprawy, którą On nam uświadomił” – wspominał.

Tadeusz Münnich pseudonim „Żegota” służył w I Brygadzie Legionów Polskich jako oficer 5. Pułku Piechoty. Chrząst bojowy przeszedł pod Nowym Korczymem, potem walczył pod Opatowem i brał udział w natarciu na rosyjskie pozycje pod Szczynnikami. Podczas przeprawy przez rzekę Nidę nabawił się ciężkiej choroby płuc, której skutki odczuwał do końca życia. Po pięcioletnim pobycie w szpitalu w Krakowie wrócił – zapewne za wcześniej – na front. Walczył w najcięższym dotąd, trzydniowym boju pod Krzywopłotami, a na początku 1916 roku z tzw. ofensywą Brusilowa. Jak pisze Gałęzowski, w bitwie pod Kostiuchnowką „Żegota” i jego żołnierze wytrzymali potężny ostrzał rosyjskiej artylerii i odpierali ataki rosyjskich żołnierzy. Następnie uczestniczyli w słynnym przebiegu się tyraliercy oficerów 5. pułku.

Potem Legiony wycofano do Królestwa Polskiego, co wiązało się z planami politycznymi Piłsudskiego. Tu Münnich rozpoczął służbę garnizonową, połączoną ze szkoleniem w Zegrzu. 18 marca 1917 roku w Hotelu Angielskim w Warszawie brał udział w uroczystym spotkaniu, którego uczestnicy złożyli podpisy na papierosnicy. Jego podpis znalazł się wśród najświetniejszych – m.in. Kazimierza Sosnkowskiego,

Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego czy Władysława Beliny-Prażmowskiego.

► Oficer „Dwójki”

W lipcu 1917 roku doszło do tzw. kryzysu przysięgowego i Münnich znalazł się wśród oficerów, którzy odmówili złożenia przysięgi na dochowanie wierności sojusznikowi z państwami centralnymi. W efekcie wcielony został do armii austriackiej. Wspominał potem: „Takie miłe i kochane pyski vel mordy legunów ledwo wyglądały spod zapadających głęboko na uszy austriackich czap. Pożał się Boże! Jakich »trepów« żalonych z nich zrobiono”. Jako żołnierz tejże armii trafił m.in. do Karyntii na froncie włoskim, Ołomuńca, a wreszcie Besarabii. W końcu udało mu się załatwić urlop, a to w celu dokończenia studiów prawniczych w Krakowie. Na studia się zapisał, ale ich nie podjął, a zamiast tego zgłosił się do krakowskiego komendanta Polskiej Organizacji Wojskowej, pułkownika Edwarda Śmigłego-Rydza, i odtąd datować się będzie ich przyjaźń.

Wiosną roku 1918 objął funkcję komendanta rzeszowskiego Okręgu POW. W listopadzie na czele 1 i 3 kompanii wziął udział w odsieczy Lwowa. Dowodzony przez niego półbatalion wszedł w skład grupy podpułkownika Tokarzewskiego-Karaszewicza, a później w skład odtworzonego 5. Pułku Piechoty Legionów. W walkach o Lwów dowodził 4. kompanią tego pułku. O postawie Ukraińców pisał jako o „smutnym fakcie”, który zamącił radość z odzyskania niepodległości. Ukraińców udało się wyprzeć z miasta, kompania Münnicha szczególnie zacięte walki stoczyła o koszary kawalerskie na Lyczakowie.

Awansowany na porucznika, a potem kapitana wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Uczestniczył w zajęciu Kijowa. 1 lipca 1920 roku objął stanowisko szefa Oddziału II (czyli wywiadowczej „Dwójki”) Sztabu 4. armii. Do głównych jego zadań należało rozpoznawanie i opracowywanie meldunków wywiadowczych dotyczących działań bolszewików. Podobne zadania wykonywał w czasie uderzenia znad Wieprza i walk nad Niemnem.

Jego zasługi w czasie tej ostatniej bitwy były ogromne. Gdy mgła uniemożliwiła prowadzenie wywiadu lotniczego, przechwytywał meldunki sowieckich radiostacji. Kapitan Stefan Mayer, który towarzyszył Münnichowi w czasie przekazywania zwierzchnikowi szkicu położenia wojsk nieprzyjacielskich, wspominał: „płk Rybak przyjął nas ze złością i ironią i był zaskoczony, gdy zobaczył szkic. W pierwszej chwili nie chciał uwierzyć, że takie dokładne dane sytuacji sowieckiej mogły być uzyskane,

ale gdy zobaczył oryginalne teksty szyfrowe i ich rozwiązanie, przyznał, że był to wielki sukces”.

Odznaczenia uzyskane przez Münnicha trzeba wymienić długo. Są wśród nich Krzyż Srebrny Orderu Wojskowego Virtuti Militari, Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Walecznych – siedmiokrotnie.

► „Zbyt dobry dla podwładnych”

W niepodległej II Rzeczypospolitej po ukończeniu studiów i uzyskaniu dyplomu naukowego oficera Sztabu Generalnego Münnich został przydzielony do Dowództwa Okręgu Korpusu Nr I w Warszawie. W styczniu 1926 roku został przydzielony do Wydziału Fortyfikacji Biura Ścisłej Rady Wojennej w Warszawie. 1 lutego 1926 roku przeniesiono go do Dowództwa Korpusu Ochrony Pogranicza na stanowisko szefa Oddziału Wyszczolenia. Pełnił w zastępstwie obowiązki szefa sztabu KOP. Do lata 1934 roku był I oficerem sztabu Inspektora Armii, a następnie objął dowództwo pułku KOP „Czortków”. Od 6 kwietnia 1936 roku do 14 listopada 1938 roku dowodził 26. Pułkiem Piechoty w Gródku Jagiellońskim. Zachowały się z tego czasu teksty przemówień Münnicha do żołnierzy. O służbie na wschodniej granicy mówił w 1931 roku: „Przez sto pięćdziesiąt lat Kresy Wschodnie pozostawały w niewoli rosyjskiej. Przez ten czas wschodni wróg wyteżał swe siły, by nie tylko zniszczyć wszystko, co nasze i polskie, by zgniebić mowę i wiarę, by zatrzeć wszystkie ślady, że te ziemie do Polski należały, ale co gorsze starał się pogrążyć mieszkańców tych ziem w ciemnocie i biedzie”.

Był propagatorem narciarstwa, także wśród żołnierzy KOP. Mówił o tym: „Wprowadzając narty do służby i ćwiczeń, Korpus przyczynił się do propagandy tego wspaniałego środka lokomocji zimowej w stronach, w których do tego czasu nie były one znane z nazwy ani wyglądu... Dzięki wprowadzeniu służby na nartach i masowemu zaopatrzeniu w ten sprzęt szeregów Korpusu wzmogła się krajowa wytwórczość nart tak dalece, że uniezależniła nas od wytwórczości zagranicznej. Od pierwszych nart w Korpusie począwszy, wszystkie pochodzą z wytwórni krajowych, łącznie z całym sprzętem dodatkowym”.

Były też w wojsku trudne momenty. 15 października 1937 roku inspektor armii we Lwowie, generał dywizji Kazimierz Fabrycy, opiniując go, pisał: „miał bardzo ciężkie przejęcia osobiste (ciężka i długotrwała choroba syna), a potem został przeniesiony. Nie mogłem wobec tego skontrolo-

wać jego tegorocznej pracy. Inteligentny i zdolny oficer, ale zbyt miękki i zbyt dobry dla podwładnych”. W latach 1938–1939 był oficerem do zleceń Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. W lipcu 1939 roku objął obowiązki na stanowisku szefa Biura Inspekcji GISZ.

► Oddany wodzowi w chwili klęski

We wrześniu 1939 roku przypadła Münnichowi rola wyjątkowo trudna – głównego adiutanta Naczelnego Wodza marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza. Śmigły-Rydz krytykowany był za błędy w czasie kampanii wrześniowej i opuszczenie terytorium Polski. Münnich zostanie w tej sytuacji najbardziej zawziętym obrońcą swojego dowódcy: „Uważam za obowiązek każdego prawego żołnierza być oddanym swojemu wodzowi zawsze i bez reszty, nie tylko w chwilach powodzeń i triumfów, ale i w najcięższych momentach klęski nawet”.

W październiku i listopadzie przyszło mu napisać niewesołe sprawozdanie z kampanii wrześniowej, a przytaczane fakty stawiały Śmigłego-Rydza w nieco innym świetle. Jak podkreślał, do momentu wkroczenia Sowietów Śmigły-Rydz nie myślał w ogóle o opuszczeniu Polski: „Z chwilą przybycia do Kołomyi Naczelny Wódz rozkazał najbliższemu otoczeniu zaopatrzyć się w karabiny wobec spodziewanych walk i ewentualnego przebijania się w góry. U nikogo nie było najmniejszej myśli o przejściu granicy. Przygotowania szły w kierunku zaopatrzenia się w ciepłą odzież na walki zimowe, a nie cywilne ubrania”. Ale potem pojawiła się ta najgorsza informacja: „Dnia 17 września około godziny 5.00 nad ranem w rozmowie telefonicznej z szefem sztabu doszła Naczelnego Wodza wiadomość o przekroczeniu naszych granic przez oddziały sowieckie. Po wymianie strzałów z KOP szły one bez walki niosąc transparenty i głosząc, że idą przeciw Niemcom”.

► Polska „płaci za swoje umiłowanie wolności”

Po przekroczeniu granicy rumuńskiej został internowany wraz z Naczelnym Wodzem. Następnie przedostał się do Francji, gdzie należał do najostrzejszych krytyków Władysława Sikorskiego i jego otoczenia, zwalczającego piłsudczyków. W październiku 1940 roku tak pisał o klęsce, jaką był ten podział: „Jest nią zatrucie ducha Narodu, gorsze niż Sybir i knuty – jest potworne oszołomienie, rozdarcie i wzajemne oskarżanie się”. O „sikorszczykach” pisał: „Gdy Rząd i Wódz Naczelny

Marszałek Śmigły i ich pomocnicy bez reszty pochłonięci byli walką, ludzie ci, a ich nazwiska są już zbyt dobrze znane, szykowali uchwycenie w swoje ręce władzy". Uważał, że wzięli oni udział w niegodnej grze z udziałem władz francuskich: „Było jasne, że spadkobierca ideologii Komendanta i wódz z wojny, który reprezentował tak olbrzymi wkład, jaki włożyła Polska w tę koalicyjną wojnę w stopniu tak co do przygotowań, jak i walk i ofiar – że ten Wódz, nie uznający niczego jak tylko honor i dobro Polski, a tak daleki od obcych agentur – będzie dla Francji niewygodny – zbyt wiążący w jej zobowiązaniach [...] Trzeba więc było tych ludzi unieszkodliwić, a znaleźć przez fas et nefas takich, którzy związani osobiście aż nazbyt z klikami Francji”.

Po upadku Francji i ewakuacji do Wielkiej Brytanii został przydzielony w Szkocji do brygady strzelców. 7 czerwca 1941 roku, rozkazem Sikorskiego, został przeniesiony do obozu w Rothesay na wyspie Bute, *de facto* miejscu odosobnienia dla jego przeciwników politycznych. Oznaczało to dla niego trzyletnią przerwę w służbie.

W publicystyce ostro polemizował z tymi pośród socjalistów, którzy widzieli możliwość współpracy z komunistami, jak Jan Szczurek, który pisał o „zdradzie sztandarów demokracji” w przedwojennej Polsce. Münnich odpowiedział mu: „Czy jesteśmy na wojnie socjalnej z takim czy innym ustrojem społecznym, jaki ktoś czy sami narzucamy naszej Ojczyźnie – czy też walczymy z zaborcą, a raczej z dwoma zaborcami, którzy nie tylko, że wcale nie myślą o takiej czy innej formie ustroju Polski, ale i tylko o zniszczeniu niepodległości państwowej, a co więcej, zniszczeniu w ogóle narodu i elementu polskiego”. Pisał niezwykle trafnie, że Polska „płaci za swoje umiłowanie wolności, za prawo i wolę swobodnego życia narodowego i państwowego, jak płacił za najazdy tatarskie, szwedzkie, powstania narodowe, kiedy to nie było jeszcze doktrynalnych frazesów wiecowych pieniaczy, i płacić będzie po wsze czasy w przyszłości, gdy znów tego rodzaju frazesy przeminą”. Dopiero w styczniu 1944 roku został powołany do czynnej służby przez Naczelnego Wodza generała broni Kazimierza Sosnkowskiego.

► Robotnik w fabryce zespołów elektrycznych

„Pozostanie Tadeusza Münnicha na uchodźstwie było wyrazem niezgody na decyzje, które zostały podjęte w sprawie przyszłości Rzeczypospolitej na konferencjach w Jalcie i Poczdamie. Postawa Münnicha stanowiła świadectwo trwania w wyborze doko-

nanych w młodości w dębickim gimnazjum” – ocenia Marek Gałęzowski.

1 października 1946 roku wstąpił do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, a 28 września 1948 roku został zdembolizowany. Jak wspomina Gałęzowski, „pozbawiony wojskowej emerytury, podobnie jak wielu wyższych oficerów WP, musiał ciężko pracować fizycznie”. Pracował m.in. w fabryce British Thomson w Boreham Wood, a potem w Oddziale Zespołów Elektrycznych fabryki British Communications Corporation w Wembley. Jego żona Irena Münnich pracowała kolejno w PCK w Paryżu, a potem w Glasgow. Po wojnie była urzędniczką w obozach polskich żołnierzy w Wielkiej Brytanii. Tadeusz Münnich był jednym z założycieli Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, który powstał 15 marca 1947 roku. Takie stawiał on sobie cele: „Ustalenie i strzeżenie prawdy historycznej ostatnich epok historii naszej, badanie w pierwszym rzędzie życia i czynów Józefa Piłsudskiego, nurtu z którego wyszedł, wskazań i nauk, które pozostawił – oto najbliższe zadania instytutu”. Był aktywny w życiu politycznym wychodźstwa, w emigracyjnych sporach wspierał prezydenta Augusta Zalewskiego. 12 sierpnia 1954 został podsekretarzem stanu w MON. Syn Krzysztof Münnich tak wspominał jego ostatnie lata: „Szarość życia na uchodźstwie rozjaśniała Ojcu wnuczka Basia, urodzona w 1955 r. Była podrzucana dziadkom, gdy jej rodzice załatwiali różne sprawy w Londynie... Ojciec komponował dla Basi całą serię wierszyków i świetnie się zabawiali”.

► Troska o wielkie wczoraj

Zmarł 12 października 1959 roku. W testamencie, który powstał pięć tygodni wcześniej, pisał: „Pragnę wyrazić moje podziękowanie Wszechmocącemu, który pozwolił mi służyć pod dowództwem naszego Komendanta Józefa Piłsudskiego i stanąć przy boku jego następcy, Marszałka Śmigłego-Rydza, w najczarniejszych godzinach naszej historii. Pragnę także przekazać wszystkim moim towarzyszom broni moje ostatnie pozdrowienia i też przesyłam moje ostatnie pozdrowienia wszystkim członkom mojej rodziny. VIVAT POŁONIA ETERNA!”.

Został pochowany na cmentarzu na Fulham North Sheen w Londynie. Historyk Władysław Półoś-Malinowski w liście do Ireny Münnich tak napisał o jej zmarłym mężu: „Żyliśmy tą samą troską o wielkie wczoraj naszego pokolenia, jednakowo rozumieliśmy potrzebę utrwalenia prawdy”.

Koziołek, Przemysław i Zakopane

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa



Książki Kornela Makuszyńskiego cieszyły się taką popularnością wśród najmłodszych, że czasami prowadziło to do wręcz groźnych wypadków. Jeden z jego młodych fanów postanowił sprawdzić, czy w uchu da się upchnąć tyle przedmiotów, ile wcisnął tam szewc Kopytko, bohater jednej z historyjek Makuszyńskiego. Życie to nie bajka, więc oczywiście się nie udało. Nieszczęsny dzieciak przeżył bliskie spotkanie z chirurgiem.

Powyższą anegdotę opisano w tekście „Można pęknąć ze śmiechu”, zamieszczonym na łamach „Gazety Krakowskiej” 31 lipca 1988 roku. Kornel Makuszyński kojarzy się przede wszystkim z twórczością dla najmłodszych, chyba każdy zetknął się z jego dziełami jeszcze w szkole podstawowej.

Autor „Szatana z siódmej klasy” urodził się 8 stycznia 1884 roku w Stryju, na dzisiejszej Ukrainie, jako szóste z siedmiorga dzieci Edwarda Makuszyńskiego. Cezary Kassak miał okazję rozmawiać z siostrzenicą Makuszyńskiego, Jadwigą Tarnawską, córką jednej z siostr pisarza. Z jej opowieści, przytoczonych w tekście „Wujek Kornel bardzo nas rozpieszczał” („Gazeta Codzienna, Nowiny”, 6 października 2013 r.) wynika, że ojciec Kornela był prawnikiem, ale służył także w wojsku austriackim. Ciągoty narodowościowe musiały być w nim jednak silne – zrzuciwszy barwy cesarskie, przystąpił do Powstania Styczniowego, czego zresztą o mało nie przypłacił życiem. Wśród legend rodzinnych przetrwała opowieść o tym, jak to już po upadku powstania Edward wraz z towarzyszami wędrował do domu. Dwóch z nich poszło do wsi, przynieść coś do jedzenia. Zostali zabici. Szczęśliwie ojca Makuszyńskiego nie było w owej dwójce. Ale i tak na parę lat musiał uciekać z kraju, by uniknąć kary za dezercję. Co do matki, to nosiła imię Julia i wywodziła się z rodu Ogonowskich. Jak podaje Kassak – zajmowała się przede wszystkim prowadzeniem domu. Szybko została zresztą wdową. Ojciec Kornela zmarł, gdy syn miał 12 lat.

► Szatan z II b

W tekście „Ojciec Koziółka” zamieszczonym w „Słowie Ludu” 10 września 2004 roku pojawia się opowieść o tym, jak katechetę, który zabraniał uczniom ślizgania się na zamrożonym stawie, podsumował wierszykiem: „Na próżno jęcza/w ubraniu księdza/z lodu nas spędza! / W pierwszej b klasie/w zimowym czasie/nikt mu nie da się!!!”. Oczywiście kiedy władze szkoły wykryły, kto jest autorem wiekopomnego dzieła, Makuszyński wyleciał z gimnazjum na zbity pysk.

W ten właśnie sposób trafił do Przemyśla. Jak podaje Cezary Kassak w innym zamieszczonym w „Nowinach” tekście („Przemyski epizod Kornela Makuszyńskiego”, 11 sierpnia 2013 r.), do gimnazjum w Przemyśle zaczął uczęszczać we wrześniu 1896 roku. Kassak przytacza wypowiedzi członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyśle, pracownika Instytutu Historii UJ Tomasza Pudłockiego, który badając przemyską młodość autora „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, ustalił, że młody Kornel należał do klasy II b, której wychowawcą był Leontyj Kuźma wykładający język polski oraz łacinę. Młody Makuszyński uczył się zresztą śred-

Kornel Makuszyński (z prawej) z Janem Kiepurą, 1933 r.

nio, by nie powiedzieć kiepsko. Trójki często wpadały do jego dzienniczka.

Jednak i w Przemysłu długo miejsca nie zagrzał. Tym razem nie poszło o księdza, lecz o innego rodzaju jędzę, mianowicie – o kobietę. Czy też raczej o dziewczynkę, która podobnie jak Kornel miała 12 lat. Miała na imię Kazia, a jej ojciec był radcą sądowym. Nie jednemu Kornelowi Kazia zawróciła w głowie. Zwrócił na nią uwagę także jego kumpel, Zygmunt. Jak wiadomo, takie sprawy należy rozwiązywać po męsku, panowie postanowili więc stanąć do pojedynku. Sekundantów nie było, ale jeden z chodzących do szkoły chłopców dostarczył broń – świsnął ją z lombardu swego ojca. Pistolety wypchano gazetami, gwoździami, tłuczonym szkłem i co tam jeszcze było pod ręką. Pierwszy strzelił Zygmunt, Kornel upadł, bo... się przestraszył. Przeciwnik nie miał tyle szczęścia – partacki ładunek podczas strzału rozwalił łufę. Na szczęście rany nie były poważne, czego nie sposób powiedzieć o konsekwencjach zdarzenia, bo obu delikwentów usunięto ze szkoły. A Kazia? Podkochiwała się w starszym koledze, więc dramatyczny pojedynek niewiele ją obszedł.

► Bo wydawcy to są dziwni ludzie

Następne gimnazjum, do którego trafił, było już we Lwowie. Tu już aż tak widowiskowych przygód nie było, w 1903 roku Makuszyński szczęśliwie zdał maturę i rozpoczął studia. Pisał recenzje teatralne, a w 1908 roku udało mu się zadebiutować tomikiem poezji – „Połów gwiazd”. Nie był to jednak pierwszy raz, kiedy nazwisko Makuszyńskiego pojawiło się w druku. Jak podaje Monika Florek-Mostowska w tekście „Awantura o Makuszyńskiego” („Idziemy”, 26 sierpnia 2012 r.), nastoletni Kornel pisał poezję do szuflady. W końcu jednak zmotywowany przyjazdem Henryka Sienkiewicza do Lwowa wybrał dwa najlepsze swoje sonety i zaniósł je do redakcji „Słowa Polskiego”. Wiersze chyba przypadły do gustu, bo jeden z utworów wydrukowano. Kiedy jednak zgłosił się po honorarium, Jan Kasprowicz – wówczas jeden z redaktorów „Słowa” – aż przysiadł z wrażeń, że po owe dwie korony i osiemdziesiąt halery (tyle wynosiło wynagrodzenie) przybył nieopierzony małolat.

Ze „Słowem” Makuszyński związał się zresztą na czas jakiś. W książce „Życie wśród wielu. Wspomnienia” Stanisław Lam pisze, że choć Makuszyński miał nieco ponad 20 lat, szybko stał się jednym z głównych współpracowników dziennika, a to ze względu na „nieokiełnany temperament”, „niezwykłą łatwość pióra”, cięte sprawozdania teatralne i dowcipne korespondencje”. Wróćmy jednak do „Połowy gwiazd”, bo z nim wiąże się opowieść dobrze obrazująca realia świata twórczego na początku XX wieku. Historię opowiadał sam Makuszyński Januszowi Meissnerowi, on zaś opisał ją na łamach „Przekroju” 22 stycznia 1955 roku. Otóż, jak wyjaśniał

Kornel, „przed pół wiekiem wydawcy byli dziwnymi ludźmi [...] byli ostrożni, nieufni i goli”. Niemniej jednak początkujący literat znalazł dojścia do niejakiego Alfreda Altenberga, popularnie zwanego Fredziem. Był to „wydawca uroczy, ryzykant na wielką skalę, doskonały brat-łata”. Jemu to właśnie Makuszyński zaproponował, by wydał mu tomik poezji. „Ta, czemu nie?” – odparł Fredzio. „A zapłacisz?” – dopytywał się Makuszyński, bo przecież nie samą sławą żyje człowiek. Fredzio odparł z rozbijającą szczerością: „A skąd ja mogę wiedzieć, czy zapłacę?”. Jak podsumował Makuszyński, „takie doskonałe interesy robiło się z wydawcą w roku 1907”. Honorarium okazało się zresztą powalające: ucztą ze śledziem, wódką i serdelkami.

Makuszyński zaczął mimo to wydawać coraz więcej. W 1910 roku ukazały się „W kalejdoskopie”, „Historie romantyczne” i zbiór humoresek „Rzeczy wesołe”. Książeczka ta zresztą wywołała dość spore kontrowersje, a to dlatego, że dość dziwnie komponowała się z epoką. Jak wyjaśniał sam Kornel Meissnerowi, „Białe pawie” Stanisława Przybyszewskiego i jego przybocznych szatanów „były już wypierzone”, a „żółte ametysty» bardzo zaczęły wyglądać na szkiełka”. „Wobec tego moja rozsławiana książeczka wydała się bluźnierczą parodią i z wielu stron wołano: – »To nie jest literatura!«. A książka była rozchwytywana, bo jak stwierdził Ortwin [Ostap Ortwin, czyli Oskar Katzenellenbogen, polski dziennikarz i krytyk literacki – przyp. M.Z.] była przyjemnym odprężeniem po uciążliwym i nużącym patosie, i pisana była najzwyczajniejszą ludzką mową, i nie wydzieriała sobie włosów z głowy, boleśnie jęcząc” – wspominał Makuszyński.

► Żony i inne baby

Pierwszą żoną Makuszyńskiego była Emilia Bażeńska, hrabianka z położonego pod Wilnem majątku Burbiszki. Jak pisze Leszek Mazan w tekście „Słońce w herbie”, zamieszczonym w „Przekroju” 1 sierpnia 1993 roku, pisarz zobaczył swoją przyszłą żonę modlącą się przy królewskich grobach na Wawelu i „zakochał się miłością graniczącą z uwielbieniem”. Z kolei Joanna Olech w tekście „Patos i zwykłe dobro” („Tygodnik Powszechny”, 3 sierpnia 2003 r.; autorka podkreśla jednak, że przy jego pisaniu korzystała z opracowania Joanny Kowalczykówny „Z badań nad warsztatem literackim Kornela Makuszyńskiego jako autora powieści dla młodzieży” i referatu Jacka Kobuszewskiego z okazji 100-lecia narodzin pisarza) zaznacza, że Emilia była muzą młodopolskiej Cyganerii Lwowskiej, którą interesowali się Leopold Staff i Tadeusz Boy-Żeleński.

Czy Makuszyński angażował się w próby budowy wolnej Polski? W „Wiadomościach Literackich” z 15 listopada 1936 roku opisywał zdarzenia sprzed „przeszło 30 lat”. Wspominał swoją znajomość z Wincentym Luto-

slawskim, filozofem, publicystą i działaczem społecznym, który skłonił Makuszyńskiego i „jeszcze jednego uczonego” do wyprawy na Górny Śląsk. Tam Makuszyński obserwował, jak Lutosławski spotyka się z ludźmi. „Z młodzieńczą zjadłością, odurzeni i porwani, postanowiliśmy chociaż w drobnej skali naśladować Lutosławskiego. On, przez kilka dni pobytu, poruszył sumienia i rozhuśtał śpiące morze. Mówił, pisał, nauczał i radził” – wspominał późniejszy autor „Szaleństw panny Ewy”. Lutosławski na Śląsku kontaktował się z Joachimem Sołtysem, który wydawał piśmko dla górników pt. „Iskra”. „Mnie w tej chwili jako dwudziestoletniego »literata« (niebo zagrzmiąło mruklwym grzmiotem na temat: »Pożal się, Boże!«) odkomenderowano do roboty w tem piśmie. Ha! »Mierz siły na zamiary!«... Czując raczej jakimś piekielnie wzmrożonym napięciem, niżli wiedząc co i jak pisać należy, pisałem: wiersze, nowele, opowiadania. [...] więcej w tych ramotach gorzało jasnej, uczciwej miłości, niż w stu książkach, które postanowiłem napisać w mętnej przyszłości” – podsumowywał ten okres swojego życia Makuszyński.

Jak wyglądał jego pobyt na Śląsku? Wspominał, że sypiał na strychach i w pustych szopach, szybko bowiem stało się jasne, że mimo młodego wieku i niepozornego wyglądu szybko stał się postacią rozpoznawalną, zwrócił na siebie uwagę władz. Zdarzyło się nawet, że zmuszony był uciekać przez jakieś płoty i parkany. „Przedemną biegła moja zastrachana dusza i mały zamorusany chłopczyzna, pędrak niebywale sprytny i znakomicie obeznany z terenem. Ten-ci mi wskazywał drogę w gorącej chwili. Zwał się Jaś”. Po latach spotkał tego Jasia, dorosłego już mężczyznę, pełniącego wówczas funkcję burmistrza.

Wróćmy jednak do kobiet. Wspomniana już Joanna Olech pisze o jego niechęci do płci pięknej, zaznaczając, że w tekstach humorystycznych często dowodził słabości intelektualnej niewiast, co być może miało związek z jakimś „wstydlwym kompleksem pisarza”. Ten zaś mógł wynikać właśnie z wielkiej urody i powodzenia towarzyskiego jego pierwszej żony. Jak miała wyglądać owa niechęć? Olech przytacza takie zdania z utworów Makuszyńskiego jak to, że „kobieta duszy nie ma, bo się boi wody, psa, papierosów, ognia i ciemnego pokoju” czy że „piękna kobieta jest jak kaczką – za dużo dla jednego, za mało dla dwóch”.

Nieco inne światło na tę sprawę rzuca jednak zdanie Ludwika Hieronima Morstina, który na łamach „Przekroju” („Kornel Makuszyński”, 25 września 1955 r.) wspomina, że pisarz cieszył się powodzeniem u kobiet, „mimo licznych antyfeministycznych ustępów w jego humoreskach. A może właśnie dlatego”. Morstin dowodził bowiem, że „kogo jak kogo, ale kobiet nie zwiedzie tak łatwo. Czują one, że poza tą maską szydercy rodu niewieściego, ukrywa się jego wielki miłośnik i wyznawca. Miał nie sarmackie zainteresowanie psychologią kobiety, uro-

kiem jej umysłowości, odmienną logiką myślenia i odczuwania. Odwdzięczały mu się jak mogły, szerząc sławę jego pisarskiego talentu”. Słuszności tego ostatniego sądu może dowodzić fakt, że bohaterkami – tych głośniejszych – jego utworów były dziewczyny. I to takie z pazurem, z charakterem.

Emilia Bażeńska zmarła dość wcześnie, w 1926 roku, w tym samym, w którym pisarz otrzymał Państwową Nagrodę Literacką za „Pieśń o Ojczyźnie”. Rok później pisarz poślubił Jadwigę Gluzińską, która była jego towarzyszką do końca życia.

► 12 biustów Kościuszki, 2 uszkodzone

Po I wojnie światowej Makuszyński i jego pierwsza żona zamieszkali w Warszawie, choć już w czasach międzywojnia pisarz często przebywał w Zakopanem. Trudno wymienić wszystkie książki, jakie wydał do czasu rozpoczęcia II wojny światowej, było ich kilkadziesiąt. Dla porządku wypada przypomnieć te najważniejsze: „Słońce w herbie” (1919), opartą na motywach autobiograficznych powieść „Bezgrzeszne lata” (1925), „O dwóch takich, co ukradli księżyc” (1928), „Przyjaciel wesołego diabła” (1930), „Panna z mokrą głową” (1932), „Uśmiech Lwowa” (1934), „Wyprawa pod psem” (1935), „Awantura o Basie” (1937), „Szatan z siódmej klasy” (1937) i „Za króla Piasta Polska wyrasta” (1939). Dużo tego, twórczości Makuszyńskiego dla dzieci nie ma zresztą sensu omawiać, poświęcono jej wiele studiów i opracowań. Warto jednak zaznaczyć, że – jak pisze wspomniany już Morstin – prozę Makuszyńskiego cechowała „niechęć do sytego, egoistycznego mieszczaństwa, żyjącego w brzydkich meblach, hołdującego zastarzałym przesądom i pod maską obłudnej cnoty kryjącego drapieżne instynkty”. Takim typom przeciwstawiał humanistę, kogoś, kto umie współczuć, kochać „Piękno, Sztukę, bliźnich i wszystkie uroki życia”.

Warto jednocześnie zaznaczyć, że Makuszyński nie był przy tym pisarzem osobnym, ale bardzo szybko stał się częścią środowiska literackiego, swego „Parnasu”. Antoni Słonimski w „Alfabecie wspomnień” („Szpilki”, 19 stycznia 1984 r.) zaznacza, że w „Astorii”, gdzie w 1918 roku zbierał się literacki światek, Makuszyński siedział, razem z m.in. Nowaczyńskim i Perzyńskim, przy stoliku „endeków”, on sam przy stole „lewicowym”. „Kornel w swojej kordialnej potrzebie przyjaźni przekraczał często linię demarkacyjną obu stolików” – zaznacza. Do takiej sytuacji doszło m.in., kiedy pewnego dnia podszedł do Słonimskiego i rzucił mu tajemniczo: „Jest nowa restauracja. »Alkazar«. Na Królewskiej. Dają sztukę mięsa z rurą”. Warto zaznaczyć, że w czasach powojennej monotonii żywieniowej był to news na wagę złota.

Ślonimski wspomina także, jaki to numer wyciął kiedyś Makuszyńskiemu wraz z Leonem Schillerem i Janem Lechoniem. Otóż Makuszyński urządzał swoje imieniny. Przyjaciele postanowili więc wysłać mu prezent niedrogi, acz okazały. W związku z tym na Sewerynowie nakupowali rozmaitych przedmiotów, zupełnie od czapy. Wśród prezentów znalazły się: dwanaście gipsowych biustów Kościuszki (dwa uszkodzone), osiem desek do prasowania, dwadzieścia cztery tuziny kamieni do białych pantofli, dwadzieścia kilo buraków, dwa tysiące gilz do papierosów, cztery balie oraz furmanka koksu. Prezenty były nie tylko od czapy, lecz także zupełnie niepraktyczne, bo Makuszyński buraków nie lubił, białych pantofli nie nosił, papierosów nie palił w wersji z ustnikami, a koksu nie potrzebował, bo miał centralne ogrzewanie. Uradowani swoją pomysłowością goście najpierw wysłali cały ten majdan na adres Makuszyńskiego, a dopiero potem postanowili zjawić się osobiście. Z imprezy jednak wyszły nici: solenizant zabarykadował się w domu i kłopotliwych gości nie wpuścił. Może z obawy, że przyniosą ze sobą drugą partię wątpliwych darów? Na pewno się jednak na nich nie obraził, bo później oświadczył jedynie: „kochane stare wariaty (a jak twierdził Ślonimski dla Makuszyńskiego „kochanym złotym wariatem” był prawie każdy), musiałem się na dwa dni przenieść do hotelu”.

Sztubackie żarty i czarujący czas dwudziestolecia międzywojennego przerwało wkroczenie wojsk niemieckich do Polski. Okupację Makuszyński i jego druga żona przeżyli w Warszawie. Jak zaznacza Monika Florek-Mostowska, pisarz udzielał się wówczas w konspiracyjnej prasie, a po wojnie wraz z małżonką na stałe przenieśli się do Zakopanego, na piętro willi „Opolanka”, której właścicielem był Jan Knosala, znany wówczas lekarz.

Nim spojrzymy na powojenne losy pisarza, poświęćmy jeszcze chwilę dziełu napisanemu jeszcze przed tym, jak Niemcy wkroczyli do Polski. Makuszyński zdołał stworzyć coś unikatowego, z czego do dziś jest najbardziej znany – „Koziołka Matołka”.

► Smętek koziej mordy

Mariusz Urbanek w tekście „121. Przygoda Koziołka Matołka” („Gazeta Wyborcza”, 29 maja 2017 r.) wspomina, że pomysł powstania książki o przygodach Koziołka bynajmniej nie wypłynął od Makuszyńskiego, lecz od grafika Mariana Walentynowicza, który wraz z Janem Stanisławem Gebethnerem odwiedził pisarza w Otwoku. W tamtejszym sanatorium Makuszyński walczył z cukrzycą. Pomysł był prosty – Walentynowicz rysuje, Makuszyński pisze tekst. Anegdota wyjaśnia, skąd wziął się Pacanów, do którego Matołek pragnał dotrzeć. Otóż Makuszyński i Walentynowicz w jakiejś knajpie napotkali niesamowicie smutnego faceta. Tknięci po-

rywem serca zapytali go, czego taki strapiiony. Wówczas mężczyzna wyjawiał, że pochodzi z Pacanowa, ale o mieście tej nikt nie słyszał. No to mu ją Walentynowicz z Makuszyńskim rozślawili.

Choć perypetie Koziołka cieszyły się popularnością, już w dwudziestolecie nie brakowało takich, którzy na najślawniejszej polskiej kozie wieszali psy. Poetka dziecięca Wanda Borudзка na łamach „Wiadomości Literackich” twierdziła, że to „przygody nie tylko matołka, ale przede wszystkim dla matołków”. Zaznaczała także, że „Walentynowicz musi wiernie naśladować małpie skoki tekstu. Myli się jednak, jeśli przypuszcza, że dzieci przenikają finezję smętku tej koziej mordy”.

Wyrzekania Borudzkiej to jednak nic przy tym, co z Koziołkiem zrobiła Polska Ludowa. Krystyna Heska-Kwaśniewicz przypominała 17 sierpnia 2003 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego” („Koziołka Matołka bój ze stalinizmem”), jak to na plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich poświęconym literaturze dla dzieci i młodzieży w 1951 roku Grzegorz Lasota zarzucał utworom Makuszyńskiego „negację walki klasowej”, a Wanda Grodzieńska i Seweryn Pollak podkreślali, że od problematyki społecznej odwracają uwagę dzieci „głupawe wierszyki o koziołkach-matołkach, pełne bzdurnych, nieprawdopodobnych przygód”, na dokładkę podobne do amerykańskich komiksów.

Kiedy książkę wznowiono w 1956 roku – Makuszyński wówczas nie żył – dokonano serii zmian, przynajmniej częściowo dopasowujących ją do PRL-u: kolumna Zygmunta przemieniła się w Pałac Kultury, samolot z polskimi barwami przeistoczył się w sowieckiego miga, także żołnierze wyglądali już jak ci z czasów PRL-u. Heska-Kwaśniewicz zaznacza zresztą, że i później Koziołka spotkały represje. W czasach stanu wojennego z obiegu wycofano pocztówkę, na której Matołkowi ubranemu w wojskowy mundur przygląda się wrona.

A przecież Koziołek jest nie tylko sympatyczny, lecz także na wskroś polski. W „Dzienniku Wschodnim” („Koziołek Matołek a sprawa polska”, 24 grudnia 1998 r.) Krzysztof Lubczyński dochodzi do wniosku, że „tworząc dla dzieci, Makuszyński i Walentynowicz dali przy okazji także coś dorosłym: rodzaj żartobliwej, dobrodziej, choć momentami także wzruszającej parodii smutnego często polskiego losu”, a także ma w sobie „coś i z Kmicica, i z Zagłoby, i Stasia z »W pustyni i w puszczy«, i Wokulskiego, i innych klasycznych bohaterów polskiej literatury”.

► Zemsta Rzymowskiego?

Powojenne lata Makuszyńskiego to czas, w którym pisarz nie tylko odchodził w zapomnienie, lecz także stał się coraz uboższy. Jakże był tego przyczyną? Joanna Siedlecka w tekście „Przyjaciel wesołego diabła” („Pani”, 4 kwietnia 1998 r.) zaznacza, że z początku sytuacja nie

wyglądała jeszcze dramatycznie, to znaczy owszem Makuszyński musiał, jak wielu innych literatów, odbyć rozmowę z Jerzym Borejszą, od wyniku której zależała jego weryfikacja jako członka nowego ZLP. Udało się.

Wydawało się zatem, że jakoś się ułoży. Wydał nową książkę „List z tamtego świata”, wznowił kilka innych, coś tam publikował po gazetach. Zarazem jednak już dało się odczuć, że atmosfera w kraju zaczyna się zągęszczać. Realia we wznowionym w 1946 roku „Szatanie z siódmej klasy” uległy znaczącej zmianie, trochę podobnej do tej, jaka później spotkała Koziółka: Wilno zmieniło się w Pułtusk, nazwy majątków spolszczono. Od 1951 roku utwory Makuszyńskiego uznawano za ideologicznie szkodliwe. Zresztą co się tej komunie dziwić, skoro pisarz napisał taki „Uśmiech Lwowa”, gdzie cały rozdział poświęcony jest cmentarzowi Orląt Lwowskich, czy śpiewane w okopach podczas wojny polsko-bolszewickiej piosenki żołnierskie, m.in. „Ej, dziewczyno, ej, niebogo”. Komu natychmiast skojarzył się Kazik Staszewski i „Sowieci”, ma poniekąd słuszość, chociaż oczywiście tekst Makuszyńskiego znacznie się różni:

*Ej, dziewczyno, ej, niebogo,
Jakieś wojsko pędzi drogą,
Skryj się za ścianę,
Skryj się, skryj!
A ja myślałem, że to maki,
Że to ogniste lecą ptaki,
A to ulany! Ulany!*

Wracając jednak do powojennych losów autora „Awantury o Basie”, to Siedlecka zaznacza, że Makuszyński po swojemu usiłował się nawet włączyć w nowy nurt wydarzeń. I przytacza list do młodych przodowników z okazji Złotu Kongresu Pokoju i Złotu Młodych Przodowników, opublikowany w „Przekroju”. [...] gdybym umiał śpiewać, odśpiewałbym uroczystą kantatę, ale że śpiewam jak podhalański baran, więc tylko im posyłam te słowa. Staram się tak je rymować, aby każde słowo miało doskonale kształt serca” – pisał.

Ale takie deklaracje nie pomogły, Makuszyński ze swoim poczuciem humoru i książkami stanowił zagrożenie ideologiczne. Prawdopodobnie dochodził do tego wątek osobisty. Siedlecka przytacza wspomnienie Przemysława Gluzińskiego, siostrzeńca Makuszyńskiego, z którego wynika, że sam Kornel uważał milczenie wokół swojej osoby za efekt sytuacji o charakterze personalnym. Sprawa miała związek z tym, że pisarz przed wojną został członkiem Polskiej Akademii Literatury. Ciało to liczyło 15 członków; nowy pojawiał się, kiedy ktoś z tego grona zmarł lub zrezygnował. Makuszyński zaś zajął miejsce Wincentego Rzymowskiego, którego z PAL wywalono za plagiat. Pech chciał, że w nowej rzeczywistości Rzymowski został kierownikiem resortu

kultury i sztuki PKWN-u, później zaś ministrem kultury i sztuki. Siedlecka uważa, że Makuszyński prawdopodobnie po prostu nie chciał, by w życiu publicznym funkcjonował ktoś, kto samym istnieniem przypominał o kompromitujących go zdarzeniach.

Tak czy owak, skutki były opłakane. Chociaż w Zakopanem pisarz cieszył się sympatią wszystkich, zarazem klepał biedę. Leszek Mazdan przytacza opowieści Eugenii Wątopek („Słońce w herbie”, „Przekrój”, 1 sierpnia 1993 r.). Kobieta opowiadała, że coraz mniej osób odwiedzało pisarza, najczęściej Janusz Meissner i Roman Brandstaetter. Zaznaczała także, że na rok przed śmiercią pisarz musiał wziąć u Gebethnera pożyczkę, by zwyczajnie „mieć co jeść”, liczył, że coś mu w końcu wydrukują, to dług spłaci. W wielu źródłach pojawia się też informacja, że ci przyjaciele, z którymi grywał w brydża na pieniądze, specjalnie pozwalali mu wygrywać, by w ten sposób jakoś wspomóc pisarza. Podporą była także jego żona, która udzielała lekcji muzyki, nie opuściła męża, a po jego śmierci stała się strażniczką pamięci zarówno o nim, jak i o jego twórczości.

► Honorny gazda

Zmarł 31 lipca 1953 roku, jak zaznaczał Włodzimierz Wnuk na łamach „Tygodnika Powszechnego”, „pojednany z Bogiem, wypowiediany i namaszczonej Olejami świętymi przez sędziwego ojca Rusinowicza od oo. Jezuitów”. Z opisów pogrzebu, jakie zamieszczano w ówczesnych gazetach, jasno wynika, że po Makuszyńskim szczerze płakali zwykli ludzie, mieszkańcy Zakopanego. Górale nie zapomnieli o swoim „honorowym gazdzie”, honorowym obywatelu Zakopanego od czasów przedwojennych. Gdy odświętnie przebrani w ludowe stroje górale nieśli jego trumnę na cmentarz na Pęksowym Brzysku, towarzyszyły im tłumy, a pisarzowi w ostatniej drodze przygrywała „Sabałowa nuta” grana przez kapelę Obrochtów. Nad grobem pisarza przemówił wnuk Sabały, poeta ludowy Adam Pach: „Do gromady honornych ludzi, co leżom na Pęksowym Brzysku, schodzi Mistrz Kornel Makuszyński, Honorny Gazda. Godnie się zasłużył na tym świecie. Swojom gwarom i swoim piórem umiłował ludziom życie... Zapatrzył się w Sabałowe powiedzenie: wyżyj ze sobie smutek a życie stanie ci się milse... Jednak dziś nos zasmucił swoim śmiercią”.

Ileokroć bywam w Zakopanem, a bywam często, odwiedzam cmentarz na Pęksowym Brzysku. Na grobie Kornela Makuszyńskiego zawsze mnóstwo jest kolorowych drobiazgów, zostawianych przez dzieci. 11 listopada 2018 roku Kornel Makuszyński został odznaczony pośmiertnie przez Prezydenta Andrzeja Dudę Orderem Orła Białego. ■

GIETRZWAŁDZKIE REFLEKSJE

CZĘŚĆ 2

Dariusz Jarosiński



Ks. Wojciech Zink obok prymasa Stefana Wyszyńskiego, lata 60.
Niezlomny Warmiak, który jako jedyny nie podpisał w 1953 r. deklaracji
Episkopatu aprobującej aresztowanie prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego

Podczas uroczystości 140. rocznicy objawień Matki Bożej w Gietrzwałdzie ks. abp Józef Górzyński, metropolita warmiński, mówił m.in. „Musimy sięgnąć ponownie do treści objawień i postawić sobie pytanie, co dziś nam, w wolnym kraju chce przez nie powiedzieć Matka Boża. [...] Chodzi o to, abyśmy stali się wewnętrznie wolni, gdyż bez tego nie da się przeżywać daru wolności w wymiarze społecznym i narodowym. [...] Jeśli bowiem damy się wewnętrznie zniewolić, stwarzamy zagrożenie dla zewnętrznej wolności naszej ojczyzny”.



Miesiąc temu pisałem, że Warmia była w czasie przynależności do I Rzeczypospolitej, w latach 1466–1772, fenomenem na skalę europejską, krainą zarządzaną przez biskupów. Rytm życia mieszkańców wyznaczały kalendarz liturgiczny i przyroda. O religijności Warmiaków pisał prof. Hubert Orłowski, emerytowany profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu i Instytutu Zachodniego, pochodzący z wioski Podlejski w pobliżu Gietrzwałdu. „Wiara była sposobem na życie [...]. A może była nie tyle sposobem na życie, co na rozumienie go, na nada(wa)nie mu sensu, na znalezienie ładu w ziemskim bezhołowniu sensów. [...] Warmiacy nie »oddawali się w opiekę Panu swemu«. Nie dopuszczając do siebie myśli o Stwórcy, co ręcznie losem poszczególnych ludzi steruje w sytuacjach, za które oni sami są odpowiedzialni, wiedzieli, że muszą, że powinni liczyć na samych siebie, że jest to ich moralnym, niejako katolickim obowiązkiem. Odnajduję to przeświadczenie po latach w przykazaniu Ojca: »Nie myśl, że możesz ziemię oszukać. Figę pokaże ci na wiosnę, jeśliś jej jesienią właściwie nie uprawiał«. Odnajduję je w filozofii życiowej licznych przysłów gospodarskich, zalecających roztropność, rozważę, a zwłaszcza uwzględnianie przewidywalnego a niekorzystnego obrotu spraw” (Hubert Orłowski, „Warmia z oddali. Odpominania”, Borussia, Olsztyn 2000).

► Trudne dzieje

Prusy Wschodnie, w tym Warmia, były pierwszymi trofejnymi, zdobycznymi terenami Armii Czerwonej w drodze na Berlin. Rozkazy były jednoznaczne: teren wroga należy zwrócić z ziemią, spalić, nie oszczędzać ludności cywilnej. Sowieci weszli do Gietrzwałdu w styczniu 1945 r. Wielu mieszkańców warmińskich wiosek zdecydowało się uciekać na Zachód przed bolszewikami. Ci, którzy zostali, przeżyli tutaj istne piekło. Pijani bolszewicy nie znali litości – gwałcili matki na oczach dzieci, dzieci na oczach matek. Mężczyźni zostali wywiezieni na Syberię – tylko nieliczni wrócili po latach do domu.

Po II wojnie światowej Warmia znalazła się w granicach Polski okupowanej przez Sowieci. Warmiacy stali się obywatelami drugiej kategorii w komunistycznej Polsce, nawet ci identyfikujący się z polskością, polską kulturą, prześladowani w okresie Kulturkampfu czy po roku 1933 przez narodowych socjalistów, czuli się obcymi na własnej ziemi i z bólem serca decydowali się wyjechać do Niemiec. Największa fala wyjazdów miała miejsce po 1976 roku, po podpisaniu umowy Gierka z kanclerzem RFN Schmidtem. Dzisiaj trudno jest naprawić krzywdy wyrządzone przez komunistów Warmiakom, bo nie ma takiej ceny, którą można zapłacić za utraconą ojczyznę.



Matka Boża Gietrzwałdzka dwakroć koronowana

for Arch.

Kościół w Gietrzwałdzie Sowietci zamienili zimą 1945 roku na stajnię dla koni, za ołtarzem załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne. Proboszcza parafii, ks. Franciszka Klinka, który nie chciał dopuścić do wprowadzenia koni do świątyni oraz niszczenia krzyży, bolszewicy brutalnie pobili do nieprzytomności. Kilka miesięcy później kapłan w wyniku odniesionych ran zmarł. Bolszewicy pozostawili Sanktuarium Maryjne niemal kompletnie zdezastrowane, przez kilkanaście lat trwały później remonty i naprawy. Wielu szkód nie udało się już naprawić. Siostry katarzynki mieszały zimą w nieogrzewanych pomieszczeniach Domu Najświętszej Maryi Panny, bo Sowietci wyrwali kotły centralnego ogrzewania.

Rozpoczął się nowy okres w życiu Sanktuarium Maryjnego w Gietrzwałdzie. Wydawać by się mogło, że już nic gorszego niż za czasów Kulturkampfu czy hitlerowskich nie mogło spotkać Kościoła katolickiego. Kiedy w 1937 roku hitlerowcy zakazali działania jakichkolwiek organizacji katolickich, biskup warmiński Maximilian Kaller wystosował list pasterski do wiernych potępiający decyzje władz hitlerowskich. Pisał m.in.: „Nie po raz pierwszy w ciągu dwóch tysięcy lat historii chrześcijaństwa, przepelnione nienawiścią pokolenie zapowiada jego upadek. Jeszcze nigdy od czasów reformacji nie były Niemcy areną tak zaciętej walki o zachowanie wiary chrześcijańskiej”. Mimo zakazów i represji pątnicy przybywali do Gietrzwałdu. W 1940 roku niemiecka żandarmeria nie wpuściła tu 20 tysięcy pielgrzymów pod pretekstem panującej szkarlatyny.

► Odciąganie ludzi od pracy

W sierpniu 1945 roku ks. Emil Klenart CRL z rąk wikariusza kapitulnego diecezji warmińskiej, ks. Jana Hanowskiego, otrzymał decyzję o powierzeniu parafii w Gietrzwałdzie kanonikom regularnym laterańskim. Do dzisiaj sprawują oni kustodię nad sanktuarium gietrzwałdzkim.

Zainstalowana przez Stalina tzw. polska władza komunistyczna czyniła wszystko, by nie dopuścić do odrodzenia kultu maryjnego w Gietrzwałdzie. Komuniści wykorzystywali fakt, że przybywający z Wileńszczyzny i Polski centralnej nowi osadnicy nie znali historii gietrzwałdzkiej świątyni, historii Warmii, objawień Matki Bożej. Oni czcili Matkę Bożą Ostrobramską, Częstochowską, dla nich Panienska Warmińska, jak ją też nazywano, była obca. Deprecjonowano rolę sanktuarium na wszelkie możliwe sposoby. W latach 40. i 50. były to głównie szykany wobec duchownych gietrzwałdzkich, wzywanie ich pod byle pretekstem na „rozmowy”. W czasie tych „spotkań” ubecy starali się zasiać niepokój w środowisku kapłańskim. Rozbijano też kler od środka przy pomocy zwerbowanych tajnych współpracowników. Kreowali oni konflikty między zakonnikami a kuria w Olsz-

tynie. W 1954 roku przybyli do sanktuarium wyrzuceni z warszawskiego klasztoru ojcowie marianie. Ich każdy ruch był bacznie obserwowany przez ubeków, kapusiów. Kilku zakonników ubecy zwerbowali do współpracy.

Komunistyczne władze blokowały powstanie miejsc noclegowych w Gietrzwałdzie, by przybywający tutaj pątnicy nie mieli gdzie się zatrzymać na noc. Istniał zakaz utworzenia choćby niewielkiego baru czy gospody. Aby zniechęcić pielgrzymów do przyjazdów, od prywatnych aut lokalne władze pobierały wysokie opłaty za parkowanie, które oczywiście nie szły na cele sanktuarium. Warto wspomnieć, że przed wojną w tej warmińskiej wiosce, liczącej tysiąc mieszkańców, istniały dzięki ruchowi pielgrzymkowemu cztery karczmy, sklep kolonialny, dwie księgarnie, kilka sklepów spożywczych i piekarni. W Gietrzwałdzie spletała się polskość z katolicyzmem – w 1878 roku, czyli rok po objawieniach maryjnych, z inicjatywy Andrzeja Samulowskiego, nauczyciela, ludowego poety, powstała w centrum wsi polska księgarnia. Gietrzwałdzki księgarz był też współzałożycielem „Gazety Olsztyńskiej” wydawanej w latach 1886–1939, polskiej gazety katolickiej.

Pod wieloma względami polscy komuniści w niczym nie ustępowali Sowietom. W latach 50. za murem sanktuarium powstał lokal gastronomiczny z alkoholem, a tuż obok cmentarza postawiono ubikację. 15 sierpnia 1957 roku w czasie uroczystej Mszy świętej związanej ze świętem Wniebowzięcia Maryi Panny i Matki Boskiej Zielnej, zarazem jednego z trzech gietrzwałdzkich odpustów, esbecy sprowokowali przed lokalem awanturę, bójkę. Dzisiaj nazwalibyśmy to ustawką. Milicjanci, którzy przyjechali na interwencję, oddali strzały z pistoletu w górę, aby podnieść grozę owego zdarzenia. Można sobie wyobrazić, jak to podziało na modlących się wiernych. Bezpieka miała się dosłownie wszystkiego, aby tylko uprzykrzyć życie wiernym – na przejście z kapłanem paruset metrów ze świątyni do źródła należało otrzymać zgodę władz gminy. Wszystkie pielgrzymki trzeba było rejestrować, a wcześniej je zgłosić, inaczej traktowano je jako nielegalne. Na te nielegalne, oczywiście wedle komunistów, nakładane były wysokie kary pieniężne, nierzadkie były przypadki kar aresztu, a niektórzy z pielgrzymów zwalniani byli z pracy. Pielgrzymki sierpniowe i wrześniowe komuniści określali „świadomą i wrogą polityką Kościoła, który w perfidny sposób dążył do załamania akcji żniwnej poprzez odciąganie ludzi od pracy”.

Działalność duszpasterska gietrzwałdzkich kapłanów poddana była przez cały rok totalnej inwigilacji, niemal wszystkie osoby przybywające do sanktuarium były rozpracowywane operacyjnie. Sanktuarium maryjne podlegało innemu opodatkowaniu. Komunistyczny fiskus ścigał z sanktuarium 70 proc. dochodów. Kolegia karno-

-administracyjne nakładały na kapłanów kary grzywny z różnych powodów. Szukano uchybień w księgach rachunkowych, meldunkowych. Karano za brak sprawozdań z punktów katechetycznych.

► Dwakroć koronowana

Inicjatywa koronacji Matki Bożej Gietrzwałdzkiej wyszła od ks. prof. Stefana Ryłki, kanonika regularnego laterańskiego, który w latach 1957–1961 był w Gietrzwałdzie wikariuszem. Koronacja obrazu odbyła się 10 września 1967 roku. Biskupem warmińskim był wówczas ks. Józef Drzazga. Uroczystości odpustowe i koronacyjne rozpoczęły się w środę 7 września. Niezsporami celebrowanymi przez Warmiaka, ks. infulata Wojciecha Zinka. Odtąd aż do niedzieli 10 września trwały w kościele nieustanne modlitwy i czuwanie nocne. O godzinie 11 rozpoczęła się ceremonia koronacji przy ołtarzu polowym. Na głowy postaci Jezusa i Maryi korony nakładał prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński, a wspomagali go: kardynał Karol Wojtyła, abp Antoni Baraniak, abp Bolesław Kominek oraz bp Józef Drzazga. W uroczystości uczestniczyło około 200 tysięcy pielgrzymów. Nie udało się komunistom zniechęcić wiernych do pielgrzymowania. W „Głosie Olsztyńskim”, organie KW PZPR, nie pojawiło się nawet jedno zdanie na temat gietrzwałdzkich uroczystości, również tygodniowy dodatek do PAX-owskiego „Słowa Powszechnego”, „Słowo na Warmii i Mazurach”, przemilczał to religijne wydarzenie. Służba Bezpieczeństwa uruchomiła na niespotykaną dotychczas w Gietrzwałdzie skalę plan operacyjny. Pod szczególnym nadzorem bezpieki znajdował się kardynał Wyszyński. W celu pomniejszenia frekwencji w sanktuarium we wszystkich miastach, miasteczkach, większych wioskach zorganizowane zostały w niedzielę występy artystyczne, imprezy kulturalne, festyny.

Dokładnie rok później w sanktuarium doszło do aktu profanacji. W nocy z 10 na 11 września 1968 roku do gietrzwałdzkiego kościoła włamali się „nieznani sprawcy” i z obrazu wyrwali drogie korony i złote wota. Milicja sprawców nie wykryła. Zniszczone korony odnaleziono pod koniec października 1968 roku na nasypie kolejowym koło Kraśnika na Lubelszczyźnie. Rekoronacja obrazu odbyła się 2 lutego 1969 roku w uroczystość Matki Bożej Gromnicznej. Naprawione korony nakładał ks. bp Józef Drzazga, a wspomagali go ks. bp Jan Oblak i ks. infulat Wojciech Zink.

Jak wynika z dokumentów bezpieki, jeszcze w 1969 roku żaden nauczyciel Szkoły Podstawowej w Gietrzwałdzie nie należał do PZPR. Przed 100. rocznicą objawień maryjnych, obchodzoną w 1977 roku, bardzo mocno uaktywnił się wojewódzki i gminny aparat partyjny, nasiliła się praca bezpieki, tajnych współpracow-

ników. W drugą niedzielę września 1977 roku uroczystości obchodzono 100. rocznicę objawień Matki Bożej. W zastępstwie chorego prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego do Gietrzwałdu przybył kard. Karol Wojtyła. Jak wynika ze Sprawy Obiektowej kryptonim „Jubileusz”, bezpieka miała niemal pełny wgląd w to, co działo się od czerwca do września 1977 roku. Zwerbowano dziesiątki tajnych współpracowników. W czerwcu odbywał się Kongres Mariologiczny. Bezpieka użyła co najmniej pół tysiąca funkcjonariuszy ZOMO, ORM, MO, SB i Służby Ochrony Kolei do tego, by ograniczyć udział wiernych w uroczystościach na gietrzwałdzkich błoniach we wrześniu. Nie wpuszczono wielu autokarów, pod pretekstem choćby braku apteczki czy nawet drobnego wycieku oleju z silnika. Niektóre grupy modlitewne uznane za fanatyków religijnych zostały wywieziono poza granice ówczesnego województwa olsztyńskiego. Mimo wyjątkowych restrykcji, represji, do sanktuarium przybyło ponad 100 tysięcy wiernych.

► Niespełnione marzenia

Osobą wyjątkową, której nie można pominąć przy rozważaniach o gietrzwałdzkiej Panience i sanktuarium, jest ks. Wojciech Zink. Urodził się w 1902 roku. Jego ojciec był Niemcem, urzędnikiem niemieckich kolei państwowych, matka pochodziła z warmińskiej rodziny Tyżaków z wioski Woryty koło Gietrzwałdu. Wojciech swoje życie od najmłodszych lat związał z Kościołem. Po śmierci matki przyjął chłopca do swojej rodziny brat matki, Franciszek Tyżak, zamożny gospodarz z wioski Podlejski koło Gietrzwałdu. Wojciech często wstępował do gietrzwałdzkiego kościoła, odmawiał dziesiątek Różańca, dzielił się swoimi troskami z Matką Bożą przed kapliczką objawień. Jego marzeniem było zostać proboszczem w gietrzwałdzkiej parafii.

W 1919 roku zdał egzamin maturalny i w tym samym roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego „Hosianum” w Braniewie, najstarszej tego typu placówki na terenie Polski, jednej z najstarszych na świecie. W 1924 roku jako subdiakon skierowany został do gietrzwałdzkiej parafii na praktyki pastoralne. Kapłańskie szlify zdobywał u ks. Jana Hanowskiego (1873-1968), wybitnego kapłana, Warmiaka. Ksiądz Hanowski sympatyzował z ruchem polskim na Warmii, utrzymywał m.in. bliskie kontakty z Andrzejem Samulowskim, nauczycielem, księgarzem z Gietrzwałdu. Proboszczem w Gietrzwałdzie był 11 lat, w późniejszym czasie objął probostwo w parafii św. Jakuba w Olsztynie. W styczniu 1945 roku ks. Hanowski uratował olsztyńskie świątynie przed spaleniem i grabieżą przez Sowietów. Jak do tego przekonał wysokiego rangą sowieckiego oficera, dokładnie do dzisiaj nie wiemy.

Jako wikariusz ks. Wojciech trafił najpierw do parafii Gryźliny. Była to parafia, w której wierni identyfikowali się z polskością. W 1927 roku przeniesiony został do parafii Wrzesina, a w 1939 roku objął probostwo w parafii Lesiny. W czasie wojny krótko pełnił posługę kapłańską w Szpitalu Mariackim w Olsztynie. Pod koniec 1944 roku zamieszkał u wuja Franciszka Tyzaka w Podlejkach. 22 stycznia 1945 roku do Podlejek weszli Sowieci. Ksiądz Wojciech ukrył w piwnicy sutannę i liturgiczne paramenty, naczynia. Podzielił los swoich współrodaków – został wywieziony przez Sowieców do obozu pracy w Pruskiej Iławce. Z obozu uciekł w marcu 1946 roku. Tuż po powrocie w rodzinne strony, długiej pieszej wędrówce, pierwsze swoje kroki skierował do gietrzwałdzkiej świątyni. Tutaj odprawił mszę. Był wychudzony, w zniszczonym potwornie ubraniu, bliscy ledwo go poznali. Schowana w piwnicy w Podlejkach sutanna zbutwiała i nie nadawała się do użytku. Nową sutannę i koloratkę podarował ks. Wojciechowi ks. Hanowski. Na życzenie ks. Teodora Benscha, administratora diecezji warmińskiej, ks. Zink podjął posługę kapłańską w olsztyńskim Szpitalu Mariackim. To była jego pierwsza praca jako polskiego kapłana. W niedługim czasie ks. Bensch zaproponował ks. Zinkowi pracę sekretarza w kurii biskupiej, nie bez znaczenia był fakt, że ks. Wojciech posiadał umiejętność pisania na maszynie.

W styczniu 1951 roku komunistyczne władze odwołały ks. Benscha ze stanowiska administratora diecezji i nakazały mu opuszczenie Warmii. Podobny los spotkał ks. Karpińskiego. Rada Konsultatorów Diecezjalnych na następcę ks. Benscha wybrała ks. Zinka. Było to duże zaskoczenie dla wszystkich: jakże to, prosty kapłan, Warmiak, kaleczący język polski, ma być głową Kościoła katolickiego w diecezji warmińskiej? Po latach można zaryzykować stwierdzenie, że Matka Boża Gietrzwałdzka miała swój udział w tym wyborze. Pół roku później, po reaktwowaniu kapituły katedralnej, został wybrany także wikariuszem kapitułnym. W tym okresie ks. Wojciech nawiązał bliskie relacje z ks. prymasem Stefanem Wyszyńskim, choć obaj byli formowani w różnych środowiskach, to jednakowo rozumieli służbę dla Boga, Kościoła, powinność kapłańską wobec wiernych.

W 1952 roku wielu księży diecezji zostało aresztowanych przez UB, sporo kapłanów otrzymało nakaz opuszczenia Warmii. W trudnych momentach ks. Zink jechał do Gietrzwałdu i prosił proboszcza o zezwolenie odprawy mszy. Ta świątynia była jego domem. Po mszy, kiedy kościół pustoszał, długo modlił się w ławce dla wiernych, jak ongiś jako młody chłopak. Rozmawiał z Matką Bożą jak syn z matką. Szukał u Niej rad i pocieszenia, pomny Jej słów z objawienia: „Nie smućcie się, ja zawsze będę z Wami”. Później, bez względu na pogodę, porę dnia, odmawiał dziesiątek Różańca przed kapliczką

objawień Matki Bożej. Zawsze też znajdował czas na samotny spacer w kierunku wioski Woryty, skąd pochodziła matka Augustyna i Barbara Samulowska, wizjonerka, której objawiła się Matka Boża.

► *Non possumus*

W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć fragment mojego tekstu o ks. Zinku, który został niegdyś opublikowany w „Niezależnej Gazecie Polskiej” (nr 18/2007).

Komunistyczni funkcjonariusze, zarówno z UB, jak i z Urzędu ds. Wyznań, nie wahali się przed najbardziej wyrafinowanymi represjami wobec Kościoła, niemal na porządku dziennym były prowokacje, groźby. Liczyli na to, że uda im się – właśnie na tzw. ziemiach odzyskanych – zasiać niesnaski wśród duchowieństwa – choćby na tle narodowociołym, doprowadzić do konfliktów między ludnością autochtoniczną a nowymi osadnikami – że uda im się wykorzystać rozliczne problemy nagromadzone tutaj do walki z religią, chrześcijaństwem, Kościołem.

Ksiądz Zink, podobnie jak jego poprzednik – ks. Teodor Bensch – odważnie bronił księży autochtonów. Zdecydowanie sprzeciwiał się ich wysiedlaniu, aresztowaniom. Mimo wielu groźb, nacisków, prześladowań – ks. Zink nigdy nie wydał oficjalnego pisma akceptującego nowy system polityczny. Nie zgodził się na ograniczenie liczby Mszy św. przed tzw. wyborami do Sejmu PRL.

Okazał się niezwykle trudnym przeciwnikiem dla komunistycznych władz. Nie pozwalał sobie narzucać przez wojewódzkie władze kandydatów na proboszczów; wiele stanowisk w kurii pozostawiało nieobsadzonych na znak protestu wobec nacisków. Rządca diecezji warmińskiej uznawał poza papieżem, i oczywiście Panem Bogiem, tylko jedną władzę zwierzchnią – księdza prymasa Stefana Wyszyńskiego. Utrzymywał stały i bliski kontakt z księdzem prymasem. Jak się wkrótce okazało, obaj wykazali się przed Bogiem nie tylko niezachwianą wiarą, lecz także odwagą. Przeszli ciężką próbę charakteru.

8 maja 1953 roku Konferencja Episkopatu Polski uchwaliła list do komunistycznego rządu, który przeszedł do historii pod nazwą *Non possumus*, a którego autorem i wnioskodawcą był ks. prymas Stefan Wyszyński.

► „Jestem gotów”

We wrześniu 1953 roku ks. prymas Stefan Wyszyński został aresztowany. Ksiądz Zink stanął zdecydowanie w jego obronie, choć zdawał sobie sprawę z tego, jakie grożą mu za tę postawę konsekwencje. 2 października 1953 roku komunistyczni funkcjonariusze zażądali, by ksiądz Zink podpisał deklarację i wezwanie Episkopatu Polski do wiernych oraz komunikat Rady Ministrów w sprawie aresztowania prymasa Polski. 4 października,

w niedzielę, dokumenty te miały być odczytane we wszystkich kościołach. Zdecydowanie odmówił. Został wezwany do stawienia się w gabinecie przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie na godzinę 20. Próbowano wpłynąć na zmianę jego decyzji, przekonując, że przecież już wszyscy członkowie Episkopatu złożyli stosowne podpisy. Połączono go telefonicznie z sekretarzem Konferencji Episkopatu biskupem Choromańskim. Miał mu tylko do zakomunikowania, iż nie zmienia decyzji i żadnej deklaracji nie podpisze. Książd Zink uznawał za bezpodstawne i bezprawne uwięzienie prymasa.

Wieczorem ubecy otoczyli budynek, w którym mieszkał rządcą diecezji warmińskiej. Dostali się do mieszkania przez wybite szyby, ponieważ ks. Zink nie pozwolił na otwarcie drzwi funkcjonariuszom. Mieszkanie zostało splądrowane i przeszukane. Po rewizji książd zapalił papierosa i oznajmił ze spokojem: „Jestem gotów”.

Nie wiedział, dokąd go zabierają komunistyczni oprawcy. Miał prawo myśleć o najgorszym. Został wywieziony do mokotowskiego więzienia przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Oskarżono go o „sabotowanie poleceń władz”, „wykorzystywanie wszelkiego rodzaju świąt i uroczystości w celu szerzenia antypaństwowych nastrojów wśród księży i społeczeństwa”. W mokotowskim więzieniu przebywali już ks. bp Antoni Baraniak i ks. bp Czesław Kaczmarek.

Siedzący w sąsiednich celach duchowni wynaleźli świetną metodę komunikowania się, porozumiewania – przy pomocy śpiewanych w języku łacińskim informacji. Klawisze traktowali te śpiewy jako modlitwy.

Chociaż więzienie ks. Zink opuścił w lutym 1955 roku, to do ukochanej diecezji warmińskiej komunii zezwolili mu na powrót dopiero w grudniu 1956 roku, po tzw. polskim październiku. 6 grudnia otrzymał godność wikariusza generalnego. Pamiętał o nim papież Jan XXIII – nadał mu tytuł pronotariusza apostolskiego (infułata) w dowód uznania zasług dla Kościoła na Warmii. Zmarł 8 września 1969 roku w Olsztynie. Został pochowany na cmentarzu w Gietrzwałdzie.

► Dobre imię Kościoła

Część biskupów, którzy podpisali deklarację i wezwanie do wiernych, w tym przewodniczący Episkopatu bp Michał Klepacz, próbowali deprecjonować odważnego duchownego warmińskiego, m.in. drwiąc, iż ks. Zink tylko dlatego nie podpisał deklaracji, że nie znał języka polskiego. We własne piersi nigdy się nie uderzyli, nie okazali publicznie skruchy.

Książd arcybiskup Ignacy Tokarczuk, kapłan nieugięty wobec komunistów, który w 1952 roku podjął pracę dydaktyczną w Seminarium Duchownym „Hosianum” w Olsztynie, tak wspomina tamten czas

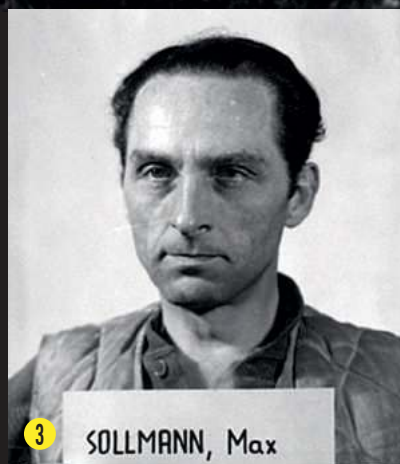
i ks. Zinka: „W całej diecezji odczuwało się dobroczynne wpływy niezwykle wprost szlachetności człowieka – ks. infułata Wojciecha Zinka. Jego rządowi diecezja zawdzięcza bardzo wiele, ale przede wszystkim jasną, pełną odwagi postawę kościelną. Autorytet tego wspólnego Duszpasterza trwał długo jeszcze po jego aresztowaniu przez ówczesne władze polityczne. [...] Boleśnym faktem dla mnie, ale nie tylko dla mnie, był stosunek i potraktowanie ks. infułata Wojciecha Zinka po jego powrocie z więzienia. Bohaterska postawa ks. infułata obróciła się przeciwko niemu. Upokorzeni bohaterską postawą ks. infułata biskupi, przede wszystkim bp Michał Klepacz i bp Zygmunt Choromański zaczęli rozpowszechniać wieści, iż ks. infułata W. Zink odmówił podpisania dokumentu, ponieważ był z pochodzenia Niemcem. Czas jednak zdobyć się na rachunek sumienia i przyznać się, że oświadczenie Episkopatu polskiego po aresztowaniu ks. Prymasa Stefana kard. Wyszyńskiego jest wstydliwą kartą w dziejach polskiego Kościoła po wojnie. Powiedzieć należy o szantażowaniu biskupów w imię jedności, by tylko złożyli swój podpis pod elaboratem. Książd infułata miał prawo odmówić i nie brać udziału, jeśli miał na tyle odwagi, aby ponieść konsekwencje z tego powodu. Dowiedziałem się od biskupów przemyskich, że bp Franciszek Barda po powrocie z konferencji, na której podpisano ten dokument, płakał jak małe dziecko. Powtarzał ciągle: Znałem ks. infułata Wojciecha Zinka, obserwowałem z bliska wydarzenia i wiem z całą pewnością, iż oparł się wspominanemu szantażowi z pobudek wyłącznie prawych, z troski o dobre imię polskiego Kościoła! Był to bowiem człowiek głęboko religijny i człowiek honoru. O jego pochodzeniu mówił mi ks. prałat Hanowski. Matką ks. W. Zinka była Polka. Przed wojną nauczył się języka polskiego, a przez pracę w Kurii, a potem więzienie na Mokotowie, gdzie siedział wraz z całą najszlachetniejszą częścią inteligencji polskiej, wzrastała w nim polskość, a on sam coraz bardziej się tą polsnością bogacił. [...] Znał jak nikt inny problemy ludzi Warmii, ich dramaty i troski i zasługi dla utrzymania tych ziem z Macierzą”.

Książd infułata nigdy nie szczędził swoich sił i umiejętności, aby oprzeć się destrukcyjnym, złowrogim działaniom władz totalitarnych. Zabięgał o jak największą przestrzeń wolności dla Kościoła i wiernych – niezależnie od ich pochodzenia, języka czy przeszłości. W 1953 roku jako jeden z nielicznych kapłanów – członków Episkopatu Polski uratował honor polskiego Kościoła. Szkoda, że jest niemal zupełnie zapomnianym duszpasterzem. ■

Przy pisaniu korzystałem z: Archiwum IPN w Białymstoku, „Sprawa obiektowa kryptonim »Jubileusz«”; Ks. Krzysztof Bielewsky, „Niezwyciężone sanktuarium maryjne w Gietrzwałdzie”.

Agnieszka Kowalczyk

ZABITA TOŻSAMOŚĆ



SOLLMANN, Max

Szacuje się, że w czasie II wojny światowej życie straciły ponad 2 miliony polskich dzieci, a około 200 tysięcy hitlerowcy uprowadzili do Rzeszy w celu ich zgermanizowania. Był to jeden z najbardziej szaleńczych postulatów Reichsführera SS Heinricha Himmlera, który jako fanatyczny wyznawca nazistowskiej polityki rasowej nawoływał w 1938 roku do „ściągnięcia germańskiej krwi ze wszystkich zakątków świata, rabowania jej i kradzenia, gdzie tylko to będzie możliwe”.

1. Dzieci polskie w niemieckim obozie pracy w Dzierżąnej k. Zgierza
2. Rabunek dzieci polskich podczas niemieckiej operacji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie (1943–1944)
3. Max Sollmann, szef Lebensborn

Obsesją nazistów, jak wyjaśnia dr Joanna Lubbecka, stało się stworzenie „superpaństwa dla rasy germańskiej”, a przyjęty przez Hitlera Generalplan Ost zakładał rozrastanie się mocarstwa niemieckiego na ziemie wschodnie zamieszkałe przez Słowian, których naziści uważali za podludzi. Generalplan Ost przewidywał eksterminację 32 mln Słowian i zachowanie przy życiu 14 mln przeznaczonych do niewolniczej pracy. Z podbitych narodów ocalać miały oprócz niewolników „elementy rasowo pożądane”, które zasiliłyby „niemiecką krew” rasę germańską.

I tu właśnie otwierało się pole dla zbrodniczej działalności wobec dzieci z krajów okupowanych, w tym przede wszystkim z Polski. Małych Polaków, spełniających odpowiednie kryteria fizyczne i charakterologiczne, zamierzano „przerobić” na Niemców. Dzieci, zwłaszcza te blondwłose i niebieskookie, wydzierano brutalnie rodzicom, kradziono z sierocińców, porywano z transportów wysiedleńczych podczas przeprowadzanych Sonderaktionen. Tym przestępczym procederem sterowały specjalne niemieckie organy – organizacja Lebensborn oraz Urząd Rasy i Osadnictwa. W pierwszej kolejności pozyskiwano dzieci z polskich terenów wcielonych do Rzeszy, a więc z Pomorza Gdańskiego, Górnego Śląska oraz Kujaw, Wielkopolski i ziemi łódzkiej. Po wstępnej selekcji były one poddawane intensywniej germanizacji w specjalnych ośrodkach Lebensbornu, których na ziemiach polskich powstało sześć, z centralnym w Łodzi. Na młodsze czekały niemieckie rodziny adopcyjne, na starsze – specjalne szkoły z internatami, skąd po wzmocnionym procesie indoktrynacji miały zasilić szeregi Hitlerjugend albo Wehrmachtu.

Prerażającą prawdę o polskich dzieciach porywanych przez nazistów, pozbawianych własnej tożsamości, przeszłości i korzeni, brutalnie germanizowanych, odsłania wydana w październiku tego roku książka dokumentalno-historyczna o znaczącym tytule „Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci”. Jej zawartość stanowią publikacje powstałe w ramach wspólnej akcji portalu Interia.pl i stacji Deutsche Welle, które odsłaniają dramaty najniewinniejszych ofiar zbrodniczej ideologii rasistowskiej. Książka przemawia głosami tych, którzy przeżyli traumę wynaradawiania i odważyli się powrócić do koszmaru dzieciństwa, by dać świadectwo prawdzie, która winna trwać w zbiorowej pamięci jako dokument zbrodni na człowieku i jego człowieczeństwie.

► Prosimy o westchnienie do Boga

Gdy wybuchła II wojna światowa, Józek Sowa był małym chłopcem. Do tej pory razem z rodzicami i czwórką rodzeństwa – Gienkiem, Piotrkim, Jasią i Ir-

ką – żył spokojnie w Wierchowiskach pod Częstochową, nie przeczuwając, jak straszny los zgotują im Niemcy oprawcy. Pewnego jesienno poranka 1941 roku Sowowie odkryli na swym podwórku zakopanych w słomie ludzi, jak się okazało Żydów, zmarzniętych i głodnych... Pozwolili im zostać na trzy miesiące, a w rzeczywistości... na dwa lata. Ukryli ich w specjalnym bunkrze, do którego otwór znajdował się pod końskim żłobem, a samo schronienie stanowił położony kilkanaście metrów dalej dół wykopany na wysokość człowieka, zaopatrzony w komin wentylacyjny. W tej podziemnej kryjówce żyły dwie nauczycielki z gimnazjum żydowskiego w Częstochowie i trzech mężczyzn – Stasiek, Heniek i Leon. Sowowie troszczyli się o nich, jak mogli, dzieląc się z nimi tym, co mieli, najczęściej zalewającą ze szczawiu i gotowanymi ziemniakami.

Gdy w 1943 roku do drzwi ich domu zapukał jeden z partyzantów, niejaki Zyskowski, nie odmówili mu pomocy i ukryli go w bunkrze razem z Żydami. Jeszcze tej samej nocy, 1 września, wyrwało ich ze snu szczekanie psów... To byli Niemcy... Wychodzący za próg ojciec od razu otrzymał cios kolbą karabinu, tak że zakrwawiony padł na ziemię, matkę miłosiernie skopali, cały dom, stodołę, piwnicę przetrząsnęli metr po metrze, zagłądali nawet do studni, kłuli szpicrutami snopy siana, ale niczego nie znaleźli. „Szaleli z wściekłości – odtwarza rodzinny dramat Józef. – Podpalali zabudowania. Wzięli najmłodszego Piotrusia za nogi, idą pod mur, żeby go roztrzaskać i wrzucić do ognia. Do Gienka mówią: powiedz, gdzie to jest. Gienek patrzy na mnie, ja na niego, trzymamy się za ręce. Nic... Brat ukląkł na kolana przed szwabem i prosi go, żeby oddał mu Piotrusia, żeby go nie palił [...] Kazali nam się spowiadać, gdzie są ludzie – polscy bandyci i Żydzi. Nikt z nas nie powiedział”.

W końcu jednak Niemcy sami odkryli wejście do bunkra, rozpoczynając krwawą jatkę. Chwytając kobiety za włosy, wrzucili je do ognia, mężczyzn katowali widłami, cepami, haczkami od kopania ziemniaków. Przerazony Józef widział, jak jego matka podniosła się nagle, chwyciła za rękę dziewczynki i rzuciła się do ucieczki. Biegła kartofliskiem co tchu, wśród ognia karabinów. W pewnej chwili padła jak długa..., ale niebawem podniosła się i pędząc dalej z Ireną i Jasią, wpadła do piwnicy sąsiada. Była wówczas w szóstym albo siódmym miesiącu ciąży. Nie mogąc już uciekać, nakazała dziewczętom biec w stronę lasu, sama zaś pozostała na miejscu, myśląc, że za chwilę pęknie jej serce. I tak wytropiły ją niemieckie psy... Wkrótce też oprawcy wywęlekli nieśczęsną za długie czarne warkoczki i tłukli widłami, których ostrza wbiły się w jej brzuch. W tym czasie dzieci zakuto w kajdany i załadowano do samochodu. Dogorywających rodziców dobijano strzałami z pistoletu. Chłopcy widzieli wszystko. Gienek powiedział wtedy

do brata: „Józiu, nie mamy już rodziców”. Zwłoki Sowów wrzucono do wapna, które ojciec przygotował kiedyś na budowę nowego domu. „Słychać było plusk, plusk i widać było tylko, jak dymek szedł”.

Pierwszy dzień września 1943 roku na zawsze odmienił życie Józefa, Gienka, Piotra, Janki i Ireny. Rodzeństwo wywieziono do Rzeszy. Józef u Niemców czyścił konie i wyrzucał obornik, piętnastoletni Gienek pracował ponad siły w majątku niemieckiego grafa w Grodkowie, a Piotrek objeżdżał wraz z inspektorem pola, zmuszony do mówienia po niemiecku. Irena trafiła do bauerów, gdzie opiekowała się dziećmi, prała i gotowała, a Jasię „przerobili na Niemkę”. Zabrała ją Marianne Pich, „kobieta-hitlerowiec”, której mąż szył buty dla wojska niemieckiego. Dziewczynkę od razu zapędzili do ciężkich prac, uznając za małego niewolnika danego im przez rząd niemiecki. Nie była to już Janina Sowa, ale Anita Pich. Wyszła później za Niemca Rolfa i miała z nim syna Jorga. Po latach Józef odnalazł siostrę, która wyglądała i zachowywała się jak prawdziwa Niemka.

Dziś w miejscu, gdzie rozgrywał się dramat rodziny Sowów, rozciąga się dywan polskających w słońcu chabrow, a wśród nich kryje jest samotna mogiła. Kiedyś, w czasie wojny, był tu dół z wapnem, do którego wrzucono ciała najbliższych Józefa i owych pięciu zamordowanych Żydów. Na płycie nagrobnej widnieje napis: „Prosimy o westchnienie do Boga”, a obok wznosi się drewniany krzyż, który co jakiś czas odnawiają Józef z Gienkiem, przyprowadzając tu swoje dzieci i wnuki, żeby nigdy nie zapomnieli...

► Mroczne tajemnice Pogrzebienia

„Pognali nas pod las – opowiada Józefa Posch-Kotryba. – Załadowali na ciężarówkę i wywieźli do Mysłowic. Mnie, mamę i dwoje rodzeństwa – 3 i 8 lat. Ojca nie. Zdążył się ukryć. Był w ruchu oporu. W Mysłowicach nas rozdzielili. Próbowałam walczyć – chwyciłam mamę za szyję, opłotałam ją nogami – ale nie pomogło. Znów wsadzili nas do ciężarówkę. Miałam wtedy pięć lat”. Taki sam los spotkał też sześciolletnią Annę Szafranec i dwunastoletnią Halinę Skalbmiorską, które brutalnie wyrwane matkom i załadowane na ciężarówkę, wywiezione zostały do Mysłowic do Pogrzebienia. Tam, w przepięknym, neorenesansowym pałacu, Niemcy urządzili obóz dla dzieci (Kinderlager). Anna, choć minęło już tyle lat, ciągle pamięta majestatyczne schody, na których siadała przerażona, czekając na powrót starszej siostry. Nigdy też nie zapomni obrazów „krzyczących, płaczących, brudnych, śmierzących dzieci”, które ze strachem w oczach kręciły się po marmurowych korytarzach, wołając mamę i tatę. „Wszyscy tak samo cierpieliśmy

– wyznaje – tak samo głodowaliśmy, tak samo się moczyliśmy w nocy”.

Halina przypomina sobie ze strachem dużą salę z piętrowymi łózkami, poranną kromkę chleba z czarną kawą i gimnastykę na placu, kiedy to dziewczynki musiały robić szpagat, a chłopcy ćwiczyć na drążku. Do Pogrzebienia trafiła z dwuletnim Wieśkiem, chłopcem siłą wciśniętym jej w chwili odjazdu z Mysłowic przez jakąś zrozpaczoną matkę wywożoną do Auschwitz. Odtąd stali się nierozłączni, trafiali razem do różnych obozów, przeżyli niejedno piekło i wspólnie przetrwali wojnę. Wtedy w Pogrzebieniu sierpniowe noce były bardzo zimne, malec cały się trząsł i płakał, a ona, jego przyszywana mama, zrobiła dziurę w sienniku, włożyła mu do słomy skołcałe nóżki i tak przykryci kocem, szlochając cichutko, zasypiali...

I w tym obozie dziecięcym, podobnie jak w innych, działały komisje rasowe polujące na małych Polaków nadających się najlepiej do zgermanizowania – mierzono im czaszkę, oglądano układ uzębienia, rozstaw oczu, określano grupę krwi i kolor włosów, by zgodnie z absurdalną teorią rasową odróżnić przedstawicieli nadludzi od podludzi. Halina opowiada, że na pierwszym piętrze pałacu mieścił się owalny pokój, w którym dzieci badali ludzie w białych kitlach. Choć było to bardzo krepujące, wszystkie musiały stać nago. Wążono je, mierzono, coś dokładnie zapisywano. Ona znalazła się w grupie zakwalifikowanych do dalszego zniewolenia, może dlatego, że miała piękne, jasne włosy...

Po latach od tych wydarzeń światło dzienne ujrzały listy pisane przez małych więźniów Kinderlagru w Pogrzebieniu. Kryją się w nich imiona, nazwiska, adresy, daty urodzenia 220 dzieci, które deportowane wraz z rodzinami z Podkarpacia, Zagłębia Dąbrowskiego i Żywiecczyny, przeszły przez piekło tego obozu. Anna Szfraniec wyznaje z bólem: „Potem wysłano mnie jeszcze do innych obozów, ale Pogrzebień był najgorszy. Pierwszy po stracie rodziców. Dopiero z czasem człowiek się przyzwyczaja. Po wojnie okazało się, że rodzice nie żyją. Ojciec należał do Orła Białego. Mama trafiła do Auschwitz na blok 15. W lutym 1944 roku już nie żyła. [...] Narasta we mnie bunt przeciwko temu wszystkiemu. Przeciwko temu, co mnie spotkało. Dlaczego musiałam to przeżyć?”.

► „Niepotrzebne” likwidowano

Najstraszniejszy los hitlerowcy zgotowali dzieciom odrzuconym już w pierwszym etapie selekcji rasowej. Te wysyłano na roboty przymusowe do Rzeszy bądź wywożono do obozów zagłady. Najbardziej bodaj dojmującym symbolem wojennego dramatu najmłodszych jest postać Czesławy Kwoki, dziewczynki z Zamojszczyzny, która trafiła do Auschwitz i tu została zamordowana.

Twarz Czesławy zapamiętał dobrze obozowy fotograf Wilhelm Brasse, który wykonał zdjęcia 14 tysiącom więźniów, ale ta niewinna, dziecięca postać była bardzo charakterystyczna, „wyglądała rozbrajająco, taka młodziutka w ubiorze więźnia”. Przed wykonaniem fotografii ocierała jeszcze krew z popękanych warg, bo chwilę przedtem esesmanka biła ją pejcem po twarzy. Po trzech miesiącach obozowej gehenny, 12 marca 1943 roku, uśmiercono ją zastrzykiem fenolu.

Los Czesławy Kwoki podzieliły tysiące innych polskich dzieci zabijanych w ten właśnie sposób na terenie całej Polski. Z obozu przesiedleńczego w Zamościu Niemcy na przełomie lat 1942–1943 wywieźli do Auschwitz około półtora tysiąca osób, a wśród nich 150 dzieci. Najmłodsze nie miały nawet dziesięciu lat. Uznano je za bezużyteczne i nadające się tylko do eksterminacji. Można sobie wyobrazić, co przeżywały te nieszczęsne istoty pędzone wraz z dorosłymi do bydlęcych wagonów, brutalnie do nich wpychane, stłoczone w ludzkim mrowiu, w duchocie i smrodzie, bez wody i jedzenia... Tak z Zamościa do Oświęcimia jechały całe trzy dni. O tym, co działo się z nimi potem, opowiada więźniarz Czesław Węclawik, któremu Niemcy zabili w Auschwitz fenolem żonę i urodzone w obozie dziecko: „W transporcie – wspomina – było oprócz ludzi dorosłych około dwustu dzieci w wieku od ośmiu do dziesięciu lat. Przez dwa miesiące dzieci te były razem z dorosłymi, a później Niemcy zabrali je i ślad po nich zaginął. Do domu żadne z tych dzieci nie wróciło”. Inny z kolei świadek niemieckich zbrodni, Stanisław Głowa, mówiąc o losach dzieci z Zamojszczyzny, wyznaje: „Z całego transportu wybrano około dziewięćdziesięciu kilku chłopców w wieku od ośmiu do czternastu lat [...]. Przeprowadzono ich na blok dwudziesty i tam zostali zabici zastrzykiem przez podoficera sanitariusza Scharpęgo”.

W sumie z Zamojszczyzny wysiedlono około 30 tysięcy dzieci. 10 tysięcy z nich zmarło w obozach zagłady, w trakcie transportu w bydlęcych wagonach bądź podczas brutalnie przeprowadzanych akcji pacyfikacyjnych. Więźniarka obozu koncentracyjnego na Majdanku, Janina Buczek-Różańska, wspomina: „Na jednym z pól było ogrodzone miejsce, gdzie znoszono ciężko chorych i umarłych. Widziałam, jak najbliżsi odnosili umierające dzieci, musieli je tam zostawić żywe jeszcze i często przytomne. Zapyta ktoś, czy płakali? Nie. Nie płakali ani ci, którzy zostawali na polu śmierci, ani ci, którzy odchodzili”.

► Dramat wykorzenionej

Zyta Suś przyszła na świat w 1934 roku. Jej mama, robotnica w łódzkiej fabryce włókienniczej, nie nacieszyła się długo córeczką, gdyż umarła na gruźlicę trzy

miesiące po jej narodzinach. Dziewczynkę przygarnęła przyjaciółka matki, także pracownica fabryczna, ale nie mogąc poradzić sobie z opieką nad małą, oddała ją do sierocińca. Tam też, 14 lipca 1941 roku, przyszli po polskie dzieci niemieccy żołnierze. Zyta nigdy nie zapomniała, jak z samego rana wkroczyli z głośnymi okrzykami do środka, jak kazali ustawić się dzieciom pod ścianami holu i jak jeden z nich, w czarnym mundurze ze swastyką na ramieniu, bijąc pejcem po cholewach, wpatrywał się badawczo w dziecięce twarzyczki. Ten straszny człowiek rozkazał, by nazajutrz umyte i ogolone na łyso sieroty doprowadzić do jednej z podmiejskich łaźni. Tam, rozebrane do naga, miały stanąć przed komisją lekarską. Wśród nich była i mała Zyta, która w ciągu paru miesięcy przeszła przez kilka różnych sierocinów w Rzeszy.

Wiosną 1942 roku przebywała w Bruckowie pod Kaliszem, w zakładzie germanizacyjnym dla dzieci. Tam jednak austriacka psycholog, doktor Hildegard Hetzer wystawiła Życie negatywną opinię: „Brudna, niezdyscyplinowana, bez pohamowania robi to, na co jej przyjdzie akurat ochota, nielubiana przez kolegów, których popycha i szczypie od tyłu. Jakiegokolwiek próby wychowywania nie robią na niej żadnego wrażenia. Opóźniona w rozwoju”. Mimo tej dyskredytującej oceny dziewczynka przetrwała w Bruckowie, bo wcześniej korzystną dla niej opinię wydał Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS. Do dziś nie jest w stanie pojąć, na jakiej podstawie uznano ją za typ aryjski.

Z Bruckowa Zyta wywieziona została jesienią 1942 roku do Szkoły Ojczyźnianej w Achern. Kiedyś mieściła się tam światowej sławy klinika psychiatryczna Illenau, ale jej pacjentów wymordowano w ramach akcji T4, gdyż „chorzy i ułomni nie wpisują się w obraz doskonałego człowieka promowanego przez nazistowskie państwo”. Odtąd miejsce to, położone w urzekającej swym pięknem Badonii, miało służyć „pełnowartościowym Aryjczykom”, a dokładniej „rasowo wartościowym dziewczynkom”, które miały być w przyszłości wzorowymi obywatelkami Rzeszy i maszynkami do produkcji nadludzi. Taki był cel działającej tu placówki, w której znalazło się też kilkadziesiąt młodych Polek uprowadzonych ze swej ojczyzny. Kto trafił do Achern, ten musiał doświadczyć prawdziwej tresury i intensywnej indoktrynacji, których efektem miało być stworzenie idealnego przedstawiciela rasy aryjskiej. Małe Polki otrzymały paradne mundurki, złożone z białych koszul, czarnych krawatów i spódniczek, jakie nosiły członkinie Hitlerjugend, którymi musiały stać się w przyszłości. Ten strój zakładały tylko od święta i podczas nazistowskich akademii, na co dzień chodząc w zgrzebnych ubrankach, nadających się najlepiej do ciężkich prac w kuchni i w polu. Przekraczając progi szkoły w Achern miały na zawsze zapamiętać, że są Polakami.

Zyta była z natury buntowniczką i narastał w niej coraz silniejszy opór przeciwko bezwzględnemu procesowi germanizacji, jakiemu była poddawana. Znalazła w sobie wielką odwagę, by wystąpić przeciwko swym oprawcom i jawnie zamianifestować prawdziwe uczucia i myśli. „Strasznie drażni ją wielki plakat Hitlera wiszący na drzwiach do stołówki – kreśli jej portret Monika Sieradzka. – Pewnego dnia po prostu go zrywa. W napadzie złości wrzuca do pieca kije służące do bicia dzieci. Jest jej wszystko jedno, co z nią będzie. Dość ma tego życia, które jest nieustającą tresurą. Trafia przed oblicze komendanta, który mówi, że Hitler to jej ojciec i żywiciel, za co powinna go kochać.

– Nie wiedziałam, że Hitler jest Bogiem – odpowie.

Na te słowa komendant uderza ośmiolatkę, która przelatuje przez pokój i trafia głową w drzwi. Potem jako karę dostaje kilkudniową głodówkę w lodowatej piwnicy”.

Ta mała burzycielka porządku została wydalona z ośrodka w Achern i wróciła do Łodzi, gdzie trafiła do obozu dla dzieci i młodzieży. Panował tam straszliwy głód, dzienny przydział żywności wynosił 35 g mięsa, 107 g ziemniaków i 60 g kaszy w postaci papkowatej zupy. Za najmniejsze przewinienie na dzieci spadały najsroższe kary. Zyta pamięta dobrze swoją współtowarzyszkę niedoli Gienię, która ze strachu trzy razy pod rząd zmoczyła się w łóżku i trzy razy z rzędu wychłostana została za to przez nadzorczynię Eugenię Pohl. Ta kazała „winowajczyni” kłaść się na specjalnej ławce do bicia, ręce unieść do góry i liczyć uderzenia po niemiecku, nie roniąc przy tym ani jednej łzy. Gdy kara została wymierzona, półżywa Gienia nie była w stanie iść o własnych siłach. Koleżanki dowlekły ją do łóżka, a Zyta czuwała przy skatowanej dziewczynce przez całą noc. „Rano Gienia oświadczyła, że umrze – wspomina. – Pocałowałam ją i poprosiłam, by tego nie robiła. Kilka minut później już nie żyła”. To było pierwsze zetknięcie małej Zyty ze śmiercią.

► „Pamiętaj, że jesteś Polką”

Z obozu w Łodzi Zytę znów zabrano do Niemiec, do ośrodka „Hochland” w Steinhöring, gdzie panował samowładnie doktor Gregor Ebner, szef medyczny całego Lebensbornu. Po dwóch miesiącach pobytu u „niedoszłego hodowcy nadludzi” przygarnięta została przez młode, bezdietne małżeństwo. Nazywała się teraz Zita Sus i mówiła niemal biegle po niemiecku. Po tylu dramatycznych przeżyciach była zachwycona nowymi opiekunami i przytulnym, pięknym domem, sadem, wiklinowym stołem i koszem z egzotycznymi pomarańczami, jakich jeszcze nigdy nie widziała na oczy. Przebywała tu jednak krótko, a wszystko z powodu lalki, którą

ujrzała w swoim nowym, ślicznym pokoiku. „Dokładnie taką samą lalkę – wyzna po latach – miała taka jedna dziewczynka, której zabrano zabawki, gdy wtedy w Łodzi stawaliśmy nago przed komisją lekarską. Może to była ta sama lalka? Może ją stamtąd przywieźli?”. Nie chciała tam dłużej zostać, wołała wrócić do ośrodka Lebensbornu.

Los jednak chciał inaczej. Zyta znalazła nową rodzinę adopcyjną, w której upłynęły jej dwa najszczęśliwsze lata życia. „Zaczyna chodzić do szkoły – pisze Monika Sieradzka – w domu pomaga pani Bliem zszywać z kawałków dzianiny swetry dla Wehrmachtu. Uwielbia buszować w ogrodzie z gruszą i wielkim orzechem. Z zapalem uczestniczy w spotkaniach hitlerowskiego Związku Niemieckich dziewcząt, powoli zapomina o Polsce i polskim języku”. Dopiero przypadkiem napotkany Janek, którego poznała kiedyś w łódzkim obozie, przypomniał jej o polskich korzeniach, mówiąc: „Pamiętaj, że jesteś Polką”.

► „Nie trzeba być zabitym, by umrzeć”

Życie nie było pisane rodzinne szczęście. W sierpniu 1945 roku została zabrana od swoich przyszywanych austriackich rodziców. Wieziono ją w bydłym wagonie z powrotem do Polski, podobnie jak setki innych „Ostkinder”, które po zakończeniu wojny polskie państwo odbierało z domów adopcyjnych i ośrodków wychowawczych w Niemczech i Austrii. Świat Zyty znów się walił. Wiele by dała, by wrócić do swej austriackiej mamy. Tymczasem trafiła do polskiego sierocińca. Sama nie wiedziała, kim tak naprawdę jest – Polką czy Niemką. Czuła się odrzucona, napiętnowana. Wyśmiewano się z niej, nazywając „niemrą”, bo mówiła łamaną polszczyzną. Pewnego dnia Zyta nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, bo... zjawili się po nią rodzice. W istocie to ta sama kobieta, która przed laty oddała dziewczynkę do domu dziecka, i jej mąż, zagorzały komunista. Wyjechała z nimi na Ziemię Odzyskane, gdzie zamieszkali w okolicach Olsztyna. Tu „zaczyna się kolejne piekło małej Zyty. Żyje w izolacji od otoczenia. Nikt nie ma prawa usłyszeć jej twardego niemieckiego akcentu. Do domu przychodzi nauczyciel polskiego. Za każde niemieckie słowo matka wymierza bicze”.

W wieku 26 lat Zyta wyprowadziła się z domu. Zdobyla w Warszawie fryzjerski fach i wyszła za mąż. Po roku jej mąż zmarł. Kolejnym ciosem była dla niej wiadomość, że ludzie, których uważała za swoich rodziców, nimi nie byli. W dorosłym życiu bała się przed kimkolwiek ujawnić swą przeszłość, skrzętnie ukrywała pamiętki sprzed lat. Nie chciała być znów odrzucona i wyszydzona, otaczała się zwierzętami, bo wiedziała, że te istoty, w przeciwieństwie do ludzi jej nie skrzywdzą. Zy-

cie odebrano dzieciństwo i wiarę w drugiego człowieka, zabito w niej dziecko i zadano rany, które nigdy się nie zagoją. „Nie trzeba być zabitym, by umrzeć” – wyzna z goryczą.

► Książka o tych, którym skradziono tożsamość

Takich dzieci jak Zyta i takich dziecięcych dramatów były tysiące. Autorzy książki „Teraz jesteście Niemcami” próbują ocalić od zapomnienia losy najmłodszych ofiar wojny. Po latach docierają do tych, którym wydarto tożsamość i nadano nową, odpowiadającą celom hitlerowskiego państwa. Traumatyczne doświadczenia wojenne nigdy już nie pozwolą im zaznać duchowego spokoju, a jeśli nawet wrócą do ojczyzny, będą musieli żyć ze stygmatem człowieka znikąd, człowieka innego albo i gorszego, bo napiętnowanego „niemczyzną”, która w powojennej polskiej rzeczywistości uchodziła za wcielenie czystego zła i wszelkiej zbrodni. Niniejsza publikacja, stanowiąca wielowymiarowe studium „produkowania” Niemców z polskich dzieci, stworzona została na podstawie relacji świadków i ofiar, współczesnych historyków i badaczy tego zagadnienia, osób zaangażowanych w proces odzyskiwania zrabowanych dzieci na czele z Romanem Hrabarem, wreszcie tych, którzy stali się strażnikami pamięci oraz bojownikami o sprawiedliwość i zadośćuczynienie pokrzywdzonym, by wymienić Jacka Wilczurę, Zofię Tokarz, Christopha Schwarza – założyciela stowarzyszenia „Zrabowane dzieci – zapomniane ofiary” oraz Hermana Lüdekinga walczącego o to, by niemieckie państwo przyznało porwanym status ofiar i należne im odszkodowania. Następujące po sobie kręgi tematyczne książki poświęcone selekcji rasowej, procesowi germanizacji, próbom odzyskiwania skradzionych dzieci oraz kwestiom wykończenia i budowania własnej tożsamości, odsłaniają kolejne akty dramatu małego człowieka pochłanianego przez nieludzką maszynę nazistowskiego systemu, okaleczanego psychicznie, okradanego z przeszłości i własnych wspomnień. „Czy da się żyć ze świadomością, że jest się nie wiadomo skąd? Kim byli moi rodzice, moi bliscy? Skąd tak naprawdę pochodzę? Samo postawienie takich pytań w świetle konkretnych ludzkich historii – pisze dr Michał Drzonek – otwiera przed nami niezmierny horyzont bólu i lęku, z którym zrabowane dzieci musiały się mierzyć przez całe swoje życie. Niekiedy nie uzyskując na nie odpowiedzi”.

E. Karpińska-Morek, A. Waś-Turecka, M. Sieradzka, A. Wróblewski, T. Majta, M. Drzonek, „Teraz jesteście Niemcami. Wstrząsające losy zrabowanych polskich dzieci”, Wydawnictwo M, Kraków 2018.



Ewa Polak-Palkiewicz

Krawiec z Gloster, czyli tajemnica rękodziela

„Człowiek może
bardzo wiele
zniszczyć, ale
nie zmieni
wiecznych wzgórz
i potężnej rzeki”
– pisała autorka
„Krawca z Gloster”
jeszcze jako
osiemnastolatka
w pamiętniku,
późniejsza słynna
hodowczyni owiec
w Krainie Jezior.

W 1903 roku angielska pisarka dla dzieci (ale czy rzeczywiście tylko dla nich?) i malarka Beatrix Potter (1866–1943), miłośniczka wsi angielskiej i znawczyni przyrody (wytrawna, choć tylko amatorka) napisała jedną ze swych najgłośniejszych opowiadań. Była osnuta na motywach bożonarodzeniowej lokalnej legendy, jej bohaterem był krawiec z miasteczka Gloster. „Jak dzień długi, dopóki starczało światła, szył i kroił, dopasowując kawałki atlasu, pomapadour i lystryny; w czasach krawca z Gloster tkaniny miały dziwne nazwy i były bardzo kosztowne. Lecz choć szył piękne jedwabie dla swoich sąsiadów, sam był bardzo, bardzo biedny – stary człowieczek w okularach, z twarzą mizerną i powykrzywianymi palcami, odziany w wytarte ubranie”. Cała historyjka – pozornie naiwna i sentymentalna, w istocie bezpretensjonalna i poetycka – została ozdobiona obrazkami panny Potter zdradzającymi talent malarski, zamiłowanie do miniatur i poczucie humoru.

Zazwyczaj Beatrix, pisując opowiadania o zwierzętach, własnoręcznie je ilustrowała zabawnymi, realistycznymi wizerunkami ich bohaterów. Tym razem delikatnym pędzelkiem zanurzającym w słoiczki z temperami i akwarelami namalowała także „surdut z wiśniowego prążkowanego jedwabiu, haftowanego w bratki i róże, oraz atlasową kamizelkę w kolorze kremowym zdobioną gazą i zielonym wełnianym kordonkiem”, a także „żółtą taftę na podszewkę surduta, a do wykończenia dziurek na guziki kamizelki – wiśniową przędzę” i wiele innych niezwyklej detali odtworzonych ze znanstwem, precyzją i wdziękiem. Krawiec w jej opowiadaniu był prawdziwym artystą. Znużonym wprawdzie wysiłkiem, zziębniętym, lecz pełnym nadziei zaznania, podczas wykonywania swojego rzemiosła, niezwyklej przygody. Rzeczywistym nieszczęściem okazał się dla niego nie fakt, że był stary i wziął na siebie zbyt dużo pracy, lecz że zabrakło mu wiśniowej przędzy na wykończenie dzieła swego życia – surduta dla burmistrza miasteczka na jego ślub, wraz z niezliczonymi akcesoriami i dodatkami. Nie mógł obszyć własnoręcznie dziurek kamizelki! „Niestety, jestem zgubiony! – rzekł krawiec i smutny poszedł do łóżka”.

► Wychowawczyni królików

Angielska wielbicielek rękodziela artystycznego sama odrywała się nader często od pulpitu swego biurka. Niezwykle pociągало ją obcowanie z przyrodą. Była córką Rupperta Pottera i Helen Leech, oboje

pochodzili z zasobnych rodów przemysłowców włókienników z północnej Anglii, którzy z Manchesteru przenieśli się do Londynu. Oboje mieli zainteresowania artystyczne i nie byli pozbawieni pewnych pretensji do obracania się w wyższych sferach. Dwór królowej Wiktorii był dla nich silnym magnesem.

Tymczasem ich córka przejawiała zgoła odmienne fascynacje. Od dzieciństwa miała ogromną potrzebę utrwalania na rysunkach kunsztu form przyrody żywej i nieożywionej, tajemniczych kształtów stworzonego świata: zwierząt i roślin. Sprzyjały temu częste pobyty na wsi, w Szkocji, potem głównie w Krainie Jezior, gdzie spędzała z rodzicami wszystkie wakacje. Jej ojciec wynajmował dla czteroosobowej rodziny dom; zwykle była to ogromna stara wilła lub coś na kształt dość ponurego omszałego zamczyska.

Fascynowały ją wszystkie małe zwierzęta i ich zwyczaje, od najmniejszych owadów i ślimaków po króliki, które obserwowała, oswajała, wychowywała i zabierała ze sobą do Londynu. Tam wyprowadzała je na spacerów do parku. Oprócz tego w pokoju Beatrix i jej młodszego brata Bertrama tupały jeże, pełzały jaszczurki, karmione były żaby, kwiliły i stroszyły w klatkach piórka rozliczne ptaki, popiskiwaly nietoperze... Na wycieczkach i podczas wakacji Beatrix nie rozstawała się ze szkieletem. Świeżość jej dziecięcego spojrzenia, zmysł obserwacyjny i wnikliwość zostawiły trwałe ślady w późniejszych rysunkach i akwarelach. „Ze wszystkich beznadziejnych rzeczy, które można rysować, najgorszą jest gruby grzyb” – skarżyła się w 1892 roku, ale jednocześnie rozpoczynała „naukowe” badanie grzybów. Próbowała swoją pasję rozwijać przez kontakty z botanikami z Królewskiego Ogrodu Botanicznego (sir Henry Enfield Roscoe, znany chemik, był jej wujem) i pracownikami Muzeum Historii Naturalnej, budząc niedowierzanie i rodzaj zgorszenia wśród uczonych. Panienska miała stanowczo zbyt duże ambicje... Odkryła nawet nowy gatunek grzyba – dokonanie to zostało jednak uznane przez świat nauki dopiero po jej śmierci.

Uczyła się malarstwa, podobnie jak jej matka, która zajmowała się także w domu haftem artystycznym. Jako nastolatka odwiedzała wystawy malarckie, wdawała się w poważne dyskusje o twórczości najgłośniejszych artystów epoki: Rossettiego, J.A.M. Whistlera i Williama Holmana Hunta. Prerafaelita sir John Everett Millais był malarzem zaprzyjaźnionym z domem Potterów. Beatrix była wraz z ojcem zapraszana do jego pracowni i otrzymywała lekcje mieszania farb. Jej zaś ulubionymi malarzami byli Rafael, Tycjan, Gainsborough i Reynolds.

Tymczasem ojciec Beatrix oddawał się pasji fotograficznej, jego specjalnością były portrety przyjaciół, m.in. Millais’go. Ten malarz był często komentowany i krytykowany, m.in. z powodu wystawienia przejmującego religijnego dzieła pt. „Jezus w domu rodzinnym”, budzącego w wiktoriańskiej Anglii wiele sprzecznych opinii z powodu zbyt realistycznego, jak się uważa, ujęcia Świętej Rodziny, oraz znakomitego portretu słynnego teologa, konwertyty na katolicyzm, kardynała Johna Henry’ego Newmana (który w Anglii był wyklinyany, prześladowany, a dopiero na starość został doceniony i był często cytowany).

Beatrix ukończyła domową edukację i objawiła się jako oryginalna artystka chodząca własnymi drogami, a zarazem osoba niezwykle przedsiębiorcza. Widząc zainteresowanie swoimi pracami plastycznymi, malowała kartki pocztowe, które sprzedawała znanej firmie edytorskiej. Wydawcy, początkowo pełni dystansu wobec pannicy z wielkimi oczami o wyglądzie prowincjonalnej nauczycielki, zaczęli zabiegać o jej rysunki; wkrótce jej sześćdziesiąt realistycznych obrazków owadów trafiło do książki dr Waltera Philipa Kennedy’ego Findlaya pt. „Wayside and Woodland Fungi”.

Pierwszą książkę – „Piotrusia Królika” – napisała podczas szkockich wakacji w 1893 roku – inspiracja przyszła ze strony synka jej byłej guwernantki, pani Moore – i wydała w 1901 roku własnym sumptem za jedenaście funtów. Dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy debiutanckiej książeczki rozprowadziła osobiście wśród rodziny i przyjaciół. Ambitne wydawnictwo Warne&Co, które wcześniej książkę odrzuciło, sięgnęło po nią rok później; okazało się to wielkim sukcesem autorki i wydawcy (sprzedano prawie 30 tysięcy egzemplarzy). Beatrix mogła żyć z pisania. Tymczasem wizerunki bohaterów jej bajeczek pojawiły się na tapetach, kubkach, ubraniach, sprzętach oraz jako szmaciane maskotki jej własnego pomysłu. Dochód z tej produkcji był ogromny.

► Pani na Hill Top

Beatrix zaprzyjaźniła się ze swoim wydawcą, jednym z trzech braci Warne, Normanem, człowiekiem o wielkim talencie biznesowym, obdarzonym przy tym niezwykle pocuciem humoru. Edytorstwo jest sztuką i wyzwaniem dla ludzi z wyobraźnią, i tak traktowali je oboje. Intellectualna przyjaźń, która zawiązała się podczas spotkań i korespondencji poświeconych książkom Beatrix, przekształciła się w więź duchową i czułość. Norman był także wykonawcą stolarskich miniatur; zrobił dla Beatrix



model domku z drewna przypominającego ten, w którym rozgrywa się akcja jednej z jej opowieści, tym razem z życia myszy. Praca zadziwiała precyzją. Rodzice Beatrix marzący, by ich utalentowana córka związała się ze światem artystycznym lub arystokratycznym (najlepiej jedno i drugie), nie byli zachwyceni, gdy pisarka w czerwcu 1905 roku nieoficjalnie zaręczyła się ze swoim wydawcą. Ślub miał się odbyć wkrótce, jednak w ciągu trzech miesięcy Norman zmarł na białaczkę.

Właśnie wtedy zdecydowała się definitywnie opuścić Londyn. Gdy zdobyła sławę jako pisarka i ilustratorka, bywała na wsi coraz częściej. W końcu została właścicielką farmy Hill Top we wsi Near Sarwey w Krainie Jezior i osiadła tam na stałe. Był październik 1905 roku; za ziemię wraz ze starym domem i budynkami gospodarczymi zapłaciła krocie. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że sprzedawca wykorzystał jej zauroczenie malowniczym miejscem – a może także pragnienie oderwania się od wspomnień związanych z Normanem i gorzką żalobą po nim? Jednak nie odebrało jej to ochoty, by z wielką energią zabrać się do gospodarowania i urządzania surowej kamiennej siedziby. Pomimo samotności, niewygód i chłodu była wytrwała, pracowała ciężko od świtu do nocy obłożona mapami, poradnikami, katalogami i cennikami.

Jej farma stała się wkrótce najważniejszym miejscem inspiracji; nauczyła się tam malować zwierzęta z jeszcze większą swobodą i finezją. A jednak twórczość stopniowo ustępowała miejsca pasji rolniczej. Beatrix coraz więcej czasu poświęca hodowli owiec o długiej sierści, rasy Herdwick, którą założyła w 1918 roku. Jak wszystko, co robiła, i to czyniła z ogromnym zaangażowaniem. Jej owce na lokalnych wystawach rolniczych zdobywały najwyższe trofea. Wkrótce jako pierwsza kobieta została prezesem Stowarzyszenia Hodowców Owiec.

Jednocześnie, nie szczędząc majątku, który zdobyła jako pisarka i malarka, wykupywała kolejne farmy niezrównanie pięknej Krainy Jezior, by nie stały się terenem bezdusznej, nieracjonalnej jej zdaniem eksploatacji (plany związane z zabudową tego terenu uważała za zaprzeczające naturalnym warunkom przyrodniczym i niweczące prawdziwe bogactwo tego regionu). Jej główną pasją, potrzebą serca i ambicją stało się utrzymanie i zapewnienie ochrony ziemi, którą uważała za chlubę Anglii, szczególnie dar Stwórcy.

O Beatrix Potter napisano wiele, czyniąc z niej nieomal „kobietę wyzwoloną”, sufrażystkę zbuntowaną przeciw rodzicom, idącą z postępem ambitną businesswoman. Tymczasem jej przekonania i postawa były całkowicie tradycyjne, nie uważała się

niegdy za kogoś lepszego od mężczyzny, do głowy by jej nie przyszło, że można jej przypisać jakąś misję wobec „zniewolonych kobiet”. Także jej pełne humoru książki o zwierzętach są w istocie jednym wielkim hymnem na temat „staroświeckiej” kultury: dobrych manier, delikatności, elegancji, wielkoduszności. Na temat małżeństwa pisała w jednym z listów, wspominając swój tygodniowy wyjazd w towarzystwie kuzynki sufrażystki: „Ostatnio wyznaje się przekonanie, że wiele kobiet ma pozostać niezamężnych i funkcjonować na własny rachunek [...] nie mam nic przeciwko temu, ale sama wyznaję starodawny pogląd, że szczęśliwe małżeństwo jest ukoronowaniem życia kobiety”.

► Prezent ślubny ryczy w klatce

W wieku czterdziestu siedmiu lat poślubiła adwokata Williama Heellisa, towarzysza zabaw dziecińczych z dawnych szkockich wakacji. On także, ku utrapieniu rodziców, nie był arystokratą ani artystą, zajmował się doradztwem handlowym i był skromnym człowiekiem. Szczere podzielał jej pasję i patronował wysiłkom, by zachować krajobraz Krainy Jezior możliwie niezniszczony. Pozostał do końca życia wobec jej wyborów lojalny i przeprowadził prawnie wszystkie jej zamysły dotyczące Hill Top. Ona zaś, pomimo sławy swojego panińskiego nazwiska, niezmiennie podpisywała się odtąd jako „Pani Heellis” i była do głębi oburzona, że tak niewiele osób w Londynie ją w ten sposób tytułowało. Gdy powróciła z mężem do Hill Top ze ślubu w londyńskim kościele anglikańskim St. Mary Abbot, na stacji czekał na nich zarządca ich gospodarstwa, John Cannon, który przyjechał wozem, na którym w olbrzymiej klatce stał, porykując, prezent ślubny: imponujących rozmiarów biały byk. Nie mógł im sprawić większej radości!

Ostatnie trzydzieści lat życia Beatrix poświęciła, pracując wraz z mężem, rolnictwu i tworzeniu rezerwatów. Hodując owce, nauczyła się przędzenia wełny, potem wybudowała własną przędzalnię. Kostiumik, jaki miała na sobie, idąc do ślubu w 1913 roku, uszyty był z wełny z własnej przędzalni. Stopniowo wyzbywała się nawyków eleganki londyńskiej, na jednym ze zdjęć z lat 30. ubiegłego wieku można zobaczyć, jak głowę przykrywa nie klasycznym kapelusikiem o wąskim rondzie, a liściem chrzanu. „Kiedy zmarła w 1943 roku, pozostawiła narodowi [za pośrednictwem organizacji zajmującej się ochroną zabytków i krajobrazu Anglii, National Trust for Places of Historic Interest or Natural Beauty – przyp. E.P.P.] cztery tysiące akrów ziemi [ponad 1600 ha – przyp.

E.P.P.] i piętnaście farm [wykupywała farmy zagrożone bankructwem – przyp. E.P.P.] – odnotowała jej polska tłumaczka, Małgorzata Musierowicz.

„Ziemia nie kłamie”, przypominano Francuzom krótko po zakończeniu I wojny, chcąc zachęcić, by obejmowali zrujnowane okupacją i wyniszczone gospodarstwa, by jak niegdyś, z oddaniem pielęgnowali pola, ogrody i sady. Gospodarowali z takim rozmachem, inteligencją, talentem, wyobraźnią, jak czyniła to właścicielka Hill Top. Hodowczyni owiec, autorka akwarelowych miniatur, zabawnych portretów zwierząt i małych literek, stawianych pewnie i precyzyjnie w młodzieńczym pamiętniku, a potem na kartach swoich książek. Przyjaciółka hodowców, rolników, ogrodników i wiejskich przemysłowców, miłośniczka zwierząt i tradycyjnej angielskiej wsi. Ta subtelna artystka, w całym tego słowa znaczeniu, była bowiem także wielką realistką i dlatego również patriotką. Nie wstydziła się nigdy tego, osobliwego dla wielu ludzi jej sfery, połączenia. Autorka „Beniamina Trusia”, „Wiewiórka Orzeszko”, „Prosiaka Robinsona”, „Jasia Wielkomiejskiego”, „Krawca z Gloster” i „Dwóch niegrzecznych myszy”, córka rodziny silnie grawitującej ku pałacowi królowej Wiktorii, wyznawała w swoich zapiskach: „Jestem potomkinią pokoleń rolniczek i tkaczek z Lancashire; upartych, trzeźwych, twardo stojących na ziemi”.

► Gdy każda rzecz staje się znakiem

Przejście od szczegółu do ogółu w jej historyjkach z obrazkami, których bohaterami najczęściej są zwierzęta, ukazuje głębszą treść jej życia. W zakończeniu opowiadania o krawcu z Gloster Beatrix Potter pisze (czy tylko dla rozveselenia czytelników?): „Nigdy nie widziano takich żabotów ani takich haftowanych mankietów i wyłogów. Ale jego największym osiągnięciem stały się dziurki od guzików, ściegi tych dziurek były tak delikatne – tak delikatne – że zastanawiam się, jak mogły być wykonane przez starego człowieka w okularach, z powykrzywianymi palcami i narparkiem”. Dla osiągnięcia większego efektu, Beatrix dodaje: „...były tak drobne – tak drobne – że wyglądały, jak gdyby zrobiły je myszki”. Od fascynacji miniaturowym ściegiem jako symbolu arcy mistrzostwa ludzkiej ręki pani na Hill Top przechodzi do wyrażenia największej fascynacji swego życia: nadzwyczajną maestrią Boga, który stworzył świat i „wszystkie rzeczy”.

Także rośliny i zwierzęta, którym pisarka poświęcała stopniowo coraz większą uwagę. To, co za-

myślone zostało przez człowieka, staje się w oczach ludzkich prawdziwym arcydziełem dopiero w połączeniu z pokorą wobec Boga. (W opowiadaniu to rzeczywiście myszy, potajemnie sprzysiężone, wykańczają dziurki od guzików w zamian za wspaniałomyślny gest krawca ofiarowującego im starannie wykrojone z atlasu resztki, „na pelerynki”). Wobec możliwości kryjących się w rzeczywistości, która wyszła spod ręki Stwórcy, człowiek może tylko pokornie pochylić głowę. I współpracować z Nim, używając rozumu i serca, by pomnażać dobra, tworzyć prawdziwą cywilizację. Ten, kto zapatrzonej w piękno świata odwzorowuje je w swoich dziełach – jak wielu twórców rękodzieła, a także rzesza artystów, pisarzy, poetów – jest zawsze szczęśliwy, pomimo trudów, niewygód i cierpień.

Tonąc wśród bratków i róż wykwitających na szlachetnych tkaninach o dziwnych nazwach, krawiec z Gloster jest nie tylko rzemieślnikiem czerpiącym radość ze starannie wykonanej i z największą precyzją wykończonych pracy, lecz także kimś, kto może kontemplować ofiarowane przez Stwórcę piękno. To źródło jego siły. Choćby fizyczne jej zasoby były na wyczerpaniu, a klimat społeczny pełen niechęci, obojętności i wzgardy.

Gdy ma się spojrzenie uważne i spokojne, wszystko – „każda osoba, każde zdarzenie, a nawet każda rzecz pełni swoje naturalne funkcje, stając się znakiem: kieruje myśl ku czemuś większemu, bardziej prawdziwemu, lepszemu i piękniejszemu, a przy tym »przekierowanie« to jest czymś całkiem zwyczajnym” (Antonio Sicari). Tak jak zwyczajne było życie Beatrix i bohaterów jej opowiadań. Lekko absurdalny humor ich dialogów, codzienne zajęcia upodabniające ich do mieszkańców wsi, staromodne ubiory i zachowania... Ale zarazem nie tracą oni nic ze swej zwinnej, bazującej na instynktach natury. Zwierzątka są rozgadane jak ludzie, ale potrafią biegać, skakać, myć się, walczyć, polować i kryć się jak lisy, kaczki, wiewiórki, myszy, koty i króliki.

„Człowiek może bardzo wiele zniszczyć, ale nie zmieni wiecznych wzgórz i potężnej rzeki” – pisała autorka „Krawca z Gloster” jeszcze jako osiemnastolatka w pamiętniku (zaczęła go pisać trzy lata wcześniej, literkami tak małymi, że nie sposób odczytać ich bez lupy, oraz za pomocą skomplikowanego szyfru, który wymyśliła), późniejsza słynna hodowczyni owiec w Krainie Jezior. ■

Fragmenty opowiadania „Krawiec z Gloster” za: „Powiastki Beatrix Potter”, tłum. Małgorzata Musierowicz, Warszawa 2010.

Był 1958 rok, gdy Wiktor Weintraub, po niemal dwudziestu latach nieobecności, odwiedził stolicę swojej okupowanej ojczyzny. „Obce miasto, w którym trudno rozpoznać dawną Warszawę” – zanotował. Zobaczył Pałac Kultury: „Nazywają go snem zwariowanego cukiernika i jest w nim coś ze złego snu [...] Swoją masą przygniatającą miasto, i obcością, i brzydotą symbolizuje, tak jak lepiej nie można, tę obcą, która przygniata i deformuje życie polskie. Nie można uciec od jego widoku”. Profesor Wiktor Weintraub, znawca Mickiewicza, kierownik katedry polonistyki na Uniwersytecie Harvarda, poświęcił w swoich tekstach немало miejsca temu, jak zniekształcano i nasycano obcymi elementami polską kulturę w komunistycznej dyktaturze. Mój ulubiony artykuł Weintrauba „Mickie-

wicz między Marksem a Stalinem”, który przedrukujemy dziś, pokazuje tę metodę.

Przy okazji obchodów stulecia niepodległości prezentowano wystawy na temat jej ojców. Wśród nich wymieniany był słusznie socjalista Ignacy Daszyński, którego artykuł „Czy socjaliści mogą uznać »dyktaturę proletariatu«?” także dziś mogą Państwo przeczytać w dziale „Retrospekcje”. Tradycja Daszyńskiego nie dorobiła się w III RP poważniejszej kontynuacji. Na lewicy w Polsce dominowali przez lata postkomuniści. Wśród swych patronów wymienia jego nazwisko Partia Razem, ale czy starczy jej cierpliwości na kontynuowanie jego dzieła, czy też utworzy jakąś koalicję ze spadkobiercami dyktatury proletariatu i postkomunistycznej oligarchii, przekonamy się niebawem.

Wiktor Weintraub

Mickiewicz między Marksem a Stalinem

– Pan myśli na pewno, że to zdrada, że to nieprzyzwoicie brać udział w takich kursach. Niech pan przyjdzie do mnie do biura, a pokażę panu argument, który powinien pana przekonać... ruchem ręki, który miał być patetyczny, a który był tylko zażenowany i dlatego wypadł niezręcznie, wskazał mi na ścianę naprzeciwko biurka. Między sakramentalnymi we wszystkich urzędach sowieckich portretem Marksa i portretem Stalina wisiał tam jako „der dritte im Bunde” portret Mickiewicza.

Z p. Henrykiem Szyperem widywałem się w Warszawie na różnych zebraniach polonistycznych. To też kiedyśmy się spotkali na jednej z ulic lwowskich jesienią 1939, przywitaliśmy się jak znajomi. Powiedział mi, że się cieszy, że mnie spotyka. Został „mietodistom” od polonistyki na całą „obłast” lwowską (czy może nawet na całą „Ukra-

inę Zachodnią”?) i właśnie zajęty jest organizowaniem kursów, których zadaniem będzie przeszkalanie nauczycieli – polonistów. Czy nie chciałbym na tych kursach wyklądać zagadnienia stylistyki? Napisałem kiedyś książkę o stylu Kochanowskiego, mogłem więc uchodzić za specjalistę w tym zakresie.

Podziękowałem za propozycję i odpowiedziałem, że nie wiem jeszcze, co będę robił, nie mogę więc brać na siebie żadnych zobowiązań. Natychmiast zorientował się, o co mi idzie.

– Pan myśli na pewno, że to zdrada, że to nieprzychylnie brać udział w takich kursach. Niech pan przyjdzie do mnie do biura, a pokażę panu argument, który powinien pana przekonać.

Zaintrygował mnie tym argumentem, i poszedłem. W gmachu dawnego kuratorium nowy „mietodist” miał do swojego wyłącznego rozporządzenia wielki pokój z okazałym, ministerialnym biurkiem.

– Argument pana? – spytałem zaraz u progu.

W odpowiedzi, ruchem ręki, który miał być patetyczny, a który był tylko zażenowany i dlatego wypadł niezgrabnie, wskazał mi na ścianę naprzeciwko biurka. Między sakramentalnymi we wszystkich urzędach sowieckich portretem Marksa i portretem Stalina wisiał tam jako „der dritte im Bunde” portret Mickiewicza.

Książkę p. Szypera o Mickiewiczu* wydano w r. 1947, ale – jak informuje notatka pod tekstem – pisana była w latach 1940–1941, a więc prawdopodobnie za tym samym biurkiem „mietodista”. Książkę czyta się gładko. Pisana jest stylem trochę przyziemnym, oschłym i drewnianym, ale zawsze jasno i naturalnie. Pan Szyper jest dobrze czytany w literaturze o Mickiewiczu. Fakty, które podaje, są ściśle, dokładne, można na nich polegać.

Cóż z tego jednak, kiedy za Mickiewiczem z tej książki, jak za bohaterem z „Procesu” Kafki, stale kroczą dwa cerbera, dwa duchy opiekuńcze: Marks i Stalin.

Od strony Marksa co prawda p. Szyper nie bardzo się wysilił. Jako marksista powinien był Mickiewicza „wytłumaczyć” jego klasą, środowiskiem, warunkami społecznymi ówczesnej Polski. Wymagałoby to oczywiście bardzo rozległych studiów (i można wątpić, czy dałoby oczekiwane rezultaty). Pan Szyper był jednak na tyle sprytny, że szybko zorientował się, iż wystarczą pewne formuły rytualne, na tyle ogólnikowe, by można je stosować przy różnych okazjach, a na tyle wyraźne, by nadawały książce potrzebny koloryt ideologiczny. Temu samemu celowi służą też bardzo hojną ręką porzysiewane w książce przymiotniki: z jednej strony – „burżuazyjny” i „reakcyjny”, z drugiej – „rewolucyjny” i „postępowy”.

Metoda ta ma sporo zalet: jest prosta, nieskomplikowana, nie wymaga w stosowaniu wielkiego wysiłku. Ma jednak i swoje niebezpieczeństwa: oto bardzo łatwo w ten sposób farbowanemu na czerwono lisowi zdradzić się ze swoją ignorancją. U p. Szypera wi-

dzimy to w kapitalnym w swej naiwności ustępie o Machiavellu, który brzmi tak:

„Machiavelli, wyraziciel myśli postępowej, dążącej do zjednoczenia Włoch, był patriotą włoskim. Ponieważ nie widział i w swej epoce widzieć nie mógł masowego ruchu i walki o wyswobodzenie Włoch, przeto w jego koncepcji jedynie wódz, posługujący się zemstą czy zdradą, poświęcający wszystko dla ojczyzny i dla państwa – potrafi dokołań tego dzieła”.

Okazuje się, iż dla naszego „marksisty” historia dzieli się na czasy nowoczesne, w których tworzą ją masy, i na czasy dawniejsze, kiedy robiona jest przez władców. Dodajmy jeszcze, że perfidia historii sprawa, że właśnie w ojczyźnie Machiavella, we Florencji, odbyła się na sto lat przed nim sławna masowa rewolta plebejska, „il tumulto dei Ciompi”.

Du côté de chez Staline p. Szyper jest dużo starszy. Obszernie, szczegółowo omówił w książce pobyt Mickiewicza w Rosji. Pobyt ten, jak i w ogóle cały stosunek Mickiewicza do Rosji, charakteryzuje – jak wiadomo – swoista dwiistość. Mickiewicz był w Rosji wygnańcem, z nienawiścią myślał o państwie rosyjskim i jego potęgę, a równocześnie przez koła towarzyskie i literackie Moskwy i Petersburga przyjęty był gościnnie, serdecznie i w kołach tych czuł się dobrze. Tę samą dwiistość obserwować będziemy i później: z jednej strony wspaniałe w sile namietności inwektywy „Ustępu” trzeciej części „Dziadów” i poświęcone Rosji wykłady paryskie, z drugiej – zamilowanie do towarzystwa Rosjan, które tak będzie kłuło w oczy Krasińskiego w Rzymie. Otóż zgodnie z panującą obecnie w kraju modą, która każe np. proletariackiej „Kuźnicy” przynajmniej raz na miesiąc rozpylić się w zachwytach nad arystokratycznymi salonami Moskwy Mikołaja I, p. Szyper stara się w tym stosunku jak najmocniej rozświetlić wszystkie światła, a cienie pozostawić w cieniu. Nie wystarczy mu przy tym i to że poświęcił stosunkom Mickiewicza z Rosjanami spory rozdział, później jeszcze, przy omawianiu wiersza „Do przyjaciół Moskali”, rozpiął się na sześć stron na temat Mickiewicza i Puszkina, niwecząc wszelkie proporcje w wielkiej książce, w której nie znalazło się miejsca na bodaj najkrótsze omówienie arcydzieł liryki religijnej Mickiewicza.

Tam zaś, gdzie mimo wszystko nie da się uniknąć spraw drażliwych, p. Szyper mówi nie o Rosji, ale o walce z caratem, o przemocy carskiej, tak jakby Mickiewicz walczył nie o niepodległość Polski spod przemocy rosyjskiej, ale o ustawę konstytucyjną dla Rosji. Nie cofa się tu nawet przed popadnięciem

w śmieszność. W „Konradzie Wallenrodzie” – pisze – znalazła wyraz „problematyka walki ujarzmionego narodu z przemocą samodzierżawia”. Ile zakłamania i zakłopotania jest w tym „samodzierżawiu” (w cudzysłowach) i jak szczególnie zabawnie brzmi to określenie w stosunku do „Konrada Wallenroda”, w którym o wolność ujarzmionego narodu walczy przeciw „samodzierżca” Wallenrod. Pomyśleć tylko, jakie perspektywy otwierałoby takie sformułowanie na problematykę polityczną „Wallenroda”, gdyby je chciał potraktować na serio.

Zakończenie książki jest też odpowiednio czolobitne. Zamyka się ona omówieniem wpływu Mickiewicza na literatury światowe. Krótko wspomniano sąd George Sand o poecie, po czym idzie spory ustęp o wpływie Mickiewicza na literaturę ukraińską. Kiedy p. Szyper pisał swoją książkę, Czechosłowacja nie cieszyła się jeszcze dobrodziejstwami rządów sowieckich i dlatego o wpływach Mickiewicza na literaturę czeską, które – jak to wiemy z badań prof. Szykowskiego – były olbrzymie, nie ma ani słowa. Natomiast książka kończy się cytatami z Gorkiego, Łunaczarskiego oraz zachwytną wzmianką o uroczystościach ku czci Mickiewicza, zorganizowanych przez Rosjan w r. 1940, kiedy to, gdy okazało się, że wydanie Polaków na pożarcie nacjonalizmowi ukraińskiemu, nacjonalizmowi tego na stronę sowiecką jednak nie przeciągnie, bolszewicy postanowili spróbować kupić sobie Polaków gestem, który by był efektywny, a równocześnie do niczego nie zobowiązywał.

Tak „marksizm” (w cudzysłowie) jak stalinizm (już bez cudzysłowu) tej książki są, oczywiście, rysami bardzo drażniącymi i nie przynoszącymi jej zażyty, nie one jednak decydują o fizjonomii książki. Poskreślać kilkanaście stron, przeprowadzić trochę zmian stylistycznych – a niewiele by z nich pozostało. Ale i po takiej operacji książka p. Szypera nie byłaby jeszcze dobrą książką popularną o Mickiewiczu. Cięży bowiem na niej pewien fatalny grzech pierwotny. Oto autor jej jest naturą z gruntu apoetycką.

W stwierdzaniu faktów, charakteryzowaniu treści ideowych p. Szyper jest dokładny, czasem nawet potrafi się zdobyć na precyzję. Jak precyzyjnie na przykład, dużo precyzyjnie od Haeckera, określił stosunek Mickiewicza do socjalizmu. Jest jednak dziedzina, w której p. Szyper robi wrażenie ślepeca, z trudem, po omacku szukającego drogi i raz po raz nabijającego sobie guza o przydrożne płoty. Jest to mianowicie dziedzina stanów uczuciowych.

Pamiętamy wszyscy piękny ustęp poświęcony przez Mickiewicza Rylejewowi:

Gdzie wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,
Którą jak bratnią ścisłał, carskimi wyroki
Wisi, do hańbiącego przywiązana drzewa;
Kłatwa ludom co swoje mordują proroki.

Określenie „rzewna” byłoby na pewno ostatnim, jakie by każdemu z nas nasunęło się na myśl dla charakteryzowania tej strofy. I tym właśnie określeniem posłużył się p. Szyper.

Inny przykład. Pan Szyper streszcza „Sonety krymskie”. Zakończenie „Stępów akemańskich” („W takiej ciszy tak ucho natężam ciekawie, że słyszałbym głos z Litwy. Jedźmy, nikt nie woła!”) w streszczeniu jego wygląda tak: „Lecz po chwili z krainy marzeń wraca ku rzeczywistości i rozczarowany, lecz trzeźwy, mówi: „Jedźmy, nikt nie woła”.

Także inne ujęcia świadczą o dziwnej nieporadności przy charakteryzowaniu stanów uczuciowych, o nieporadności aż zenującej. Pijaństwo Wallenroda: „gorący napój dostarcza mu jakichś chorobliwych bodźców”. Pierwsza scena trzeciej części „Dziadów”: „Dzięki wymianie myśli między towarzyszami ujawnia się w całej pełni atmosfera prześladowań ze strony caratu. W ten dość poważny nastrój wnoszą duże urozmaicenie różne anegdoty, bajki i piosenki”. A oto p. Szyper omawia ten ustęp poematu Mickiewicza, w którym Wallenrod mówi „I Niemcy są ludzie...”: „On przebacza Niemcom pobłażliwie”.

Fundamentalną funkcją poezji jest wzbogacanie – pogłębianie i wysubtelnianie – naszego życia uczuciowego. Krytyk, to czytelnik, którego wrażliwość jest choć trochę wyczulona ponad przeciętną miarę i który potrafi o stanach emocjonalnych mówić z precyzją choć trochę większą od tej, jaka nam wystarcza w życiu potocznym. Pan Szyper jest tymczasem w tej dziedzinie człowiekiem w przykry sposób upośledzonym przez naturę.

Rozumiemy teraz, dlaczego uwagi krytyczne p. Szypera są dziwnie drewniane, szablonowe, schematyczne. Pisząc to, nie mam wcale na myśli braku wylewów lirycznych, patetycznych wykrzykników, natchnionych komentarzy. Idzie o to, że w książce nie ma ani jednego, dosłownie ani jednego, stwierdzenia krytycznego, które by uderzało czytelnika swoją trafnością, odkrywczością. Pan Szyper potrafi z nerwem, ciekawie, dobierać cytaty z prozy Mickiewicza, z jego listów, artykułów. Nie ma jednak w książce ani jednego cytatu poetyckiego, który by był odkryciem, cytatem urodzonego krytyka, pokazującego nam poprzez samo zacytowanie jakiś

przez siebie dostrzeżony a wart zapamiętania nowy aspekt poezji. Piszac o poezji, p. Szyper potrafi z kompetencją mówić o jej tendencjach ideowych, o filiacji wątków, o wpływach w tym zakresie, we wszystkim jednak co dotyczy „matière poétique” jest zupełnie bezradny. Oto np. charakterystyka stylu czwartej części „Dziadów”:

„Z doborem silnych i dobitnych wyrażen, ze zmianą ilości wyrazów w wierszu – stosownie do treści – idzie w parze odpowiednie falowanie rytmiki. Znanne w stylu klasycznym figury i zwroty stanęły tu do dyspozycji dla odmalowania stanu uczuć: nagle i krótkie pytania, wykrzykniki, zdania urywane, powtórzenia, stopniowania, antytezy, porównania i takie przenośnie, jak »honorów świecąca bańka«, »sztylety sumienia«, »oczy – chytre żądła«, »kamienni ludzie« itp.”.

A oto charakterystyka ogólna „Sonetów krymskich”:

„Cykl »Sonetów krymskich« obejmuje osiemnaście utworów. Znalazło w nich wyraz całe bogactwo wrażeń, wyniesionych z podróży: step, morze, góry, doliny, osiedla ludzkie, zabytki, ruiny. To był pierwiastek przedmiotowy, wchodzący do poematu z zewnątrz. Łączy się z nim pierwiastek podmiotowy: motyw wędrówki romantycznego pielgrzyma, dźwigającego w duszy ogrom przeżytych cierpień, trawionego tęsknotą po opuszczonym – wbrew woli – kraju lat dziecinnych”.

Szczytem nieporozumień jest syntetyczny, końcowy rozdział z niewydarzonym podziałem twórczości Mickiewicza na fazy „romantyzmu wczesnego” (ballady, „Dziady” wileńskie, „Grażyna”), „romantyzmu dojrzewającego” (sonety i „Wallenrod”) i „romantyzmu szczytowego” (trzecia część „Dziadów” i „Pan Tadeusz”), z pomieszaniem pojęcia dialektu i pojęcia stylizacji, z określeniem Mickiewicza jako „odnowiciela bajkopisarstwa” (podczas gdy w tym właśnie rodzaju poetyckim Mickiewicz niczego nie odnawiał, a tylko godnie kontynuował wspaniałe tradycje bajki Trembeckiego), z określeniem mowy poetyckiej poezji XVIII w. jako „bezkrwistej” (mimo arcykrwistego Naruszewicza i poetyckiego sangwinika Trembeckiego) itd.

* * *

Przy swojej gruntowności, rzeczowości, systematyczności p. Szyper mógłby w różnych dziedzinach pożytecznie służyć dziełu okupacji sowieckiej w Polsce. Piszac o poezji, służy mu – nieszkodliwie.

*Henryk Szyper, „Adam Mickiewicz, poeta i człowiek czynu. Zarys popularny”, Warszawa, Czytelnik, 1947; str. 244 i 4nl. i tabl. 5.

Przedruk za: „Wiadomości”, Londyn, 6 marca 1949, Rok 4, Nr 10 (153).

Ignacy Daszyński

Czy socjaliści mogą uznać „dyktaturę proletariatu”?

Za pomocą okrucieństw godnych dawnych carskich, bolszewicka „dyktatura proletariatu” nie osiągnęła żadnych celów ideowych proletariatu. Przeciwnie, zaprzeczyła im wszystkim.

Dzisiaj mistrzami „uproszczeń” najradzykalniejszych pod słońcem są komuniści, a kluczem centralnym tych uproszczeń jest ich hasło „dyktatura proletariatu”, tym pewniej jako generalny środek rzucane światu, że przecież dziesiąty rok mija, odkąd zorganizowali ogromne państwo na zasadzie owej „dyktatury proletariatu”. [...]

„Dyktatura proletariatu” jest w Rosji bolszewickiej od początku rządem gwałtu i przemocy mniejszości nad większością. Mniejszość rządząca nie wynosi nawet pół procentu ludności i utrzymuje się przy władzy przez tak okrutną i krwawą przemoc, że żadne inne cywilizowane

społeczeństwo podobnie dzikiej tyranii nie zniosłoby. Niepodobna wyobrazić sobie kraju w Europie Zachodniej ulegającego władzy, pod której rządami skończyłoby się głodem siedem, a jak inni badacze twierdzą jedenaście milionów ludzi w jednym roku! Ale za pomocą okrucieństw godnych dawnych carskich, bolszewicka „dyktatura proletariatu” nie osiągnęła żadnych celów ideowych proletariatu. Przeciwnie, zaprzeczyła im wszystkim. Robotnik rosyjski walczył przez długie lata bohatersko o wolność polityczną, otrzymał od bolszewików niewolę, walczył o poprawę bytu, otrzymał nędzę, walczył o rozwój obywatelski, otrzymał biurokrację sowiecką.

Przemoc tak znikomej mniejszości musiała z natury rzeczy wziąć sobie do pomocy trzykrotnie większą liczbę pomocników obcych, często wrogich władzy sowieckiej i nie mogła zorganizować społeczeństwa na zasadzie proletariackiej, a już zgoła socjalistycznej. Toteż wkrótce po mordach i rzeziach, po przejawieniu siły rzekomo najbardziej „dyktatorskiej” władzy, bolszewicy ustępują dobrowolnie przed kapitalizmem i przed bogatym chłopstwem, a resztę przemysłu i handlu organizują w państwowych trustach, nie mających nic wspólnego z socjalizmem ani z proletariatem. Nędza blisko dwóch milionów bezrobotnych, krocie tysięcy walających się po Rosji sierot, ucisk despotyczny całej ludności i ciągłe starania rządu o dostanie pieniędzy od kapitalistów zagranicznych za sprzedane skarby ziemi rosyjskiej, oto są owoce owej potwornej „dyktatury proletariatu”.

Sprawcy tej ponurej tragedii proletariatu – bolszewicy, mają odwagę powoływać się na Karola Marksa! On to miał być ich nauczycielem, jego to wskazania miały się na terenie Rosji urzeczywistnić! Karol Marks, piszący swe genialne dzieła w połowie XIX wieku, przewidywał apriorycznie moment takiego rozwoju siły robotniczej w społeczeństwie kapitalistycznym, że do wprowadzenia w życie ustroju socjalistycznego potrzeba będzie kiedyś tylko krótkiego czasu przejściowej dyktatury zorganizowanej klasy robotniczej, która już właściwie zwyciężyła przez swoją potęgę w społeczeństwie najwyższej rozwinięciu, tworzącym obiektywne warunki dla powstania społeczeństwa socjalistycznego. Cała teoria Marksa polega na głównej przesłance: na potężnym rozwoju kapitalizmu, działającego ekonomicznymi środkami na społeczeństwo w kierunku jego zrewolucjonizowania przez oderwanie mas chłopskich od roli, sproletaryzowanie warstw średnich i ogromny wzrost liczby i potęgę organizacji proletaria-

tu, mającego za sobą kapitał nowoczesny, skoncentrowany w ręku nieznacznej mniejszości. „Wywłaszczyciele będą wywłaszczeni!”, pisze Marks, przy czym „wywłaszczyciele” to znikoma mniejszość, a „wywłaszczający” to olbrzymia większość społeczeństwa.

Jak się przedstawiać będzie ostatnia faza przejścia ustroju kapitalistycznego w ustrój socjalistyczny tego, oczywiście, największy nawet geniusz ludzkości naprzód przewidzieć nie może. Toteż Marks wskazywał na konsekwencje rozwoju kapitalizmu nowoczesnego przy najwyższym jego natężeniu, a więc przy równoczesnym rozwoju potęgi klasy robotniczej, zorganizowanej pod sztandarem rewolucyjnego socjalizmu. Rosyjska rzeczywistość mogła stworzyć tylko potworną karykaturę przypuszczeń Karola Marksa.

Polska Partia Socjalistyczna okazała w dziejach swoich jedną z największych – moim zdaniem – zalet, że miała zmysł rzeczywistości i usiłowała zawsze nadać kierowanemu przez się ruchowi organizację walki, odpowiedzialną za tę walkę. Odpowiedzialność bowiem polityczna w ruchu masowym oznacza równocześnie niezdawanie się na łaskę losu czy ślepego „żywiolu”. Odrzuciła też ów „terror ekonomiczny”, który zalecali niegdyś znachorzy, odrzuciła, a raczej nie przyjęła wcale „zbawczej” roli strajku generalnego jako pewnego środka zwycięstwa i uzbrojona w cały aparat wiedzy i doświadczenia dziejowego odepchnęła „dyktaturę proletariatu” jako aktualną drogę walki z ustrojem kapitalistycznym w Polsce. Postawiwszy na czoło swego programu minimalnego Niepodległą demokratyczną Republikę ludową i doszedłszy do znacznego wpływu z końcem wojny światowej proklamuje PPS tę republikę, opiera ją na powszechnym prawie głosowania, na swobodach obywatelskich i na reformach społecznych. [...]

Pomysł [...] wprowadzenia „dyktatury”, aby za jej pomocą urzeczywistnić na powrót demokrację w Polsce, nosi w sobie znamiona tak humorystyczne, że słusznie nazwał go jeden z dowcipnych towarzyszy „sposobem dojścia do utworzenia rządu koalicyjnego”, bo mniejszość socjalistyczna w uratowaniu za pomocą „dyktatury” systemu demokracji nie miałaby innej drogi do objęcia rządów jak – koalicję! ■

Fragmenty pochodzą z: „Czy socjaliści mogą uznać »dyktaturę proletariatu«?”, Lubelski Okręgowy Komitet Robotniczy PPS: Lublin 1927, s. 4–11. Przedruk: „Antykomunizm polski. Tradycje intelektualne”, (red.) B. Szlachta, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2000.



Łukasz Jankowski
dziennikarz Radia Wnet, ekspert RG SWS

Sukcesja, czyli ciągłość działania firmy

Firmy jednoosobowe zakładane przez osoby fizyczne to ponad 2 mln podmiotów działających na polskim rynku, które funkcjonują na podstawie wpisu do Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej. Dotychczas takie przedsiębiorstwo było bardzo silnie związane z osobą założyciela i w chwili jego śmierci nie było prostej możliwości płynnej kontynuacji funkcjonowania firmy, która często zwyczajnie kończyła działalność. Obecnie w wyniku wejścia w życie ustawy o zarządzie sukcesyjnym jednoosobowe firmy będą mogły płynnie przejść w ręce spadkobierców.

W przestrzeni publicznej przez lata dominował pogląd, że nie da się rozwiązać kwestii dalszego funkcjonowania firm jednoosobowych po śmierci właściciela. Projekt rozwiązania problemu pojawił się w ramach zaproponowanej przez premiera Mateusza Morawieckiego „Konstytucji dla biznesu”. Jak podkreślali przedstawiciele sektora firm jednoosobowych i rodzinnych, uchwalenie ustawy to duży sukces rządu, który pomoże rozwiązać istotny problem płynnego przekazania sukcesji. O skali zagrożenia dla sektora może świadczyć fakt, że każdego miesiąca z powodu śmierci właściciela z rejestru CEIDG wykreślanych jest ponad 800 firm. Do tego problem z czasem może narastać, ponieważ aż 80 proc. nowo powstających firm to właśnie przedsiębiorstwa jednoosobowe lub spółki cywilne działające na podstawie wpisu do CEIDG, a nie KRS.

Jak podkreślił wiceminister przedsiębiorczości Mariusz Haładyj, firmy rodzinne są istotnym elementem stabilizacyjnym dla gospodarki, ponieważ nie prowadzą ryzykownej działalności inwestycyjnej, lepiej radzą sobie w sytuacjach kryzysowych, a ich działanie często nastawione jest na dekady. Stabilizująca rola firm rodzinnych jest kolejną przesłanką dla zapewnienia im możliwości sprawnego kontynuowania działalności po śmierci właściciela.

Do tej pory sprawna sukcesja w firmach jednoosobowych była utrudniona, a wraz ze śmiercią właściciela wygasły wszystkie koncesje, zezwolenia czy umowy o pracę. Numer NIP również przestawał funkcjonować, występowały trudności w dostępie do firmowych kont bankowych czy w kontaktach z urzędem skarbowym. Na te wszyst-

kie trudności od lat uwagę zwracały organizacje zrzeszające firmy jednoosobowe i rodzinne. Firma w zasadzie znajdowała się w prawnym niebycie, a spadkobiercy, stając się właścicielami majątku, nie mogą od razu przejąć przedsiębiorstwa i kontynuować działalności.

Ustawa o zarządzie sukcesyjnym ma pozwolić na zabezpieczenie firm w najtrudniejszym okresie transformacji. Centralnym elementem wchodzących w życie 25 listopada przepisów jest wprowadzenie zarządu sukcesyjnego, który pozwoli na zachowanie ciągłości działania firmy. Ustawa zakłada wprowadzenie prawnej definicji zarządcy sukcesyjnego, który będzie działał w firmie na podobnych zasadach jak prokurent.

Formalności przy ustanowieniu zarządcy sukcesyjnego są minimalne, ponieważ poza uzyskaniem zgody przez mianowanego, właściciel będzie musiał tylko dokonać odpowiedniego wpisu do ewidencji CEIDG. Zarządcą będzie mogła zostać każda osoba fizyczna, której sądownie nie odebrano prawa prowadzenia działalności gospodarczej. Najprostszym mechanizmem jest wyznaczenie zarządcy sukcesyjnego za życia właściciela firmy. Ustawa dopuszcza również sytuację, że osoba mianowana na sukcesora będzie także pełnił funkcję prokurenta. Do takiego rozwiązania zachęca kierownictwo Ministerstwa Przedsiębiorczości, wskazując, że pozwoli ono sukcesorowi na wdrożenie się w działalność firmy.

Ustawodawca przewidział również sytuację, w której właściciel nie wyznaczył za swojego życia sukcesora – wówczas taką możliwość przypisano rodzinie zmarłego przedsiębiorcy. Na podstawie aktu notarialnego będzie można wyznaczyć sukcesora przy zgodzie większości spadkobierców. Czas na ustanowienie zarządcy to dwa miesiące. W przypadku wyznaczenia sukcesora już po śmierci przedsiębiorcy firma nie utraci osobowości prawnej i ciągłości podatkowej, również w zakresie podatku VAT, a numer NIP zostanie zachowany. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

Jakub Augustyn Maciejewski

STOLICE PLANÓW PIĘCIOLETNICH



Do dziś szczęśliwie mieszkają w nich setki tysięcy ludzi, choć teraz są zazwyczaj częścią większych metropolii. Uporządkowane budowle, symetryczny układ ulic, niewysokie bloki ustawione w zamknięte podwórza, mające stanowić samowystarczalne osiedla robotniczych wspólnot – prezentowały się jako idealne socjalistyczne miasta. Istotą ich istnienia był jednak nie tylko przemysł hutniczy, lecz także organizowanie nowej kultury socjalistycznej. Pierwsze udało się na chwilę, a drugie – wręcz przeciwnie.

Gdyby mieszkaniak krakowskiej Nowej Huty poleciał na weekend do oddalonego o 3000 kilometrów rosyjskiego miasta Magnitogorska, z dziwną swojskością mógłby się przechadzać ulicami Mendelejewa czy Komsomolską. Może gdyby nie zwrócił uwagi na inny typ samochodów i szyldy sklepowe pisane cyrylicą, pomyślałby, że właśnie spaceruje aleją Jana Pawła II w swojej miejscowości albo trafił na osiedle Willowe we wschodniej części dzielnicy. Bo Nowa Huta – jak wiele innych miast komunistycznych – została zbudowana według szablonu wypracowanego na początku lat 30. w Związku Sowieckim. Podobnie było z miastami Sztálinváros na Węgrzech czy Stalinstadt w Niemieckiej Republice Demokratycznej, kolejnymi córkami sowieckiej urbanistyki.

► **Gdy wszystko inne nie działa, trzeba zmuszać ludzi do pracy**

Zaczęło się od Magnitogorska, stolicy pierwszego planu pięcioletniego ZSRS. To doświadczenie i roz-

wiązania z tego placu budowy zostały później przeniesione do Europy Wschodniej, gdy Armia Czerwona doszła do Berlina. Ale zanim pierwsi robotnicy zobaczyli plac budowy pod „Magnetyczną Górą” (stąd nazwa miasta, wznoszonego blisko złóż magnetytu – Magnitogorsk), w 1928 roku delegacja sowieckich urzędników udała się do amerykańskiego miasta Cleveland w stanie Ohio, w północnej części USA. Tam powitali ich przemysłowcy ze spółki Arthura Glenna McKee, którzy za 2 mln rubli w złocie mieli im sprzedać plany zbudowania miasteczka przemysłowego Gary w stanie Indiana. Sowieci płacili nie tylko za plany architektoniczne – spółka miała wysłać do ZSRS swoich specjalistów, kilkudziesięciu inżynierów, którzy we współpracy z miejscowymi kadrami wznosiliby największą inwestycję pierwszego komunistycznego planu pięcioletniego – hutę i miasto Magnitogorsk.

Przemysłowe, ceglane miasteczko przemysłowe nad jeziorem Michigan słabo nadawało się na sowiecki wzór, ale komuniści jego założenia

nych 40 lat wcześniej, a więc o dwa pokolenia myśli inżynierskiej wcześniej...

► Ideologiczne podłoże socjalistycznych miast

„Gdy gwizdzą nad ranem syreny w przedmieściach robotniczych – nie jest to bynajmniej wezwanie do jarzma niewoli. To pieśń Przyszłości” – pisał bolszewicki poeta Aleksiej Gastiew na widok wielkomiejskiego klimatu miast komunistycznej Rosji, w której cały cykl życia był podporządkowany rytmowi fabryk. Ten wiersz stworzył zaraz po rewolucji, jakby praca w wielkich halach fabrycznych różniła się czymkolwiek *in plus* w porównaniu do czasów sprzed bolszewickiego przewrotu. Ale Gastiew był jednym z ulubieńców ważnego ideologa i teoretyka leninizmu Anatolija Łunaczarskiego, trzymającego tekę Ludowego Komisarza Oświaty. Sowiecki filozof jeszcze w latach 90. XIX wieku opracowywał metodę zjednoczenia „klasy robotniczej” i zmobilizowania jej do pracy, gdy komuniści przejmą wła-

IDEA SAMOWYSTARCZALNYCH EKONOMICZNIE I KULTUROWO MIAST ZOSTAŁA ZACZERPNIĘTA JESZCZE Z MARZEŃ PRZEDMARKSISTOWSKICH KOMUNISTÓW.

wprowadzali jeszcze przez ponad dwadzieścia lat. Liczące 100 tysięcy mieszkańców Gary leżało kilkanaście kilometrów od granicy wielkiej metropolii USA – Chicago, miało więc dać wielomilionowej społeczności ujście dla bezrobocia, a fabrykantom siłę roboczą dla przemysłowych hut. Powstałe na początku XX wieku, poprzecinane równoległymi ulicami, pomiędzy którymi w równych rzędach poustawiano domy lub bloki, z przemysłowym, ceglanym centrum z większymi gmachami i kompleksem metalurgicznym na północy miasta, odzwierciedlało amerykański styl pracy i życia. Te same założenia przeniesione w zauralskie i syberyjskie pustkowia przynosiły nadludzki wysiłek, fatalne warunki budowy i dramatycznie wysokie koszty inwestycji – spełniały jednak założenia tworzenia nowego człowieka. Wbrew propagandzie założenia jednak nie były nowoczesne – wszak wznoszona w latach 50. Nową Hutę budowano w oparciu na założeniach budowlanych z innego kontynentu, opracowa-

dę. Lenin wpadał w irytację, gdy Łunaczarski wkładał mu swoją koncepcję „bogotwórstwa”, ale Łunaczarski był uparty. „Religia to entuzjazm, a bez entuzjazmu nie stworzono nic wielkiego” – przekonywał towarzyszy, opowiadając im o tym, że socjalizm jest religią, w której w rolę mesjasza wchodzi robotnik, a bogiem jest – praca.

Organizacja pracy była zmurą komunistów przez cały czas trwania systemu. „Co to za rząd, który nie jest w stanie zbudować na czas małego, dwukondygnacyjnego domu oraz doprowadzić do stanu używalności jego dziesięciu pomieszczeń?” – wściekał się Piotr Kapica, fizyk, późniejszy noblista, gdy zapoznawał się z wydajnością pracy w przemyśle sowieckim w 1935 roku. Z biernością pracowników też trzeba było sobie radzić: brak maszyn, fachowych kadr, wystarczającej ilości surowca, a nawet rąk do pracy był zmurą gospodarki planowanej. To właśnie w takim klimacie gospodarczym największy na świecie kraj miał być usiany doskonale zorganizowanymi miastami przy hutach stali.

Na przełomie lat 30. w Moskwie dyskutowano trzy metody angażowania robotników w wielkie budowy socjalizmu – przemoc (GUŁAG), współzawodnictwo pracy (ruch Stachanowski) albo kult wielkich komunistycznych przedsięwzięć. Z tej pierwszej zrodziły się na przykład kanały Wołga–Don, kanał białomorski, linie kolejowe na zimnej północy. Ruch stachanowski zdominował przemysł wydobywczy, zaś wiara w idealne miasta zrodziła Magnitogorsk, Stalińsk czy Kemerowo.

► Wbrew przyrodzie, geologii, logice

Państwo oczywiście potrzebuje przemysłu, ale Rosjanie budowali go na mistycyzmie marksizmu-leninizmu. Już sama lokalizacja socjalistycznych miast miała podłoże ideowe. Piotr Pałczyński, profesor z Instytutu Górnictwa w Moskwie, twierdził, że nie było naukowych czy gospodarczych przesłanek do budowy wielkich obiektów we wskazanych przez partię miejscach. Ale skąd miałyby być? Przy budowie zapory na Dnieprze nikt nie sporządził nawet map terenu (!), więc nie wiadomo, jaki obszar zostanie dokładnie zalany, przepadły pod wodą żywe czarnoziemy, które mogły służyć tak zrujnowanemu rosyjskiemu rolnictwu. Lokalizacja Magnitogorska nie była poprzedzona oszacowaniem wielkości złóż rudy, stawiano miasto na pustym polu, a więc od początku trzeba było sprowadzać ludzi, sprzęt, kłaść drogi. Eksperci z Ameryki nie mieli takiego przekonania – specjalnie dla nich zbudowano niewielką, ekskluzywną dzielnicę, w której oprócz dobrze zaopatrzonych sklepów i wygodnych domów, mieli nawet korty tenisowe, gdy tymczasem 200 tys. robotników żyło w lepiankach i barakach – nawet podczas syberyjskiej zimy.

Im gorsze były warunki, im większy wysiłek ludzki miał nastąpić, tym lepsze owoce miało przynieść socjalistyczne wyznanie wiary. Urzędnicy Państwowej Komisji Planowania (GOSPLAN) wyliczający co i kiedy uda się zbudować, pisarze wychwalający nowe przedsięwzięcia naprawdę wierzyli, że pokonać logistyczne przeciwności można hartem ducha, wysiłkiem woli i wyśnionym przez Łunaczarskiego entuzjazmem. Rzeczywistość była jednak dramatycznie odmienna. „Warunki do rozpoczęcia budowy walcowni nie były po prostu trudne czy niesprzyjające, były zupełnie niemożliwe” – pisał Wiktor Krawczenko, który miał wiosną 1939 roku objąć kierownictwo budowy kompleksu przemysłowego w Stalińsku na Syberii. Inżynier pisał o totalnych brakach w zaopatrzeniu, niegotowej linii kolejowej czy drogach, a zwłaszcza o braku siły roboczej, skoro NKWD musiało pilnować, by dyrektorzy nie podkradali sobie

pracowników. „Było to ogromne pustkowie nad błotnistym brzegiem rzeki w znacznej odległości od miasta, bez linii elektrycznej ani gazowej, bez torów kolejowych i linii trolejbusowej, nawet bez przyjezdnej drogi” – wspominał Krawczenko. „Przypominało to bardziej budowę nowego miasta na pustyni niż fabryki w funkcjonującym już regionie przemysłowym” – dodawał po latach. Jedynym cudem triumfu woli nad przyrodą, w tym wypadku ignorancją planistów, było to, że Krawczenko przekonał kierownictwo NKWD, w tym zastępcę Berii, Wsiewołoda Mierkułowa, że żaden triumf woli nie pokona w wyznaczonym czasie beznadziejnych warunków w Stalińsku. Budowa została przeniesiona 250 kilometrów dalej, do Kremerowa.

Na Węgrzech też nie brakowało niefrasobliwości w projektowaniu. W 1949 roku rozpoczęto budowę grodu Stalina (Sztálinváros) w Mochacz, ale warunki były fatalne. „Przejechałem przez wieś i ugrzęzłem w wielkiej kałuży” – opowiadał József Bondor, funkcjonariusz partyjny. „Robotnicy z pewnym współczuciem patrzyli na faceta z teczka – w tamtych czasach wielu przyjeżdżało z dyrektywami – który zakopał się małym samochodem w błocie”. Po kilku miesiącach prace przerwano, bo zorientowano się, że nieutwardzony grunt nie utrzyma wielkich gmachów – projekt przeniesiono nad Dunaj do miasteczka Dunaujváros. Oficjalnym powodem przeniesienia – tak jak w zaniechaniu budowy w Stalińsku – była bliskość wrogiego państwa, tu Jugosławii, a w Sowietach – jeszcze przedkomunistycznych Chin.

► Nieprawdopodobne opowieści o socjalistycznych miastach

Propaganda wokół socjalistycznych metropolii była tak rozbudowana i piętrowa, że do dziś powtarza się jej najbardziej absurdalne założenia. I tak Nowa Huta miała być budowana na planie ogrodów wersalskich albo przyjmować niektóre założenia architektoniczne renesansowej Polski. Legendy krążyły o szerokich ulicach: a to że mogą służyć jako zapasowe lądowiska dla samolotów, a to że mają w razie wybuchu bomb kanalizować falę uderzeniową, aby ocalić budynki. Szerokie bramy do blokowiskowych podwórz miały umożliwić wjazd czołgom na wypadek buntów robotniczych, co rzekomo sprawdzono w realiach Magnitogorska. Dzieje protestów robotniczych nie potwierdzają tego założenia. Faktem jest, że w piwnicach Nowej Huty funkcjonują schrony – do dziś mieszkańcy krakowskiej dzielnicy trzymają konfitury za podwójnymi stalowymi drzwiami, otwierającymi specjalną wachłą, w podziemnym korytarzu można zobaczyć czerwone lampy alarmowe, a w pu-

stych pomieszczeniach widać resztki instalacji toaletowej, z muszlą klozetową i spłuczką włącznie. Wiemy też, że pomysłodawcy miast idealnych w swoich krajach bali się amerykańskiej inwazji jak ognia – Ulbricht miał sprawdzać, ile minut będą mieli robotnicy Stalinstadtu na ewakuację, zanim alarm przeciwlotniczy ogłosi, że zachodnie bombowce przekroczyły granice kraju.

Inne fantazje snuli sami twórcy miast, które z założenia były samowystarczalne – osiedla mogły liczyć nawet do 6 tys. mieszkańców, a na nich miały się znajdować sklepy, stołówki, przedszkola, tak że wiele funkcji tradycyjnej rodziny miało zaniknąć. Anne Applebaum, brytyjska historyk, twierdzi, że przy projektowaniu urbanistyki sowieccy mistrzowie z Magnitogorska pozwalali, ba, wręcz zachęcali swoich kolegów z demoludów do wpłatania narodowych wątków architektonicznych. Jej zda-

z pism Flory Tristan, innej przedmarksistowskiej aktywistki socjalistycznej, która wynalazła idee „pałaców robotniczych”, zawierających najważniejsze instytucje komuny.

Co ciekawe, wspomniani utopiści są dziś podejrzewani o choroby psychiczne – Fourier zapewniał, że socjalizm zamieni morza i oceany w zbiorniki wodne z lemoniadą, a wilki i rekiny w... wegetarian. Tristan całe życie spędziła w patologicznych relacjach i sama też takie proponowała – sugerowała m.in. kolektywizację dzieci. Niewiele się to różni od gigantomanii Stalinowskiego Wielkiego Planu Przeobrażenia Przyrody, który zakładał posadzenie na Syberii lasów, osłaniających europejską Rosję od zimnych wiatrów, czy też pomysły Inessy Armand na przejęcie dzieci przez państwo – a i dziś pokłosie psychopatycznych ideologów można dostrzec w odbieraniu

WZNOSZONE W AURZE ŚWIĘTOŚCI MIASTA SOCJALISTYCZNE STOJĄ DO DZISIAJ I MIMO KRYZYSÓW LAT 90., GDY ROZPADŁO SIĘ ICH ZAŁOŻENIE SKUPIENIA WOKÓŁ WIELKIEJ HUTY, NADAL SIĘ ROZWIJAJĄ.

niem ratusz nowohucki miał przypominać ratusz w Zamłości (ostatecznie nie powstał wcale), a na Pałacu Kultury widnieją renesansowe dekoracje. Tylko jak owe „narodowe wątki” mają się do pomników Stalina (w Sztálinváros), Lenina (Nowa Huta), do zakazu budowania kościołów (w Nowej Hucie do lat 70., w Stalinstadt do 1981 roku), do amerykańskich modeli planowania przestrzennego czy pięciokątnych skrzyżowań na mapie miast? Nie, stanowczo nowe socjalistyczne miasta były wszczepieniem sowieckich rozwiązań zaczerpniętych z różnych zagranicznych i własnych pomysłów.

► Pomysły psychopatów

Idea samowystarczalnych ekonomicznie i kulturowo miast została zaczerpnięta jeszcze z marzeń przedmarksistowskich komunistów. W pierwszej połowie XIX wieku na północy Francji, a potem eksperymentalnie także w innych częściach świata, powstawały falanstery – pierwsze nowożytne komuny, wymyślone przez Charlesa Fouriera. To on wyliczył, ilu członków powinna liczyć idealna wspólnota, ile stołówek pobudować na osiedlach i jak symetrycznie (czyli każdemu tak samo!) pobudować gmachy. Zresztą przy budowie falansterów występowały te same problemy – niedobory materiałów, brak ludzi do pracy, opóźnienia i niechlujność w wykonaniu. Mało tego, sama idea pałaców kultury została zaczerpnięta

dzieci przez urzędników albo ogółnoświatowych projektach ekologicznych.

► Idealne miasta dzisiaj

Wznoszone w aurze świętości miasta socjalistyczne stoją do dzisiaj i mimo kryzysów lat 90., gdy rozpadło się ich założenie skupienia wokół wielkiej huty, nadal się rozwijają. Choć w dobie funkcjonowania przemysłu słynęły z zanieczyszczeń (w Magnitogorsku tylko co czwarte dziecko rodziło się zdrowe), to dziś wtulone są w liczne drzewa sadzone w ramach „czynów społecznych”. Socrealistyczne miejsca zrzuciły indoktrynację i dziś szukają nowej tożsamości – niemiecki Stalinstadt opustoszał, Sztálinváros (dziś: Dunaújváros, „nowe dunajskie miasto”) aspiruje do miejsca narodzin nowego designu, a Nowa Huta powoli rozkwita wydarzeniami kulturalnymi i kawiarniami. Potężne kompleksy budynków, po poprawkach socjalistycznego niechlujstwa, coraz lepiej się sprawdzają we współczesnej urbanistyce – gdyby nie budowano ich z takim patosem, krzywdą wysiedlanych rolników i wyziskiem robotników, gdyby do inżynierii budowlanej nie dołączono inżynierii społecznej, „idealne miasta” byłyby już dziś nowoczesnymi dzielnicami większych metropolii. Na razie jeszcze o to walczą, choć już bez religii nowego człowieka. ■

Marek Kalinowski

Wyjątkowy prezent

Zamiast elektroniki i mocnych dźwięków gitar – waltorie, klarnet i viola da gamba. Monika Borzym wraz z Nikołą Kołodziejczykiem prezentują własne, jazzowe wersje utworów zespołu legendy – Radiohead.

Płyta „Radiohedonistycznie” stanowi podwójny prezent. Po pierwsze, jest podarkiem urodzinowym, jaki sprawiła sobie sama autorka, nagrywając koncert z utworami ukochanego od dzieciństwa brytyjskiego zespołu Radiohead. Po drugie, jest to upominek dla ogromnej rzeszy fanów zarówno twórczości Thoma Yorke’a, jak i wokalnego talentu Moniki Borzym.

Nie jest łatwo zmierzyć się z zespołem legendą. Radiohead dla pokolenia dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków jest bowiem jednym z ważniejszych doświadczeń muzycznych. Wraz z ich kolejnymi płytami słuchacze prowadzeni byli niemal za rękę od klasycznych rockowych piosenek po elektroniczną muzykę eksperymentalną. Wybór zaledwie kilku utworów z bogatej dyskografii zespołu to nie lada wyzwanie. W selekcji pomógł znakomity aranżer i pianista Nikola Kołodziejczyk. Wraz z towarzyszącymi muzykami (m.in. znany z Voo Voo perkusista Michał Bryndał, multiinstrumentalistka Marta Zalewska, klarnecista basowy Tomasz Żymła oraz trzech waltornistów!) opracowali nieco mroczne utwory Radiohead radosnymi, akustycznymi dźwiękami.

W wyborze nie poszli też na łatwiznę. Wśród piosenek opracowanych przez Nikołą Kołodziejczyka nie znajdziemy największych przebojów grupy. Nie ma ani zgranego do bólu przez rozgłośnie radiowe „Creep”, koncertowego hitu „Karma Police”, ani nawet „Fake Plastic Trees”. Są za to mniej znane utwory wyciągnięte z różnych etapów twórczości Yorke’a i Greenwooda.

Najbardziej wpadający w ucho moment koncertu Borzym to promujący płytę utwór „Little by little”. Po-

zbawiony dźwiękowych przeszkadzajek Radiohead, a wzbogacony świetnym tłem klarnetu basowego, mocnym wejściem gitary Marty Zalewskiej i ciepłym głosem Moniki Borzym stał się tutaj prawdziwym przebojem. Znakomicie zabrzmiał też duet Borzym z goszczącym na płycie Marcinem Januszkiewiczem w „I’ve Seen It All”. W oryginale utwór został

zaśpiewany przez Thoma Yorke’a i Björk, nie pochodzi jednak z dyskografii Radiohead, a z muzyki do filmu „Tańcząc w ciemnościach”. Jest także „Glass Eyes” z długim fortepianowym wstępem Nikoli Kołodziejczyka, obdarty nieco z mrocznej aury wersji Thoma Yorke’a. Do tego nie sposób nie wspomnieć o świetnej interpretacji „Backdrifts”, w której elektronika została z powodzeniem zastąpiona przez bas, perkusję i instrumenty dęte.

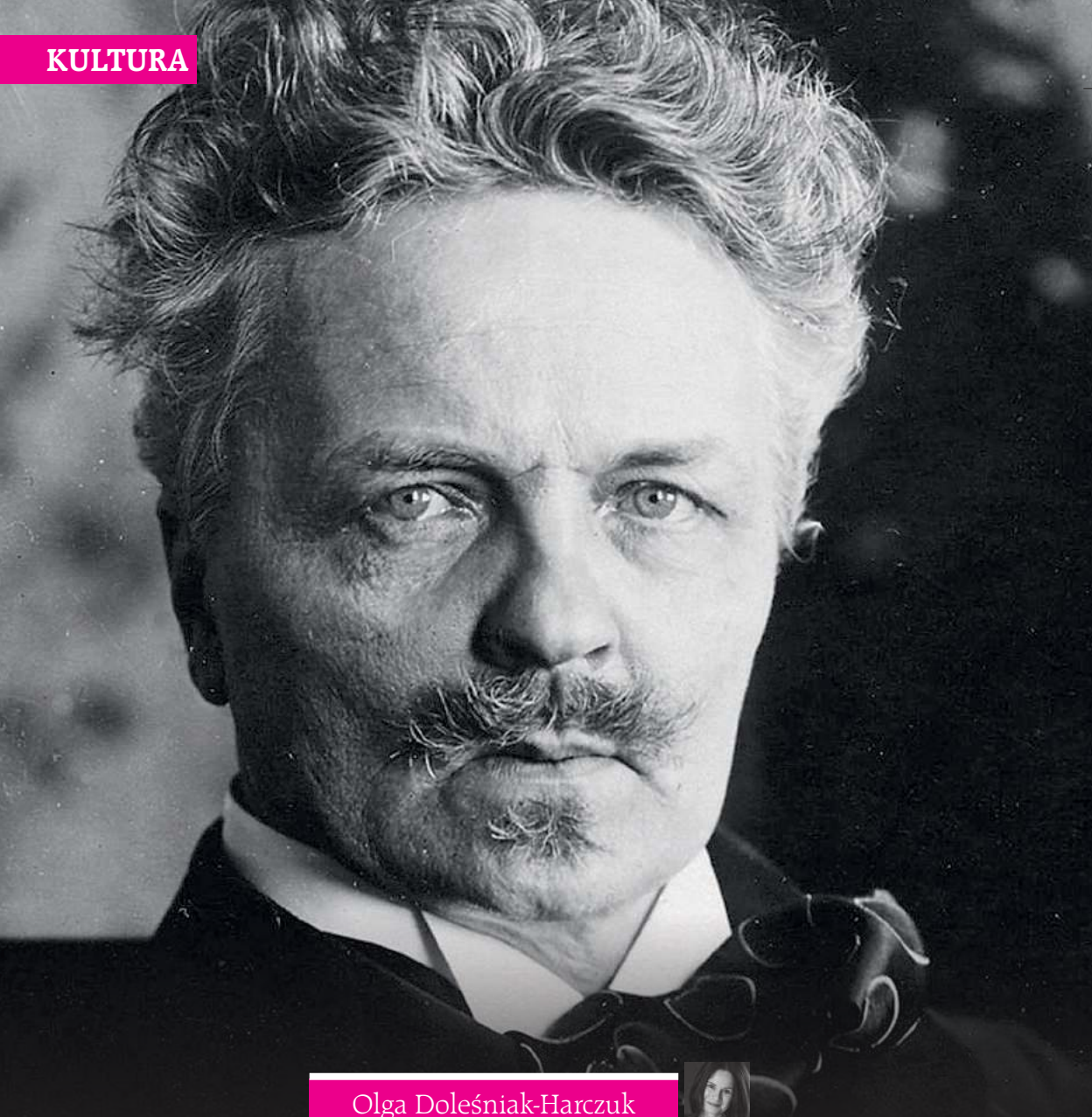
Odbiór albumu nieco psuje wpłciona na samym początku piosenka „Wieliczka” z repertuaru zespołu Hey, która nie dość, że nie zagrała dobrze z resztą utworów, to zakłóciła także album jako pe-

wien koncept. Byłoby znacznie lepiej, gdyby pojawiła się na koniec koncertu, stanowiąc jedynie bonus. Wreszcie sięgnięcie po twórczość Radiohead mogło być pretekstem do nieco odważniejszych improwizacji. Zabrakło momentów, w których ci fenomenalni muzycy popłyną częściej i śmieiej we własne rejony, tak jak zabrzmiało to w „Polyamide Song”.

Płyta Moniki Borzym to niewątpliwie obowiązkowa pozycja dla wszystkich fanów twórczości Thoma Yorke’a. Jest to jednak również doskonała okazja dla słuchaczy muzyki jazzowej, aby zagłębić się w niezwykły świat dźwięków Radiohead.



Monika Borzym, „Radiohedonistycznie. Live at Wytwórnia”, Mystic Productions



Olga Doleśniak-Harczuk



Diwa, diablica i elf mistrza Strindberga

August Strindberg bywał czarujący i wiedział, jak obchodzić się z kobietami, lecz korzystał z tej wiedzy wyrywkowo. Ambitną Fridę Uhl w napadach szału potrafił nazwać diabolicą, Harriet Bosse zamiast typowych oświadczyń usłyszała: „Czy chciałaby pani mieć ze mną małe dziecko?”, o Siri von Essen napisał: „księżniczka, z którą krew mieszał świniopas”. 22 stycznia przypada 170. rocznica urodzin ekscentrycznego Szweda. Genialnego dramatopisarza, malarza, fotografa, amatora alchemii i ezoteryki, „chrześcijanina bezwyznaniowego”, duchowego ucznia Emanuela Swedenborga i trzykrotnie rozczarowanego męża trzech nietuzinkowych heroin.



Frida Uhl

FOTOWIKIPEDIA

Za życia pewną chropowatość Strindberga w relacjach z kobietami przypisywano jego chorobliwej wręcz niechęci do idei równouprawnienia. Większość kobiet w jego dramatach to istoty nieobliczalne, pragnące wyrwać się z kokonu konwenansu, choć nierzadko tragicznie zagubione, poszukujące swej tożsamości, rozbijające się o skały własnych ograniczeń, raz bezwzględne intrygantki, za chwilę kruche, porcelanowe lalki. Jak sztandarowa postać kobieca Strindbergowskich eksperymentów z gatunku wojny płci, bohaterka dramatu „Panna Julia” (1888). Dziewczyna łącząca w sobie ogień, wodę i ten mocno gorzki, tak bardzo różny od niemieckiego, bo konsumowany na zimno skandynawski Weltschmerz. Takie mieszańki nie wróżą kłiwych happy endów. „Panna Julia” jest najczęściej ekranizowanym i wystawianym dramatem Strindberga, szczególnie godny polecenia wydaje się film z 1999 roku z Peterem Mullanem i Saffron Burrows w rolach głównych, świetnie dobrani aktorzy i zero niedomówień. Historia lokaja Jeana i panny z dobrego domu od pierwszych scen pędzi na skraj przepaści. I to się czuje. Julia, niezależnie od swojego pochodzenia, przymiotów, intelektualnej (pozornie) przewagi nad Jeanem, swojego poczucia wyższości nad nim, przegra po trzykroć: stanie się ofiarą nieznaności własnej natury, da się zbrukać i obdarta z iluzji własnoręcznie wymierzy sobie sprawiedliwość. W XX i XXI wieku nowe, zmodyfikowane „panny Julie” będą walczyć „w złym, męskim świecie” o miłość, godność, a potem już tylko o życie, znajdzie się kilka takich Julii, te najciekawsze jednak z reguły u Romana Polańskiego i Larsa von Triera. Gdyby Strindberg żył w naszych czasach, mógłby robić tego typu kino, może w alternatywnej rzeczywistości to on podpisałby się pod „Tess” czy „Przełamując fale”.

Prześlizgując się po życiorysie i twórczości Strindberga, można by nawet przyjąć, że nieznoszny Szwed z rozmysłem i determinacją godną lepszej sprawy zapracował na opinię mizoginicznego drania. Z perspektywy XXI wieku i teorii narosłych wokół wszelkich funkcji i dysfunkcji relacji damsko-męskich jawi się jednak Strindberg przede wszystkim jako spanikowana ofiara własnego lęku przed silnymi kobietami niż prototyp istoty, którą marksistowskie aktywistki mogłyby okrzyknąć oberantyfeministą. Poza tym to nawet ciękawo, że mimo tej całej antykobiecej otoczki, która oblepiała i literacki, i prywatny mikrokosmos pisarza, dwie ostatnie ekspansje Strindberga nie wspominały Augusta źle, wręcz przeciwnie, pisały i wyrażały się o nim z życzliwością, u Fridy Uhl wyczuwa się nawet mieszanekę podziwu i nabożeństwa. Może więc nie taki Strindberg mizogin zły, jak go malują. A może jego silno-delikatne towarzyszkę życia, tak desperacko

i konsekwentnie budujące mity własnej wyjątkowości czy to na teatralnych scenach, czy w artystycznych kawiarniach i kabaretach, z czystego wyrachowania podpinają się pod mitologię Strindberga. Geniusza, z którym trudno było wytrzymać, ale bez którego życie traciło pazur, blakło i nuiżyło.

► Strindbergerowcy w szrankach z feministkami

Strindbergowskie obsesje na punkcie kobiet, ich roli w społeczeństwie i pelzającej kobiecej wojny wypowiedzianej mężczyznom, wojny, z której nikt nie wychodzi cało, wpisują się również we współczesne postrzeganie walki płci. I to w różnym stopniu natężenia, od wzbudzających odruch zażenowania podziałów na Marsjan i Wenusjanki przez stereotypizację relacji męsko-damskich w komediach romantycznych po agresywne manifesty żelaznych feministek. Jeżeli w swoim czasie i swoim świecie Strindberga nazywano mizoginicznym draniem, to dziś (przy założeniu, że jednak nie robiłby konkurencji Polańskiemu czy von Trierowi) mógłby też sprawdzić się w roli charyzmatycznego lidera jakiegoś antyfeministycznego ruchu. Kto wie, może chłopcy strindbergerowcy, taka wizualnie ugrzecznona wersja braciasków z „Korova Milky Bar” z przekreśloną tęczową flagą wpiętą w meloniki, przy dźwiękach „Marsza żałobnego dla królowej Mary” Purcella stanęliby w dramatycznej scenerii miejskich dżungli naprzeciw najbardziej agresywnych feministek. Kosa i kamień, starcie XIX i XXI wieku, gdzieś w ojczyźnie Henninga Mankella, Stiega Larssona i kompaktowych mebli o nazwach nie do wymówienia. W Szwecji, gdzie rozrost genderyzmu osiągnął już stadium pod tytułem „170 imion neutralnych płciowo do wyboru, do koloru” chłopcy strindbergerowcy raczej by się nie nudzili. Poza tym tych 170 imion w obliczu zbliżającej się rocznicy wypada bardzo symbolicznie.

► Siri, byłaś bardzo niegrzeczna

„To jest straszna książka, przynajmniej się do tego bez wykrętów i z piękną skruchą. Co do niej doprowadziło? Oczywiście potrzeba obmycia mego ciała, zanim zostanie złożone do grobu” – tak 19 lat przed „złożeniem do trumny” tłumaczył się Strindberg ze „Spowiedzi szaleńca” (1893), powieści autobiograficznej, w której szorstko rozliczył się ze swoją byłą małżonką Siri von Essen. „Nie było piekła na ziemi, zanim nie powstał raj, to znaczy: zanim nie pojawiła się kobieta!” – pisał Strindberg i nie był to bynajmniej szczyt jego możliwości. Szwed już racjonalność samej idei równouprawnienia stawiał na równi z racjonalnością sprezentowania małpie brzytwy. Oczywiście prowoka-

cja i zagranie PR-owe, ale poskutkowało wtedy i dziś też by zadziało (Strindberg wiedział, jaką piłeczkę rzucić, by wszyscy chcieli aportować). W oczach Strindberga kobieta, a w roku 1893 to Siri von Essen ucieleśniała dla niego zbiorczo wszystkie kobiety świata, była fizjologicznie niezdolna do bycia równą mężczyźnie, na potwierdzenie czego autor przytaczał dosadne, a nawet dość prymitywne argumenty. Książka przyniosła Strindbergowi spodziewany rozgłos i profity, miał się czym puszyć w Berlinie i Paryżu, w tym pierwszym mieście przekonać miał się niedługo, że nimb skandalisty jeszcze wzmocnił jego atrakcyjność, nie tylko w sensie pisarskim.

Odbiorcy przyzwyczajeni do naturalistycznych, obsesyjnie nawiązujących do walki płci utworów Strindberga może i nie dostali zawału, zgłębiając demaskatorskie opisy życia małżeńskiego Augusta i Siri, ale sama Siri mocno to przeżyła. Turpistyczne niemal opisy jej samej, wspomnienia mocno zakrapianych nocnych wypraw na miasto i nieobyčajnych powrotów nad ranem, jej zdradliwej natury opakowanej w papierki po cukierkach, braku talentu aktorskiego (Siri grała w sztukach męża, m.in. rolę Panny Julii), a nawet rzekome skłonności homoseksualne – wszystko to psychicznie pognębiło byłą panią Strindberg i jej dzieci, a Augustowi przysporzyło mniej więcej tyle samo kłopotów, co korzyści.

Wydając po francusku „Spowiedź szaleńca” (zadbał, by książka nie ukazała się w Szwecji ani po szwedzku), Strindberg przekroczył w swojej powieści wielokrotnie granicę dobrego smaku, ale we Francji ją doceniono. Niemieckie tłumaczenie książki wzbudziło wręcz odrazę, czego główną przyczyną, jak się z czasem okazało, było niefrasobliwe, w wielu miejscach przekłamujące słowa autora tłumaczenie powieści. Skończyło się kolejnym skandalem – Strindberg musiał się stawić przed sądem w Berlinie za obrazę moralności. Książka zbulwersowała też austriackie elity. A jak Austria i rok 1893, to czas na Fridę.

► Frida wychodzi za mąż

27 marca 1893 roku – jeden z najczarniejszych dni w życiu Friedricha Uhla, redaktora naczelnego prestiżowej „Wiener Zeitung” i autora przetłumaczonych na język polski „Bajek z Doliny Wisły”. To właśnie tego dnia z łamów „Deutsche Zeitung” Uhl dowiedział się o rzekomych zaręczynach swojej młodszej, przebywającej w Berlinie córki Fridy. Sześciowersowa notka brzmi jak wyrok. 21-letnia Frida Uhl postanowiła zostać drugą panią Strindberg, a ślub odbędzie się wkrótce. Koniec informacji. Friedrich Uhl był wstrząśnięty. Wielokrotnie jako krytyk teatralny i miłośnik wszelkich gałęzi sztuki pisał w swoich felietonach o Strindbergu, Ibsenie, Wa-

gnerze. Jednak przez myśl mu nie przeszło, że ten pierwszy, którego zresztą uważał za skończoną kanalię i skandalistę, zostanie kiedyś jego zięciem. Uhl kipiał z wściekłości. Córka była jego oczkiem w głowie, nie takiej przyszłości dla niej pragnął. Nie Strindberga i nie Berlina. Zresztą w ciągu ostatnich tygodni, jakby przeczuwając nadciągające kłopoty, apelował do niej, by porzuciła „zatruty moralną zgnilizną Berlin” i wróciła do domu. Bez powodzenia. Frida wiedziała swoje i doskonale bała się z dala od konserwatywnego Wiednia, w którym czuła się spętana konwenansem i niezdolna zaspokoić ambicji ojca, który sam i owszem miał nawet liberalne poglądy, ale od rodziny wymagał maksymalnego dostosowania się do XIX-wiecznych standardów. W listach do matki z tamtego okresu panna Uhl pisała: „Kochana Mamusiu, jednego dnia aż trzy razy proszono mnie o rękę, pokładałam się ze śmiechu. Przyjęłam jednak jedno z tych oświadczeń. Po pierwsze – ponieważ go kocham – nie namiętnie wprowadzić, ale z całego serca, po drugie – bezgranicznie go podziwiam i wielbię, po trzecie – to prawdziwa sława i ma przed sobą obiecującą przyszłość, mimo przejściowego braku majątku. Mężczyzna, o którym piszę, to... August Strindberg, on jest teraz na ustach wszystkich”.

Ojciec nie chciał słyszeć o emocjonalnych argumentach. Matka (żyjąca od lat w cichej separacji z mężem) w przyszłości miała wykazać się imponującą umiejętnością przechodzenia do porządku dziennego nad uczuciowymi sinusoidami zarówno córki, jak i przyszłego, a potem byłego zięcia. Tak czy inaczej Strindberg zjawiał się w życiu wiedeńskiej rodziny Uhl niczym grom z jasnego nieba. Frida była zauroczona starszym narzeczonym, ale nie omieszkała – pomna atmosfery rozstania Strindberga z Siri – zapytać: „A czy mnie kiedyś też tak obsmarujesz?”.

► Miłość „Pod czarnym prosiakiem”

Frida od dziecka rozwijała swoje liczne talenty pod okiem ojca. Uznany w środowisku krytyk teatralny i świetny felietonista zadbał o wszechstronny rozwój dziewczyny. Austriaczka uczęszczała do przyklasztornych szkół z internatami we Francji, w Anglii i we Włoszech, gdzie wszczepiono jej miłość do języków obcych, świetnie posługiwała się angielskim i francuskim. Wiedziała, jak zrobić właściwy użytek z bogatej biblioteki ojca, była ocyztana, błyskotliwa i zdecydowanie zbyt śmiała w kontaktach z otoczeniem, co dodawało jej pikantnego uroku rozpieszczonej (ale nie głupiej) córki sławnego redaktora Uhla. Mając zaledwie 19 lat, zadebiutowała dziennikarsko na łamach „Wiener Zeitung”, a niedługo po tym ciekawość świata podparta nie mniejszą ciekawością ludzi zawiodły ją do Berlina, gdzie jako korespondentka wiedeńskie-

go dziennika aktywnie uczestniczyła w kulturalno-kawiarnianym życiu miasta. Nie opuszczała żadnej premiery teatralnej, szybko wyrobiła sobie nazwisko wśród tamtejszych krytyków teatralnych. To w takich okolicznościach poznała Strindberga. Szwed od początku 1893 roku przemieszczał w hotelu przy Unter den Linden, wieczory spędzał w oddalonej zaledwie kilka kroków od hotelu winiarni, którą dla hecy nazywał „Pod czarnym prosiakiem”. Jeden z jego przyjaciół w następujący sposób opisywał atmosferę tego miejsca: „Okno [knajpy] było do tego stopnia przesłonięte wszelkimi butelkami, że wschód słońca można było dojrzeć jedynie przez szkło butli spirytusu”. Pisarz całe noce bawił się „Pod czarnym prosiakiem” w towarzystwie przyjaciół i przygodnych znajomych, jednym z nich był Edward Munch.

Do pierwszego spotkania Fridy i Strindberga doszło na przyjęciu wydanym po premierze dramatu „Heimat” Hermanna Sudermanna w styczniu 1893 roku. Od tego czasu stali się niemal nierozłączni. Wieczory spędzali, jakże by inaczej, „Pod czarnym prosiakiem”, widywało się ich również spacerujących ulicami Berlina. Plotkarskie środowiska szybko podchwyciły temat, to wtedy na łamach „Deutsche Zeitung” pojawiła się wzmianka o rzekomych zaręczynach, która to informacja Friedricha Uhla przyprawiła o palpitację serca. Ale plotki plotkami, a honor rodziny trzeba było ratować. Uhl rozumiał, że aby uniknąć skandalu, Strindberg musiał oficjalnie poprosić o rękę jego córki. Tak też się stało. Szwed podziwiał narzeczoną za to, że ma w sobie „ziarenko mężczyzny i kropelkę kobiety”, co – jak podkreślał – „stanowi wyborną parę”, w listach nazywał ją „kochanym dzieckiem” i „dobrą, śliczną, złą istotą”. Frida z początku nawet wchodziła w rolę dziecinnej żony przy boku mistrza, ale życie szybko zrewidowało ten podział.

Ślub odbył się 2 maja 1893 roku na wyspie Helgoland. Nieznacznie zamożniejsi od myszy kościelnej państwo Strindberg z braku lepszych wariantów zamieszkali w gminie Saxen w Górnej Austrii, gdzie leżała posiadłość dziadków Fridy. Strindberg kursował między Saxen a pobliskim Klam, oddawał się pisaniu i malowaniu obrazów, resztę czasu dzielił między kłótnie z żoną i robienie jej wyrzutów. Dzisiaj w Saxen działa jedyne zlokalizowane poza Szwecją Muzeum Strindberga, mieszkańcy gminy są dumni z austriackiego epizodu w życiu pisarza. Za okragłe pięć euro można obejrzeć jego listy z lat 1883–1896, zdjęcia, posłuchać historii burzliwego uczucia do Fridy i może nawet dotknąć pianina, które zakupił na miejscu. Wystawa porusza też wątek zainteresowania Strindberga alchemią i syntezą złota, jednym z leitmotywów kolejnej autobiograficznej powieści „Inferno” (1897).

► I kto tu rządzi?

W 1894 roku przysła na świat córka Strindbergów, Kerstin, ale w małżeństwie od dawna zgrzytało. Po pierwsze, Frida wcale nie chciała dziecka i była sfrustrowana, po drugie, już w chwili narodzin córki państwo Strindberg żyli w separacji, po trzecie, dziennikarka wcześniej zniechęciła do siebie męża, krok po kroku przejmując stery związku. To rzekome dziecko dbało o interesy zawodowe Augusta, zabiegało w teatrach o wystawianie jego sztuk, miało niekonwencjonalne pomysły na promocję męzowskiej twórczości i generalnie... zaczęło nosić spodnie.

W Augustcie obudził się bunt. Problemy finansowe i konflikty wynikające z podobieństwa charakterów i silne osobowości obu stron, z których żadna nie zamierzała ustąpić choćby na centymetr, ciągnęły się czerwoną nitką przez cały okres tego krótkotrwałego małżeństwa, a romans Fridy ostatecznie je pograżył.

W 1897 roku na świat przyszedł Friedrich, owoc

pisarzu, austriacka aktorka Tilly, dopiero co zwolniona z zakładu psychiatrycznego po nieudanej próbie samobójczej, do którego to czynu zresztą doprowadził ją własny małżonek. Żalobnicy nie podążyli za trumną, oni za nią biegli, skacząc przez nagrobki. Pod koniec ceremonii rozdygotany pisarz Heinrich Lautensack o mało nie wpadł do grobu, rzucając w histerycznym pląsie róże na trumnę Wedekinda i zawodząc przy tym: „Franku Wedekindzie, mój nauczycielu, mój wzorze – twój niegodny uczeń, Lautensack”. Nie wiadomo nic o tym, by Frida też zęgnęła ojca swojego syna w to chłodne, monachijskie popołudnie. Raczej nie miała do niego sentymentu. Wedekind po krótkim romansie lata wstecz odrzucił ją, gdy postanowiła pomóc mu w karierze, tak jak wcześniej pomagała Strindbergowi. I tak zachowała w całym swoim ówczesnym położeniu więcej zdrowego rozsądku niż nieszczęsna Tilly, przynajmniej nie postanowiła zatopić rozpacz we flakoniku z trucizną.

MIMO ANTYKOBIECEJ OTOCZKI, KTÓRA OBLEPIAŁA I LITERACKI, I PRYWATNY MIKROKOSMOS
PISARZA, DWIE OSTATNIE EKSPANIE STRINDBERG NIE WSPOMINAŁY AUGUSTA ŹŁE, WRĘCZ
PRZECIWNIE, PISAŁY I WYRAŻAŁY SIĘ O NIM Z ŻYCZLIWOŚCIĄ.

romansu Fridy z Frankiem Wedekindem, niemieckim dramaturgiem lubującym się w sadomasochistycznych opisach i niewyszukanej satyrze na „mieszkańskich hipokrytów”. Strindberg nie był tymi okolicznościami uszczęśliwiony, jego małżeństwo z Fridą istniało już tylko na papierze, lecz dziecko jednak narodziło się w małżeństwie. Finał był taki, że Strindberg dał Friedrichowi swoje nazwisko. Chłopiec wychowywał się u babki w Saxen. Po wielu latach osiadł w Niemczech, wybrał jak matka dziennikarstwo, ale w odróżnieniu od niej wiodł mało ekscentryczny styl życia, a nawet przeszedł do historii jako Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Biologiczny ojciec Friedricha nie interesował się synem, jak na rasowego skandalistę przystało nawet w ostatnią drogę wybrał się tak jak żył: z przytupem. I to jest jedna z barwniejszych (choć cmentarnych) opowieści z tamtego czasu. Otóż 9 marca 1918 roku na monachijski Waldfriedhof zjechali artyści, aktorzy, gapie, pisarze z braćmi Thomasem i Heinrichem Mannem oraz młodym Bertoldem Brechtem na czele, plus cały kondukt zapłakanych dam lekkich obyczajów. Pojawiła się też wdowa po

► To diabeł wcielony!

Wróćmy jednak do Fridy, Strindberga i początku końca małżeńskiej przygody numer dwa. Szybko okazało się, że Frida nie tylko nieźle radzi sobie w dziennikarstwie, lecz także potrafi pisać książki. Szła więc za ciosem i pisała. Strindberga ta sytuacja frustrowała jeszcze bardziej, młodsza o ponad 20 lat żona uniezależniała się od niego na wszelkich możliwych polach, on tymczasem rozsypywał się psychicznie, nie mogąc ani znaleźć sobie miejsca, ani sprostać jej wyobrażeniom o idealnym związku.

Frida w pewnym momencie tak mocno stanęła zawodowo na własnych nogach, że zaczęła utrzymywać siebie i Augusta, co doprowadzało go już do szewskiej pasji. „Ona pisze książki! To diabeł wcielony!” – skarżył się w towarzystwie. Absolutnie nie radził sobie z kobietą, która nie należała do gatunku tych, które szczęście znajdują wyłącznie w domowym zaciszu. Jeszcze na długo przed kryzysem małżeńskim ich relacje były dalekie od ideału, a niektóre incydenty wieszczyły kłopoty w przyszłości. Jak się po latach wydało, w noc poślubną August był bliski udu-

szenia Fridy, biorąc ją w sennym zwidzie za znenawidzoną Siri. Gdy na początku znajomości panna Uhl zaprosiła obiekt swej fascynacji na kolację i chciała uregulować rachunek, August dostał furii. Kiedyś w rozmowie z siostrą Fridy wyznał, że nie patrzył na żonę jak na kobietę, ponieważ była... mądra. Kula śniegowa toczyła się coraz szybciej.

Frida szukała kolejnych wyzwań, a Strindberg nie był dłużej w stanie dotrzymać jej kroku, o ile kiedykolwiek dotrzymywał. Małżeństwo z dużo młodszą od siebie i niepokorną dziewczyną okazało się kolejną pomyłką. Rok 1897 przyniósł ostatecznie rozwód.

Po rozstaniu ze Strindbergiem Frida rzuciła się w wir pracy, jako pierwsza tłumaczyła nawet dla wiedeńskich wydawnictw wybrane utwory Oscara Wilde'a. W 1906 roku umarł jej ojciec, a ona popadła w kłopoty finansowe, prowadziła awanturniczy styl życia. Doszło nawet do tego, że jej matka oficjalnie poinformowała na łamach prasy, że nie zamierza spłacać długów zaciąganych przez córkę. Frida wyprowadziła się do Londynu, gdzie w 1912 roku założyła w piwnicach Heddon Street 9, tuż przy modnej Regent Street, klubokabaret „Jaskinia złotego cielca”. Przez następne dwa lata klub Fridy ściągał crème de la crème londyńskiej arystokracji, bohemy artystycznej i elity finansowej. Była pani Strindberg witała swoich gości z małpką na ramieniu. Zatrościła się też o to, by nad tym przesyconym hedonizmem i atmosferą dekadentckiego zepsucia miejscem unosił się duch uwielbianego przez nią Oscara Wilde'a, w takim duchu kreślił też klimat klubu brytyjski pisarz Philip Hoare („Wilde's Last Stand: Decadence, Conspiracy, and the First World War”, 1997). Hoare, nawiązując do istic dorianowskiego motywu, opisuje stałych bywalców „Jaskini” jako „młodzieńców w dopasowanych garniturach i z pomalowanymi paznokciami”, co z kolei potwierdzałoby plotkę, że przybytek drugiej eksmałżonki Strindberga przyciągał również rzesze londyńskich homoseksualistów. Klub splajtował z nastaniem I wojny światowej, ale przetrwał do dziś w pamięci kultury masowej, budynek zaś, w którym w latach 1912–1914 urządzano niegrzeczne imprezy, dziś jest poważnym urzędem pocztowym. Dawne mury „Jaskini” uwieczniono na okładce albumu Davida Bowiego z 1972 roku („The Rise and Fall of Ziggy Stardust and the Spiders from Mars”). Trudniej o bardziej popkulturowy hołd dla kultowego lokalu.

Frida Uhl zwykła powtarzać, że życie to okrutny bankiet, na którym za przekąski i wstęp płaci się własną krwią. W swoim życiu „po Strindbergu” nieraz udowodniła, że sama też potrafi pałać żądzą krwi i zemsty, niewiernemu kochankowi groziła bronią, jej kolejne związki były pasmem obustronnej udręki, niezrozumienia i rozczarowań. W 1937 roku Frida wydała książkę „Mar-

riage with Genius” („Małżeństwo z geniuszem”), gdzie namalowała takiego Strindberga, jakiego nigdy nie było. Odrealniona parahagiografia stała się jednak widocznym znakiem tęsknoty za kimś, kto ją niszczył i komu nie pozostawała dłużna. Zmarła w czerwcu 1943 roku, o 31 lat przeżywszy i Augusta, i Siri.

► Harriet, ostatnia nadzieja mistrza

Ponieważ o Harriet Bosse, trzeciej małżonce Strindberga, mówi się najczęściej (nie wiem dlaczego, Frida była o wiele ciekawsza), ograniczam poświęcony jej akapit do minimum. Z Harriet związanych jest kilka anegdotek, które też posłużyły do budowania mitu Strindberga jako ekscentryka. Para poznała się w 1901 roku, Harriet, norweska aktorka – lat 23, August – uznany dramaturg, lat 51. Ona urzekła go swoją wdzięczną interpretacją Puka w „Śnie nocy letniej”, orientalną urodą i mieszkanką delikatności i siły, która tak pociągała go w poprzednich małżonkach (z początku). Zabiegając o jej względy, zasypywał ją koszmami owoców, kwiatów, podsyłał jakieś podejrzanek okultystyczne lektury, pokazywał „złoto”, które rzekomo samodzielnie wyprodukował. Oświadczyły nastąpiły szybko, w marcu 1901 roku, ślub trzy miesiące później. Bosse stała się nie tylko żoną, lecz także muzą Strindberga, pisał dla niej role w swoich dramatach i zdaje się, że był z jej gry bardziej zadowolony niż dawniej z umiejętności scenicznego Siri. W czasie trwania ich małżeństwa August pisał swoje utwory piórem, które wyciągnął z kapelusza Harriet. Z zachowanych listów Augusta do ukochanej przebijają czułość i spokój. „Ściskam Cię, całuję Twoje oczy i dziękuję Bogu, że wysłał mi Ciebie małą gołębicę z gałązką oliwną, a nie z różą brzoszową!” – czytamy w jednym z pierwszych. Mimo całej słodyczy i ten związek nie przetrwał Strindbergowskich turbulencji. August był zazdrosny o każdego i o wszystko, urządził żonie sceny zazdrości, bywał też agresywny względem przypadkowych świadków ich kłótni, pewnego razu zaczął okładać laską fotografa, który miał czelność stanąć obok Harriet. Drogi tych dwojga rozeszły się ostatecznie w 1904 roku. Do końca życia Strindberg patrzył jednak już tylko na Harriet. Na ścianie swojego pokoju kazał powiesić ogromne zdjęcie byłej żony w zawiadackiej pozie Szekspirowskiego Puka. ■

Monica Strauss, „Cruel Banquet: The Life and Loves of Frida Strindberg”, Harcourt Inc., 2000.

Verena Mayer, „Liebes, böses Tierchen. Frida Uhl und ihre Liebesgeschichte mit August Strindberg”, Wiener Zeitung 2002.



Krzysztof Karnkowski

Naćpani od słów

Produkcja budzi emocje, nie zostawia obojętnym, zapada w pamięć i imponuje rozmachem. Jest bardzo polska, jak polska może być opowieść o polskiej mafii, polskich dealerach, ćpunach celebrytach i zwykłych osiedlowych dresikach, którym w łapy wpadły nagle za duże pieniądze. Zarazem jednak brak jej większości wad rodzimych seriali. To opowieść o Warszawie, która wydaje się specyficzną bańką, miejscem, w którym sukces się odnosi i za ten sukces się płaci. I nie można się targować. O Warszawie, w której transformacja już się dokonała i zakończyła, by dogonić wizję, jaką kilkanaście lat temu w swojej „Przenajświętszej Rzeczypospolitej” odmalował Jacek Piekara, tyle że zamiast polityków i Kościoła rząd dusz sprawują celebryci i dostawcy towaru, najczęściej kokainy. Mecha-

nizm wysysania prowincji, sprostytuowania wszystkiego i wszystkich jest podobny, choć tu nie ma przecież politycznej dystopii, a portret miasta, które jest tuż obok nas, czasem, co gorsza, w nas samych.

Piekara to dość odległe skojarzenie literackie, tych jednak jest więcej. Przed serialem była bowiem książka, choć tak naprawdę proces ich powstawania był ze sobą spleciony prawie od początku. Jakub Żulczyk, pisarz wciąż chyba jeszcze młodego (ur. 1983) pokolenia, pokazał pierwsze rozdziały reżyserowi Krzysztofowi Skoniecznemu, który miał już wówczas za sobą swój fabularny debiut „Hardkor Disko”. Skonieczny tematem zainteresował się na tyle, że od razu postanowił w jakiś sposób przenieść czytaną historię na ekran, a gdy skomunikowała się z nim Iza Ło-



Serial „Ślepnąc od świateł”, który jesienią pokazała widzom telewizja HBO, jest niewątpliwie wydarzeniem roku w swej kategorii, a zarazem fenomenem kulturowym. I choć nie brak na jego temat głosów krytycznych, popularność wydaje się zupełnie zasłużona.

puch, producentka z HBO, sprawa stała się właściwie przesądzona. I stało się bardzo dobrze.

► Dealer, gangster i Kuba

Młody dealer, obsługujący celebrytów i hipsterów, wydaje się jednym z niewielu wygranych tej wojny miasta z samym sobą. Niczym zaprzyjany lekarz rodzinny o każdej porze nocy (w dzień śpi, ale wtedy jest rzadziej potrzebny) wyrusza, by ratować imprezę potrzebujących coraz mocniejszych wrażeń korporacyjnych i medialnych królów życia oraz znudzonych żon ich starszych kolegów. Ma swojego przyjacielskiego dostawcę, a zarazem przełożonego, ma kilku kolegów zakapiorów, z którymi chcąc nie chcąc jeździ na różne akcje, sam jednak rąk raczej sobie nie

brudzi. Ma przyjaciółkę, z którą nie śpi, ale na którą może liczyć, i była dziewczynę, modelkę, z którą wciąż ma problem. I tak to się wszystko kręci swoim w miarę ustalonym trybem do momentu pojawienia się najpierw tajemniczej walizki z trefnym towarem, a wkrótce później również tajemniczego Daria, w streszczeniach i zapowiedziach opisywanego jako gangster starego typu. Dario to kompletny świr. Inteligentny, pozbawiony hamulców i śmiertelnie (o tej śmiertelności przekonuje się wiele osób, zwłaszcza w serialu) niebezpieczny. Reszty nie będę zdradzał, żeby nie psuć zabawy tym spośród czytelników, którzy jeszcze nie zdecydowali się na maraton z serialem lub kilka godzin z książką.

Te należy traktować komplementarnie. Są od siebie na tyle różne, by poświecenie czasu na jedno nie wystarczyło za zapoznanie się z jednym i drugim. Różnią się trochę imiona bohaterów, w tym głównej postaci, książkowego narratora, który na kartach powieści jest Jacusiem, a na ekranie Kubą. Niektóre wątki w serialu rozwinięte są bardziej i wytłumaczone lepiej, jak historia walizki czy kulisy nagłego powrotu Daria do warszawskiego półświatka. Książkowy Jacuś budzi, przynajmniej we mnie, mniej ciepłych uczuć, chwilami jawi się jako postać równie zła jak otaczający go świat (ma na koncie choćby zmuszenie dziewczyny do aborcji, tuż przed porzuceniem jej, przed którym zabicie dziecka miało ją uchronić). Serialowy Kuba przynajmniej pomaga sąsiadce, choć dobrze się to dla dziewczyny nie kończy. Jednak nie dla niej jednej scenariusz okazuje się mniej łaskawy niż powieść, więcej w nim trupów i przemocy, więcej tego klimatu z czasów rozkwitu polskiej mafii, znanego choćby z „Odwróconych” czy innych produkcji tego typu. Gwałty, brutalne mordobicia, haracze, brak litości dla dłużników, ba, nawet spektakularny zamach na konkurencję – mamy tu wszystko, co możemy pamiętać z medialnych doniesień z czasów, gdy politycy tłumaczyli nam, że nie ma u nas przestępczości zorganizowanej, a prezydent Wałęsa ułaskawiał „Słowika”. I właśnie – w książce mamy pewne odniesienia polityczne, jak choćby ćpającego młodego i obiecującego polityka Platformy, członka rządu i bliskiego współpracownika premiera. W serialu to ostro zarysowane tło rozmywa się w niedopowiedzeniach. W książce mamy też więcej odniesień do polskiej muzyki punkowej i nowofalowej, dla Żulczyka dość ważnej. W serialu ocalała Siekiera, której tekst („Idziemy przez las”) pojawia się w specyficznej, spinającej wszystko kłamrą modlitwie bohatera, muzyka zaś

towarzyszy mu, gdy wpada już w spiralę samozniszczenia i przemocy. W książce jego narkotyczny upadek znaczą wzrokowe halucynacje, wzięte z piosenki Post Regimentu „Kolory” („Tylko zmieniają się kolory/Zielony, żółty i czerwony”), w serialu narkotyczna faza została z tego muzycznego odniesienia odarta. Muzyka gra jednak dobrze, jest ciekawie dobrana i pełni funkcję dodatkowej narracji, pogłębiającej klimat lub lekko ironicznej, lecz zawsze na miejscu. Skonieczny zajmuje się teledyskami, odgrywając główną rolę debiutant Kamil Nożyński to zaś warszawski raper z zespołu Dixon 37. Raperzy pojawiają się zresztą i w samej historii – reprezentuje ich Piorun, wiarygodnie grany przez reżysera, będący znakomitą, ironicznie ukazaną figurą, łączącą w sobie elementy biografii i stylu kilku ważnych polskich artystów tego nurtu.

► Miasto zagubionych

Co ważne, w serialu nie widać amatorskich oszczędności, produkcja i zdjęcia robią duże wrażenie i tylko na etapie dźwięku słychać przywiązanie do złej polskiej tradycji filmowej – dialogi nie zawsze są wystarczająco wyraźne. Aktorstwo poszczególnych członków obsady jest lepsze lub gorsze, lecz unika sztuczności czy przesady, praktycznie wszyscy wypadają tu autentycznie. Czy grający demonicznego Daria Jan Frycz, najczęściej chyba chwalony i naprawdę przerażający, czy występujący w dość typowych dla siebie rolach Robert Więckiewicz, Janusz Chabior, Eryk Lubos, a nawet Cezary Pazura. Tu jako podstarzały telewizyjny gwiazdor, uwielbiający kokainę i młode dziewczęta, w którym dopatrzeć się można podobieństwa do całkiem realnej postaci z medialnego świata. Pewne kontrowersje budzi gra Nożyńskiego, który wszystkie swoje kwestie wypowiada tym samym, pozbawionym przesadnych emocji głosem, co jednak moim zdaniem pasuje do granej przez niego postaci. Czy faktycznie zasługuje na krytykę, okaże się tak naprawdę dopiero wtedy, gdy przyjmie kolejne propozycje aktorskie, co jest już tylko kwestią czasu i zdolności negocjacyjnych jego agenta. Trudniej napisać coś więcej o rolach kobiecych. Przyjaciółka Jacusia Pazina (Marta Malikowska) czy jego była kochanka Paulina (Marzena Pokrzywińska) po prostu są takie, jakie powinny być, lecz w pamięć zapadły mi bardziej jako postaci literackie niż filmowe.

W tle bohaterom towarzyszy Warszawa we wszystkich odsłonach – w dzień, w noc, w apartamentach, norach i blokowiskach, filmowana

z uczuciem i estetycznie, głęboko. I zatopiona w brudnym deszczu w powtarzającej się brawurowej scenie, jakiej jeszcze chyba w polskiej produkcji nie widzieliśmy, będącej snem, marzeniem bohatera o apokalipsie, boskiej karze dla zagubionego miasta.

► Jak w „Pulp Fiction”

Sny i wizje to kolejny wymiar, inny plan czasowy i przestrzenny „Ślepnąc od światła”. Towarzyszymy Kubie w podróży po jego koszmarach i marzeniach, przy czym te drugie są w sposób nieuchronny pocztówkowe i banalne, za to pierwsze zrealizowane bardzo plastycznie i pomysłowo. Choć trochę wytraca się przez nie tempo akcji, to oglądamy naprawdę ciekawe, spektakularne filmowe obrazy. W książce gdy wchodzimy na poziom snów i wizji Jacusia, Zulczyk zbliża się do estetyki innego cenionego współczesnego pisarza, Łukasza Orbitowskiego. Jeśli jednak miałbym szukać porównań opisujących prozę Jakuba Zulczyka, bardzo często mam inne skojarzenie. To pierwsza scena „Pulp Fiction”, monolog przed napadem w restauracji. Gęsty, mocny, bez litości dla opisywanych postaci, ich wad i ich historii. Jeszcze mocniej czuć to w debiutanckiej książce pisarza „Zrób mi jakąś krzywdę... czyli wszystkie gry video są o miłości”, historii, która wpisując się w modny przez chwilę nurt postpunkowych literackich rozliczeń, jest jednak czymś innym, samodzielnym, pełnym barwnych i celnych obserwacji. Debiut bywał jeszcze przegadany, wpadał w transowy słowotok, jednak w „Ślepnąc od światła” jest tego dużo mniej, styl twórcy rozwinął się, zachowując to, co od początku było w nim najciekawsze. Po drodze było zresztą kilka innych książek. Postęp zrobił Krzysztof Skonieczny. „Hardkor disko” zebrał na ogół złe recenzje. Jednak i tu widać już pewne elementy, które w serialu stanowią o jego mocy.

Jeśli czegoś brakuje i w książce, i w serialu, to zdecydowanie nadziei. Wszyscy skończą tu źle, choć nie wiemy jeszcze jak bardzo. Narracji, zwłaszcza książkowej, towarzyszy przyniatające poczucie jakiejś koszarnej predestynacji, w serialu podkreślanej przez wizję i halucynacje Kuby. Możliwe jest jednak poświęcenie, przekazanie szansy komuś drugiemu. Zakończenia książki i serialu różnią się akcentami, dzięki czemu nadzieję można mieć przynajmniej na... kolejny sezon. A może telewizyjni producenci, osmieleni sukcesem, chętniej zaczną sięgać po niezłe czasem książki współczesnych polskich pisarzy? ■

Gramy Dla Ciebie!

#RDCznani



Janusz Olejniczak

Jerzy Kisielewski

"Co słysząc?"

Piątek 20:00

Posłuchaj nas:

101 FM WWW.RDC.PL/RDCPLAYER



Sprawdź nas:
facebook.com/radiordc

Zeskanuj kod QR



POLSKIE RADIO



Radio dla Ciebie

Maciej Kozuszek

Brexit, czyli kim jesteśmy

Problemu brexitu nie można sprowadzać tylko do kwestii negocjacji. Niezależnie od tego, na jakich warunkach dokona się ostateczny rozwód, wszyscy Brytyjczycy będą musieli zmierzyć się z o wiele większym wyzwaniem: życiem w radykalnie podzielonym społeczeństwie. Jak pozostać wspólnotą, jeśli poglądy na temat migracji czy narodowej tożsamości połowy społeczeństwa są nie do pogodzenia z przekonaniami drugiej połowy?



FOT. ANDY RAIN/PAPPEPA

Wielka Brytania jest w kropce i już teraz albo niedługo pożałuje swojego wyboru – to sąd, z którym zgodziłaby się większość komentatorów obserwujących dziś procedury brexitowe. Z umowy wynegocjowanej przez Theresę May właściwie nikt nie jest zadowolony, a politycy zarówno lewicy, jak prawicy uważają ją – choć z różnych względów – za fatalną. Obserwacja medialnych przekazów może przekonywać, że dla opisu decyzji o opuszczeniu UE przez Wielką Brytanię coraz lepiej pasuje słowo „wyrok”, a nie „wynik referendum”. Sama decyzja zaczyna być postrzegana jak wynik pijackich ekscesów, których człowiek żałuje zaraz po przebudzeniu, ale z konsekwencjami których i tak musi się zmierzyć.

Taką wizję pogłębia fakt, że cały proces, mimo że ma formalnego lidera w osobie Theresy May, to brakuje mu lidera wiarygodnego. Nigel Farage, szef partii UKIP, która Brexit niosła na sztandarach, ogłosił koniec swojej kariery politycznej dzień po głosowaniu. Z gabinetu May odeszło też kilku ministrów, z Borisem Johnsonem na czele, których stosunek do wyjścia był zdecydowanie pozytywny. A sama pani premier? Trudno nie mieć dla niej sporej dozy uznania, a przede wszystkim współczucia, bo stoi na czele gabinetu, który ma przed sobą jedno z największych wyzwań w powojennej historii Wielkiej Brytanii. Z drugiej strony trudno Theresę May zaliczyć do grona polityków, którzy wszystkich wokół zarażają entuzjazmem. I to pomimo inicjatywy speców od wizerunku, którzy wpadli na pomysł, by pani premier w kilku sytuacjach sobie potańczyła do dźwięków znanego przeboju „Dancing Queen”. Skończyło się na dość dziwnych mechanicznych płasach, setkach memów i złośliwych komentarzy w internecie. Optymizmu Brytyjczykom nie przybilo.

► Powtórne głosowanie i do domu?

Część publicystów i polityków uważa, że sprawa jest całkiem prosta. Brytyjczycy przekonali się, że brexit to nic dobrego, trzeba więc powtórzyć referendum, zagłosować za pozostaniem i wszystko pozostanie po staremu. Pokazały to zresztą wybory do parlamentu, bo Partia Konserwatywna, prowadzona przez May pod sztandarami brexitu, utraciła w nich większość.

To jest jednak dość podkolorowana wizja tych, którzy w większości zagłosowali za pozostaniem w UE już za pierwszym razem. Zakłada ona, że większość Brytyjczyków, która nie jest zadowolona z tego, jak mają się sprawy negocjacji prowadzonych przez rząd May, automatycznie stała się przeciwnikami wyjścia. Takiego poglądu nie potwierdzają jednak dane. Wyniki opublikowane przez portal whatukthinks.org, który skompilował ponad 70 badań prowadzonych od 2012 roku,

pokazują, że różnica pomiędzy zwolennikami wyjścia a sympatykami pozostania w 2018 roku utrzymuje się na tym samym poziomie co w roku referendum. Liczba entuzjastów brexitu utrzymuje się stabilnie na poziomie ponad 40 proc., przeciwnicy mają kilkupunktową przewagę, ale nie mamy tu do czynienia z widoczną tendencją, bo prowadzenie zmieniało się kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat. Co więcej, trzeba pamiętać, że wiele sondaży sprzed referendum także dawało kilkuprocentową przewagę zwolennikom opcji „remain” (czyli zostajemy).

Wynik powtórnego referendum jest więc niemożliwy do przewidzenia, co sprawia, że nie można go uczciwie sprzedać jako odpowiedzi na wyraźną zmianę w podejściu opinii publicznej. Jedynym uzasadnieniem powtórki byłaby więc zmiana wyniku na „prawidłowy”. Tylko że jaką wartość będzie miał odwrócony wynik, znowu rozstrzygnięty przewagą dwóch czy trzech procent? I jak przekonać tych, którzy będą przegrany w rewanżu, że tym razem to im nie przysługuje prawo do powtórki?

Poza tym kwestionowanie zbliżonych do siebie wyników referendum ukazuje daleko posuniętą hipokryzję w ramach całej UE. W przeszłości, na przykład we francuskim referendum ratyfikującym traktat z Maastricht, zdarzały się bardzo bliskie wyniki, których nikt nie kwestionował. Powtórzono też holenderskie referendum, w którym wynik był nie taki jak trzeba. Nie mówiąc już o sytuacjach, w których odrzucono traktat konstytucyjny i referenda powtarzano albo przepychano pomysły eurokratów bocznymi drzwiami.

► Ślepotą elit

Prawda jest taka, że przedstawianie wyniku referendum w kategoriach wypadku przy pracy pokazuje, iż nie nauczyło niczego brytyjskich i europejskich prounijnych elit. Podobnie jak przed głosowaniem, zwolennicy opcji „remain” wykazują wyjątkowe niezrozumienie tego, jak myślą ludzie, którzy zagłosowali za opuszczeniem UE. W praktyce konieczność zadania pytania: „kim są ci ludzie?”, pojawiła się dopiero wtedy, gdy wynik głosowania okazał się niezgodny z tym, co jako oczywiste traktowały wszystkie osoby, z którymi warto się liczyć.

Amerykańscy publicyści nazwali to zjawisko syndromem Pauline Kael. Kael była felietonistką „New Yorkera”, w 1972 roku pisząc o zdecydowanej wygranej Richarda Nixona w wyborach, stwierdzała: „Żyję w dosyć specjalnym świecie. Znam tylko jedną osobę, która głosowała na Nixona. Nie wiem, gdzie oni są. Ale czasem gdy jestem w teatrze, czuję ich obecność”. Choć brytyjskie elity wykazywały trudność ze zrozumieniem tych, którzy zagłosowali za brexitem, to nigdy nie mia-

ły problemu, by dać wszystkim jasno do zrozumienia, jak wielką tragedią jest dla nich wynik referendum.

Irene Skovgaard-Smith, wykładowca Anglia Ruskin University, po tym jak zakończyło się głosowanie w sprawie brexitu, zebrała wrażenia wśród swoich kolegów akademików. „Pamiętam to bardzo wyraźnie, poranek kiedy ostateczny wynik głosów został policzony” – mówi profesor biologii pochodzący z Hiszpanii. „Nagle świat się zmienił. Może nie dostrzegasz tego przez cały czas, ale to gdzieś tam jest... po Brexicie jesteś bardziej świadomy swojej obcości”.

Włoska profesor ekonomii zaznacza, że na szczęście życie nie zmieniło się tak bardzo na samym uniwersytecie: „Tu istnieje międzynarodowe środowisko, gdzie normalne jest to, że masz ludzi różnych narodowości. Jesteś szanowany za rolę, którą pełnisz, a nie za to jakiej jesteś narodowości”. Jak dodaje, nie może się pogodzić z naciskiem na wartości patriotyczne, które do debaty publicznej wprowadziła kampania „Vote Leave” (ang. głosuj za odejściem), szczególnie z tą ideą, „że musisz być przywiązany do miejsca, gdzie się urodziłeś”. Najbardziej wymowne są jednak refleksje samej autorki. „To, co czułam dzień po Brexicie, to było uczucie utraty.

czy nie, było stwierdzenie, czy zwiększa ona komfort i swobodę w podążaniu za różnymi ścieżkami kariery dla włoskich profesorów ekonomii i hiszpańskich profesorów biologii.

Jeśli członkowie elity po referendum poczuli się wyobcowani, jakby zabrano im kraj, który znali, to tylko poczuli to, co większość brytyjskiego społeczeństwa odczuwała już od dłuższego czasu. W sondażu przeprowadzonym przez firmę YouGov na długo przed brexitem, w 2011 roku, zapytano badanych, czy zgadzają się z następującym twierdzeniem: „W ostatnim czasie Wielka Brytania zmieniła się nie do poznania. Czasami ma się poczucie, że to obcy kraj, a ja nie czuję się z tym dobrze”. Aż 62 proc. respondentów zgodziło się z tym twierdzeniem, 30 proc. było przeciwnego zdania.

► Być blisko domu

Słuchając wciąż opowieści o globalizacji i nomadach przemierzających stępy płynnej ponowoczesności, łatwo nie dostrzec, że „życie życiem, które przekracza narodowe granice” dotyczy ciągle mniejszości. Wbrew temu, co głoszą prorocy globalizacji, bardzo du-

JEŚLI CZŁONKOWIE ELITY PO REFERENDUM POCZULI SIĘ WYOBCEWANI, JAKBY ZABRANO IM KRAJ, KTÓRY ZNALI, TO TYLKO POCZULI TO, CO WIĘKSZOŚĆ BRYTYJSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA ODCZUWAŁA JUŻ OD DŁUŻSZEGO CZASU.

Swoboda przekraczania granic i prawa z nią związane w sposób fundamentalny zmieniła moje życie. Dzięki temu miałam możliwość uczyć się, rozwijać karierę, założyć rodzinę, żyjąc w kilku europejskich krajach. Mój brytyjski mąż także stracił prawa obywatela UE. Dla nas oznacza to tyle, co żyć życiem, które przekracza narodowe granice”.

Trudno mieć pretensje do autorki i jej znajomych akademików, że czują się, jakby coś im odebrano. W końcu, jak sami to przyznają, świat bez granic i narodowych tożsamości jest w ich interesie, nie mówiąc już o wszystkich rozwiązaniach wprowadzonych przez Unię Europejską – od programu Erasmus po system boloński – których podstawowym celem jest jak największe ułatwienie studentom i pracownikom uniwersytetów szukania wykształcenia i pracy poza granicami własnego kraju. To, co jednak uderza, to kompletny brak zdolności (albo chęci) wyjścia poza własne partykularne doświadczenie, tak jakby uniwersalnym miernikiem tego, czy jakaś polityczna zmiana jest słuszna

za część społeczeństwa żyje nadal w sposób zakorzeniony, ceniąc sobie życie blisko ludzi, z którymi odczuwa się głęboką identyfikację i w miejscu, które zna się od dawna. Aż 60 proc. Brytyjczyków mieszka najwyżej 35 kilometrów od miejsca, w którym żyli w momencie, gdy mieli 14 lat. Okazuje się też, że motywacje tych, którzy zdecydowali się zamieszkać w okolicach domu rodzinnego, są jak najbardziej tradycyjne. Na przykład w grupie wiekowej 18–24 zdecydowanie najważniejszą motywacją była chęć bycia blisko rodziny (48 proc.), w grupie 25–34 lat podobnie odpowiedziało aż 58 proc. Dla porównania „rozwój kariery” jako motywację wymieniło 13 proc. ludzi w przedziale wiekowym 18–24, a 16 proc. w przedziale 25–34 i tylko 8 proc. w grupie 35–44 lata.

Dziennikarz i intelektualista David Goodhart w swojej książce „The Road to Somewhere” opisuje brytyjskie społeczeństwo jako podzielone na dwie zasadnicze grupy. Jedną z nich nazywa „ludźmi skądś” (Somewheres), a drugą „ludźmi skądkolwiek” (Anywhe-

res). Podział zaproponowany przez Goodharta jest trafny, bo podkreśla kluczowe znaczenie stosunku do konkretnego miejsca w życiu obydwu grup. Dla „ludzi skądś” miejsce i wspólnota, w którym często spędzają całe życie, są kluczowe w określaniu tożsamości i są przedmiotem dumy. Dlatego wszystkie procesy, które prowadzą do szybkich i radykalnych zmian w znajomym otoczeniu – napływ migrantów, wzrost bezrobocia czy przestępczości – przyjmowane są z niechęcią i niepokojem. Z kolei „ludzie skądkolwiek” poczucie własnej wartości i tożsamości czerpią z „kariery”, która zwykle jest tożsama z częstą zmianą miejsca zamieszkania. Takie podejście w lakoniczny sposób streszcza reklama British Council obecna na polskich ulicach, zachęcająca do nauki angielskiego hasłem: „Be where you want to be” (bądź tam, gdzie chcesz być) – mobilność i możliwość oddzielenia się od rodzimej wspólnoty i dowolnego wyboru miejsca do życia utożsamione

oni zwykle się znajdują” – pisze Roger Scruton w swojej książce o brexicie „Where We Are”. „Ale dla wielu zwykłych wyborców, których sieci powiązań są tym samym co ich sąsiedztwa, kwestia, kto nami rządzi i skąd, ma realny i istotny wymiar. Dla takich ludzi stawką było coś, czego regularnie nie dostrzegali politycy, a było ważniejsze niż wszystkie geopolityczne i ekonomiczne argumenty, tym czymś było pytanie o tożsamość: kim jesteśmy, gdzie jesteśmy i co trzyma nas razem jako wspólnotę polityczną?”.

Tym podziałom warto się przyjrzeć, bo nie dotyczą one tylko brytyjskiego społeczeństwa. W wielu zachodnich krajach entuzjastami swobodnej migracji i europejskiej integracji są przede wszystkim wykształcone elity, które nieprzypadkowo są też największymi beneficjentami obydwu procesów. Weźmy choćby dane z badania European Social Survey (ESS) z 2014 roku. W grupie ludzi z dyplomem uni-

WYNIKI OPUBLIKOWANE PRZEZ PORTAL WHATUKTHINKS.ORG, KTÓRY SKOMPILOWAŁ PONAD 70 BADAŃ PROWADZONYCH OD 2012 R., POKAZUJĄ, ŻE RÓŻNICA MIĘDZY ZWOLENNIKAMI BREXITU A SYMPATYKAMI POZOSTANIA W 2018 R. UTRZYMUJE SIĘ NA TYM SAMYM POZIOMIE CO W ROKU REFERENDUM.

są tu z edukacją, przynależnością do elity i życiowym sukcesem.

To przekłada się też na wyznawaną przez nich ideologię, którą Goodhart nazywa „progresywnym indywidualizmem”: „nadaje ona wysoką wartość autonomii, mobilności i innowacyjności, a dużo mniejszą grupowej tożsamości, tradycji, narodowym i społecznym umowom (wierze, fladze i rodzinie). Większość „ludzi skądkolwiek” ma pozytywny stosunek do imigracji, integracji europejskiej i rozpowszechniania praw człowieka, a wszystkie te zjawiska przyczyniają się do rozciągania zakresu praw związanych z byciem członkiem danego narodu”.

Największym błędem ze strony elit było uznanie, że wystarczającym argumentem za pozostaniem w UE będzie udzielenie głosu wystarczającej ilości ekspertów, którzy jednoznacznie dadzą do zrozumienia, że brexit będzie ekonomiczną katastrofą. „Eksperci mogli mieć w dużej części rację, ale sprawiali wrażenie ludzi, którzy mogą się osiedlić gdziekolwiek i ciągle kontrolować sytuację. Dla takich ludzi bycie rządzonym przez władzę, która znajduje się gdzie indziej, nie jest trudne do zaakceptowania. »Gdzie indziej« to miejsce, w którym

wersyteckim, w wieku do 45 lat, wpływ imigracji generalnie pozytywnie postrzega 74 proc. Brytyjczyków, 78 proc. Francuzów, 79 proc. Holendrów i 80 proc. Niemców. Wśród tych, którzy mają za sobą tylko podstawową edukację i mają więcej niż 65 lat, imigrację pozytywnie postrzega tylko 25 proc. Brytyjczyków, 22 proc. Francuzów, 43 proc. Holendrów i 39 proc. Niemców. Tak samo zauważalna jest różnica w odpowiedzi na pytanie, czy dany kraj powinien przyjmować migrantów z biedniejszych krajów poza Europą. We Francji i Wielkiej Brytanii różnica między wykształconymi młodymi osobami a starszymi z gorszym wykształceniem wynosi około 50 pkt proc., w Szwecji i Niemczech około 25 proc.

Dla niektórych odpowiedź jest prosta: należy słuchać elit, które są wykształcone i światłe. Według tej logiki od zawsze działała Unia Europejska. Ale pozbawienie ogromnej części społeczeństwa realnej politycznej reprezentacji powoduje destabilizację demokratycznych systemów. Brexit tego problemu nie rozwiąże, ale udawanie, że po wyjściu Wielkiej Brytanii z UE można powrócić do „business as usual”, może być fatalne w skutkach. ■



Ryszard Czarnecki

Pocztówka z Pekinu

Dwie przecznice od mojego hotelu w stolicy Państwa Środka salon samochodowy ulubionego auta Jamesa Bonda – Astona Martina. Zresztą filmowy Bond nie walczy z Chińczykami – nawet korzysta z ich pomocy, tropiąc agenta Korei Północnej (też przecież komunistycznej) aż na Kubie. Producenci filmu o agencie Jej Królewskiej Mości są pragmatyczni – najlichniesze państwo świata to zbyt wielki rynek zbyt, żeby sytuować rodaków Mao Tse-tunga (tak pisano za czasów mojej młodości, teraz pisze się: Mao Zedonga...) jako wrogów wolnego świata. Zresztą wobec Rosji też złagodzone kurs: owszem, są źli Rosjanie, „twardogłowi”, ale są też dobrzy, którzy chcą uchronić świat od wojny. Niczym NRD-owcy versus brzydka NRF.

Obok salonu Astona Martina bogaty Chińczyk może też nabyć najnowszy model Maserati lub banalnego Ferrari. Pekin pyszni się swoim bogactwem, tak jak Moskwa. Tyle że jeszcze bardziej. Jeżeli bogaty obywatel ChRL ma umuzykalnione dziecko i chce inwestować w jego karierę, to prosi bardzo, firmowy sklep Steinwaya tylko czeka. Dla żony owego Chińczyka natomiast podwoje otworzył Tiffany i tuż obok Cartier. Są też ekskluzywne butik Louis Vuitton czy Chanel i Dior. Co prawda mieszkańcy Pekinu ponoć nie noszą markowych ciuchów tylko własne wyroby, ale jeśli nawet tylko kilka procent z 22 mln pekińczyków (dane sprzed... trzech lat) snobuje się na zachodnią modłę, to te sklepy będą mieć obroty do końca świata i jeden dzień dłużej.

Konfucjusz, filozof, który nie jest już wyklęty, nauczał w czasach, kiedy nie było Twittera i Facebooka. Można ironicznie rzec, że od przełomu VI i V wieku p.n.e. nic się nie zmieniło, bo będąc tu przez pięć dni, nie byłem w stanie zalogować się ani na jednym, ani na drugim.

Chiny się westernizują, choć przede wszystkim co do formy, a nie treści. Zauważyłem ciekawą prawidłowość – na oficjalnych lunchach czy kolacjach nasza delegacja demonstracyjnie w czasie jedzenia posługuje się pałeczkami, aby w ten sposób wyrazić szacunek gospodarzom, a nasi gospodarze... nożem i widelcem. Czy po to, aby pokazać, że przynajmniej przy posiłkach wiele nas różni?

W Pekinie pod jednym względem mam jak w raju, na każdym spotkaniu bez pytania podają różne gatunki

herbat i również bez pytania uzupełniają filiżanki, skądinąd dolewając... gorącą wodę. Dla kogoś takiego jak ja, dla którego picie herbaty jest i rodzinną tradycją, i czymś oczywistym (dziadek Henryk Karol pił tylko herbatę, ojciec Henryk też tylko herbatę, ja również i moi dorośli synowie także), to rzecz miła. Gorzej mają kawosze: kawę podano raptem na jednym spotkaniu, w... wydziale zagranicznym Komunistycznej Partii Chin (sic!). Gdy jeden z członków delegacji po obiedzie w dobrej restaura-

W PEKINIE POD JEDNYM WZGLĘDEM MAM
JAK W RAJU, NA KAŻDYM SPOTKANIU BEZ
PYTANIA PODAJĄ RÓŻNE GATUNKI HERBAT
I RÓWNIEŻ BEZ PYTANIA UZUPEŁNIAJĄ
FILIŻANKI.

cji zamówił kawę, to przyniesiono mu ją ze... znajdującego się w pobliżu Starbucks!

A wracając do wizyty w siedzibie Partii Komunistycznej: po raz pierwszy w życiu (ostatni?) zobaczyłem swoje nazwisko (skądinąd pisane po jednej stronie w alfabecie chińskim, a po drugiej w alfabecie łacińskim) w towarzystwie... sierpa i młota. Gwarantuje to specjalny plastikowy przyrząd z owymi symbolami komunizmu, gdzie tylko zmienia się karteczki z imieniem i nazwiskiem. Otrzymałem też – do ewentualnych notatek – arkusze papieru z takimi właśnie symbolami. W kolorze złotym, czyli prawidłowo (w Indiach w stanie Kerali rządzonym do niedawna przez komunistów widziałem flagi z czerwonym sierpem i młotem na białym tle).

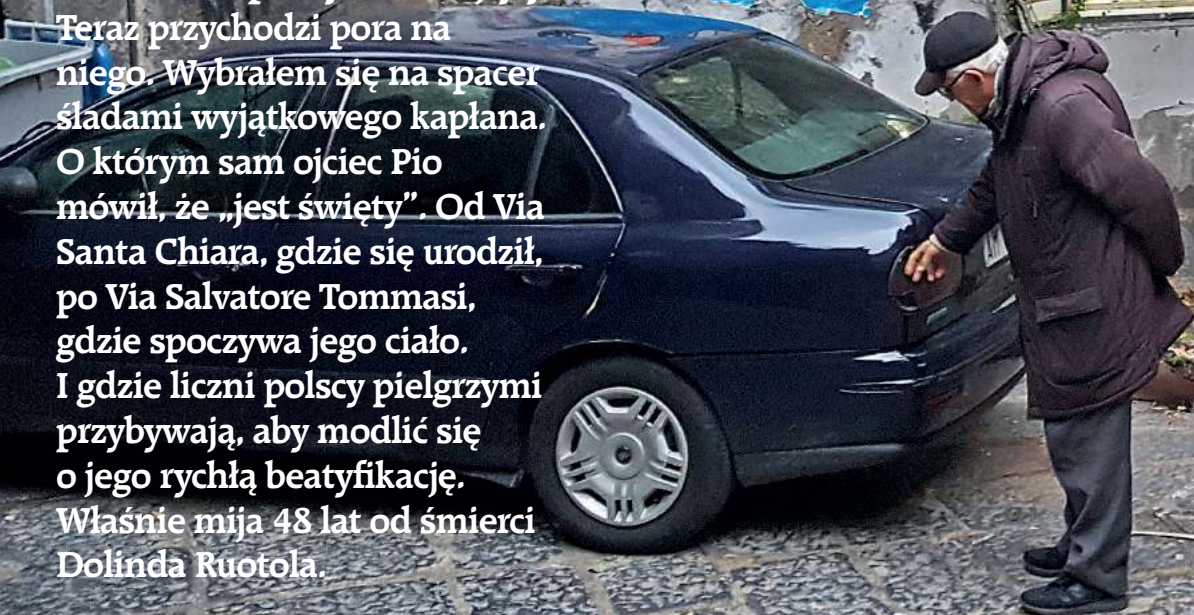
W Europie człowiekiem rządzi telefon komórkowy. W Chinach nasi gospodarze zadbali o to, aby tak nie było: na najważniejszych spotkaniach w budynku MSZ czy w siedzibie partii rządzącej nasze telefony nagle straciły zasięg, aby natychmiast go odzyskać po zakończeniu rozmów.



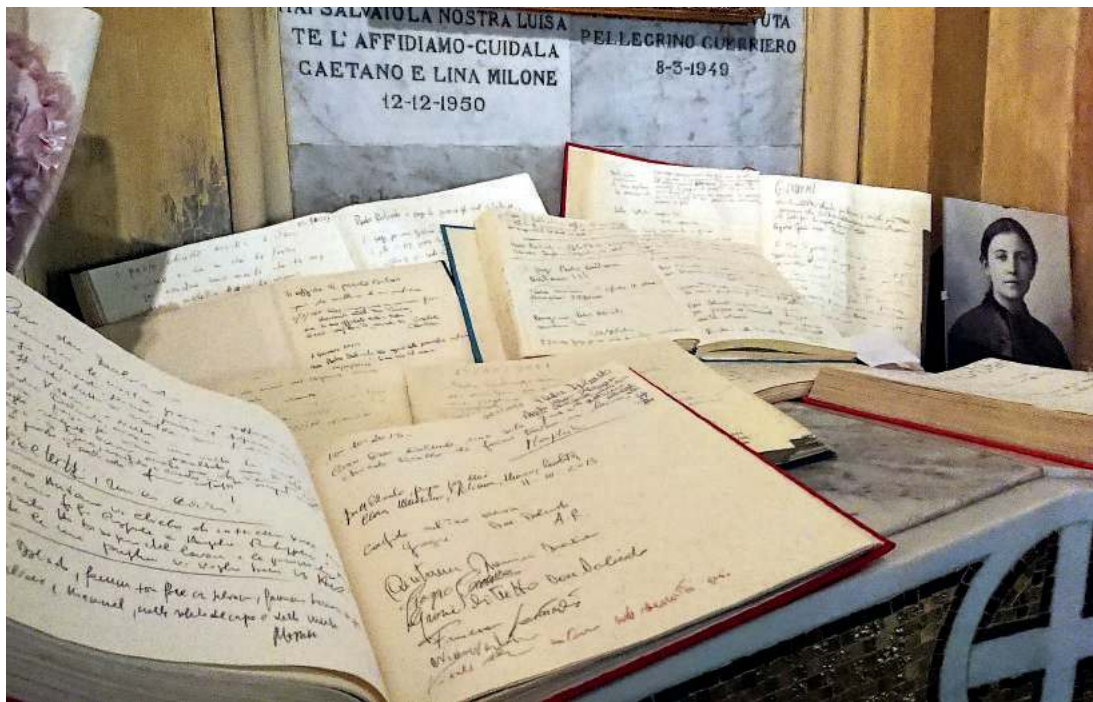
Stefan Czerniecki
czerniecki.net

„Polacy! Dziękujemy, że jesteście”

Przewidział pontyfikat Wojtyły. Teraz przychodzi pora na niego. Wybrałem się na spacer śladami wyjątkowego kapłana. O którym sam ojciec Pio mówił, że „jest święty”. Od Via Santa Chiara, gdzie się urodził, po Via Salvatore Tommasi, gdzie spoczywa jego ciało. I gdzie liczni polscy pielgrzymi przybywają, aby modlić się o jego rychłą beatyfikację. Właśnie mija 48 lat od śmierci Dolinda Ruotola.







Przy grobie Dolindo leżą pamiątkowe księgi, w które wpisują się pielgrzymi. W znacznej mierze w języku polskim.

19 listopada 2018 roku. Neapol. Po ciepłym weekendzie znów miła aura. Idealna dla przybyszów z Polski. Piszę o nich nie bez powodu. To ich bowiem jest dziś tutaj wyjątkowo wielu. Nie bez powodu. Od dnia, kiedy książka Joanny Bątkiewicz-Brozek „Jezu, Ty się tym zajmij” stała się bestsellerem na naszym rynku wydawniczym, Polaków w mieście pod Wezuwiuszem z miesiąca na miesiąc jest coraz więcej. Do tego stopnia, że proboszcz kościółka pod wezwaniem Matki Bożej z Lourdes i św. Józefa wywiesił na drzwiach świątyni specjalną kartkę – po polsku – z informacją o godzinach jej otwarcia. Dziś jednak jest nie byle jaki dzień...

► Chusteczka i santo subito

„Dziękujemy wam, że tu przybywacie” – pamiętam, jak tymi słowami proboszcz kościoła, niejaki don Pasquale, podczas ogłoszeń duszpasterskich dziękował nam, niewielkiej grupce Polaków, za tak liczne przybycie do tego mało znanego na turystycznej mapie Neapolu kościoła. Za to, że chciało nam się tutaj przyjechać i pomodlić przy grobie stojącym w prawej nawie świątyni. „Taka liczba Polaków to dla nas prawdziwe świadectwo. I chcę, abyście o tym wiedzieli. Inspirujcie nas. Pomagacie nam.

Dzięki wam możemy się stale nawracać. Dziękujemy” – zakończył.

Dzisiaj don Pasquale ponownie jest przy ołtarzu. Odprawia poranną mszę świętą. To wyjątkowa okazja. Zwykle w poniedziałki w kościele przy Salvatore Tommasi nie sprawuje się Eucharystii. W dni powszednie jest tylko jedna, po południu. A mamy w tej chwili godzinę dziewiątą rano. To początek obchodów rocznicy śmierci wyjątkowego kapłana. – Kto wie? Może to coś zmieni? – starsza pani wyciąga z plecaczka niewielką szarfę z napisem „Santo subito”. To jej cichy manifest. Pielgrzymi przybywający na 19 listopada do Neapolu zwolniali się w Internecie na różne sposoby, aby także w ten sposób przygotować się na wyjątkowe obchody. Aby wreszcie coś się ruszyło. Aby zastygły w miejscu proces beatyfikacyjny neapolitańskiego sługi bożego ruszył z miejsca.

Większość pielgrzymów czeka pod kościołem już od godziny ósmej. Mają świadomość, że dziś może być ich tu wielu. Chcą być jak najbliżej ołtarza i grobu. Gdy drzwi świątyni wreszcie zostają otwarte, ludzie wchodzą do środka. Wszyscy od razu kierują się w prawo. Do niewielkiej płyty umocowanej w bocznej ścianie kościoła. Przyklękają. Część otwartymi dłońmi dotyka



„Kiedy tu przyjdiesz, zapukaj, nawet zza grobu odpowiem Ci: ufaj Bogu!”.

zimnej płyty. Ktoś przykładą czoło. Zamyka oczy. Szepcze.

Jedna z pań puka w płytę. Trzy razy. Powoli. Czynność tę powtarzają inni. Puk-puk-puk... Niczym pukanie do kamiennych drzwi. Odchodzą. Odsłaniając jednocześnie niewielką złotą tabliczkę z wygrawerowanymi na niej czarnymi literami. „Quando verrai alla mia tomba tu bussarai. Anche dalla tomba io ti risponderò: confida in Dio!”. Stojący w grupie przewodnik grupy wyjaśnia szeptem znaczenie słów: „Kiedy tu przyjdiesz, zapukaj, nawet zza grobu odpowiem Ci: Ufaj Bogu!”. Kolejni pielgrzymi powtarzają rytuał. Też chcą usłyszeć to zapewnienie: „Ufaj Bogu”. Wypowiadane zza grobu przez księdza Dolinda Ruotola. To dla niego tu przyjechali. Dziś rocznica jego śmierci.

► Niezwykły pomimo cierpienia

Na drzwiach wejściowych do kościoła z obu stron wiszą czarno-białe plakaty przedstawiające jego sylwetkę. To jedna z najbardziej popularnych fotografii księdza Dolinda, jakie zachowały się do dziś. Widzimy na niej pocziwego, mocno przygarbionego staruszka o siwych włosach. Pod wyjątkowo gęstymi, również białymi brwiami małeńkie

oczy. Otoczone czarnymi oprawkami cienkich okularów. Wzrok jest skierowany prosto na nas. Duży nos, zamknięte usta. Głowa mocno pochylona do przodu. Ksiądz Dolindo opiera prawą dłoń na drewnianej lasce. Dzierżąc w tej samej ręce różaniec. Na górze plakatu złoty napis „Padre Dolindo”. Na dole „Santo Subito 19-11-1970”. Ludziom, którzy dziś tutaj przybyli, nie trzeba już nic więcej tłumaczyć. – Przeczytałem książkę w okamgnieniu. I widziałem, że prędzej czy później muszę tu przyjechać – ożywia się Paweł, wiecznie uśmiechnięty bankowiec z Warszawy. – Gdy czytasz biografię tego człowieka, zaczynasz się zastanawiać, ilu świętych miało tak trudne życie jak on. I to praktycznie od samego dzieciństwa. Niezwykła postać. Doprawdy niezwykła.

Tę niezwykłość widać na wspomnianej fotografii. Stary, dobry człowiek. Pogodny pomimo doświadczanego bólu i cierpienia. Ufny pomimo tylu ciosów. We własnej ocenie prosty, choć spod jego pióra wyszły pisma, o których sam św. ojciec Pio mówił, że „żadne z nich nie może zostać zaprzepaszczone”. Pokorny, cichy i wiecznie z różańcem. Poznajcie ojca Dolinda Ruotola. Dziś obok św. ojca Pio chyba najbardziej znanego włoskiego kapłana w Polsce.

► Dom przy Via Santa Chiara

Przy Via Benedetto Croce nigdy nie jest cicho i pusto. Podobnie teraz. Ktoś zagląda do „warzywniaka”. Zakochana para zatrzymuje się przy babulęce sprzedającej drewnianych Pinokioów. Na poboczu dalej rozmawia trzech dorosłych Włochów... Ja tymczasem tuż przed dzwonnica klasztoru św. Klary odbijam w lewo. Jeszcze chwila przepychania się między spacerowiczami. Dwa-trzy metry, przeskok na boczny krawężnik i już. Jestem. Na poprzecznej uliczce już znacznie spokojniej. To Via Santa Chiara. Jeszcze dwie minuty drogi i powinienem być na miejscu.

Pod numerem 24 widać zaryglowane drzwi i domofon. To ten dom. Tutaj urodził się Dolindo Ruotolo. Jego imię w neapolitańskim dialekcie miało oznaczać „cierpienie”. Ojciec dobrze wiedział, co robi, gdy nadawał je kolejnemu synowi. Napisać o tym, że nie „darzył go sympatią”, to nic nie napisać. Ojciec był niezłe zarabiającym matematykiem. Zarazem jednak prawdziwym tyranem. Poza Dolindem miał ze swoją żoną Silvią jeszcze dziesięcioro dzieci. Najpewniej gdyby nie nadludzkie starania i wysiłki kobiety wszystkie by pomarły. Raffaele nie przynosił do domu za wiele gotówki. Dzieci przymierały głodem. Młodzieńki Dolindo niejednokrotnie wspominał później swoje codzienne spacerki w okolicy domu w poszukiwaniu ziół, aby zrobić sobie z nich sałatkę. Gdy rozwścieczony ojciec wracał do domu, dzieci w popłochu chowały się, gdzie kto tylko mógł. We wspomnianej książce Joanna Bątkiewicz-Brożek pisze o niewielkiej szafeczce, którą jako kryjówkę wybierał kilkuletni Dolinda. Był tak drobniuśki, że z powodzeniem mieścił się cały w jej środku. Czekając, aż gniew ojca minie. Jeśli ten go dorwał, bił łodygami kopru. Za co? Powód zawsze się znalazł. Niestarannie odrobione lekcje, słaba ocena w szkole...

To fakt. Dolindo słabo się uczył. Ojciec przez wiele lat zakazywał mu uczęszczania do szkoły. Jednak przyszły ksiądz pragnął wiedzy. Wiedział, że bez niej nie nauczy się czytać Biblii. Że bez wiedzy ciężiej mu będzie chłonać wielkie dzieła ojców pustyni oraz innych świętych Kościoła. W Ruotolu od maleńkości bowiem przejawiały się wybitne charyzmaty. Jednym z nich było poczucie smaku Eucharystii. Gdy czekał na powracającą z porannej mszy mamę, twierdził, że czuje jeszcze w jej ustach smak spożytego Ciała Pańskiego. Tak bardzo czekał na dzień, aż i jemu będzie dany ten przywilej. Wtedy jeszcze nie spodziewał się, do jak ważnej misji przygotowuje go dobry Bóg.

► Sąsiad o sztucznym uśmiechu

Za domem narodzin ojca Dolinda skręcam w lewo. Urzekająca cichość. Wiszące nad głową pranie. Kolejny neapolitański zaułek. Kolorowy garbus stojący pod odrapaną kamienicą. Nagle zza pobliskich skrzypiących drzwi wychodzi dziwna postać. Klaun. Mężczyzna ma jeszcze na nosie niezdetną czerwoną kulkę. Policzki przypudrowane na białło. Na głowie niebieski melonik. Ale przyklejonego zwykle na twarzy klauna uśmiechu tym razem nie dostrzegam. Pan ma po prostu chwilową przerwę w występie ulicznego teatru.

– Co robisz? – wypala bezpośrednio, widząc, jak czaje się do zrobienia zdjęcia wspomnianemu garbusowi.

– Jak to co? Zdjęcie – odpowiadam zupełnie naturalnie.

– To tutaj tak ładnie?

– Żebyś wiedział! Uroczy zaułek.

– Skąd przyjechałeś? – dopytuje, prawdopodobnie słysząc niewłoski akcent.

– Z Polski.

– Przyjechałeś z Polski, żeby zrobić zdjęcie mojego zaułka? – nie dowierza.

– Nie do końca. Przyjechałem zobaczyć dom rodzinny Dolinda.

– Dolinda? A kto to taki jest?

– Raczej był – odpowiadam z uśmiechem. – Twój niegdysiejszy sąsiad. Mieszkał o tam.

– Mieszkam tu od urodzenia i nigdy nie słyszałem o żadnym Dolindu.

– Być może dlatego, że mieszkał tu bardzo krótko. Maltretowany przez ojca, uciekł wraz z matką, gdy był jeszcze dzieckiem. Zaszyli się w innej części miasta. Umarł w opinii świętości. U nas w kraju wszyscy już wiedzą o Dolindu. A ty nie wiesz, że mieszkasz obok jego domu?

– No popatrz... – klaun znów poważnie. Po chwili jednak jakby ożywa. Chyba wpadł na jakiś pomysł. – Ale skoro tu przyjeżdżasz, to raczej nie jesteś sam. Pewnie z grupą, co?

– Tak. Jestem pilotem grupy pielgrzymkowej. Skąd to pytanie?

– Może chciałbyś, abym zrobił wam przedstawienie uliczne? Wszystko zorganizuję! Zobaczysz. Będą zachwyceni!

– Wiesz... – wdycham, przeglądając na aparacie, jak wyszło zrobione przed chwilą zdjęcie. – Ci ludzie przyjechali tu w innym celu. Myślę, że ciężko będzie mi ich przekonać.

– Mówisz... – zawieszam się ponownie.

– Ale nie mówię „nie”. Może kiedyś będę miał grupę, która zapagnie takiej atrakcji. Daj mi jakiś kontakt do siebie.



Neapolitański kościół pw. Matki Bożej z Lourdes i św. Józefa.

– O, super! Dzięki – uśmiecha się, wyjmując kolejny papierosa. – A ja poszukam czegoś o tym Dolin...

– Dolindu. O Dolindu Ruotolu.

Takich jak ten pan w Neapolu jest znakomita większość. O słynnym dziś w Polsce kapłanie we Włoszech wiedzą tylko nieliczni. I dziwią się, że od dwóch lat do ich miasta przybywa coraz więcej naszych rodaków. Polski fenomen pod Wezuwiuszem.

► Dar wiedzy

Polacy chcą oddać hołd niezwykłemu kapłanowi. Człowiekowi, który gdy wstąpił do seminarium, otrzymał w cudowny, nadprzyrodzony sposób dar poznania wiedzy.

Jest 15 czerwca 1896 roku. W kaplicy Scuola Apostolica 13 młodych neapolitańczyków odmawia różaniec. Dolindo klęczy w jednej z ławek. Wpatruje się w obrazek z Matką Bożą. Świadom swoich ubyków w wiedzy i słabej pojętności, modli się żarliwie do Madonny, aby ta przysłała mu z pomocą. Modli się o dar rozumu i inteligencji. Po chwili ukołysany ciągnącą się modlitwą różańcową zapada w płytki sen. Po kilku minutach wiatr z impetem otwiera okno od kaplicy. Obrazek, przed którym modlił się młody Dolindo, unosi się, by po chwili przykleić

mu się do czoła, budząc jednocześnie młodego klero. Ruotolo wie, że coś się zmieniło. Jak sam napisał potem w swoich notatkach: „poczuł się oświecony”. I faktycznie. Od tego momentu Dolindo będzie jakby inny. Zacznie czytać i chłonać wiedzę. Nabierze odwagi, by zabierać głos w otwartych dyskusjach na zajęciach z teologii. Zacznie komponować utwory muzyczne i grać na organach. Ponadto rozpocznie się w jego życiu wielki okres pisania wiekopomnych kazań, poruszających konferencji, rozważań czy finalnie książki, o którą... poprosi go zresztą sama Maryja.

Ciekawostką może być fakt, że cud poznania wiedzy będzie dotyczył wyłącznie tych przedmiotów, których młody Dolindo może potrzebować do posługi klerycznej, a następnie kapłańskiej. Z takimi przedmiotami jak matematyka, geografia czy fizyka nadal będzie miał nieprawdopodobne trudności. Tym się już jednak nie będzie przejmował.

► Koncert bez ani jednego lira

Na zielonej murawie kilkunastu mężczyzn żywo kopie piłkę. Jest już po siedemnastej. W Neapolu nadal widno. Piłka co rusz obija płot odgradzający boisko od stojącej obok świątyni. To kościół Santa Madonna Dell'Arco. Kolejne miejsce ważne w posłudze księdza Dolinda.

Swego czasu proboszcz tutejszej parafii, szykując się do wizytacji biskupa, poszukiwał organisty, który uświetniłby uroczystość. I nie miał w zasadzie funduszy. Poprosił więc znanego mu młodego księdza Dolinda, o którym wiedział, że gra na organach, o pomoc. Ten miał dobre serce i bez wahania się zgodził. „Jedno zastrzeżenie, Dolindo – pogroził palcem proboszcz. – Nie zwoluj mi tu żadnego tenora. Musimy sobie poradzić sami. Nie mam pieniędzy. Zaśpiewasz więc ty”. Dolindo grać umiał świetnie. Gorzej ze śpiewem. Początkowo wpadł w panikę. Jak on to zrobi? W dodatku przed samym biskupem? Z czasem jednak panika ustępowała ufności w Bożą Opatrzność. „Jezu, Ty się tym zajmij” – szepnęła, gdy zasiadał do organów, a na dole w kościele gromadziło się już coraz więcej ludzi na sumę z udziałem biskupa. To była chyba najpiękniej uświęcona śpiewem msza w historii kościoła Santa Madonna Dell'Arco. Nigdy potem nie słyszano już tutaj tak wspaniałego głosu. Ludzie szukali wzrokiem tenora, którego śpiew niósł się gdzieś z góry, z chóru, ale nikt nie mógł go wypatrzyć. Wszyscy byli pod wrażeniem. Poza nerwowo zerkającym na chór księdzem proboszczem. Liczył w głowie, ile gdzie musiał zapłacić owemu tenorowi nieprzeciętnej klasy. Zastanawiając się, jak mu się z tego



Neapolitańska rzeczywistość codzienności.

wszystkiego wytłumaczy młody Dolindo. Po pożegnaniu biskupa w te pędy pognął więc na chór.

– Kogoś ty tu sprowadził? Chcesz mnie zrujnować? Jak ja się teraz wyplacę? – krzyczał jeszcze ze schodów.

– Ależ księżu dobrodzieju, o czym ksiądz mówi? – zareagował jak zwykle ze swym charakterystycznym spokojem w głosie Dolindo. – Nie musi ksiądz nikomu płacić. Zaprosiłem tu wyjątkową osobę. Ale za swój głos obiecała nie brać ani lira.

– Co ty mi tu wygadujesz, Dolindo?

– Pomodliłem się przed mszą i przyszedł do mnie Jezus. To był jego głos.

Podobne historie działy się również z głosem kościelnym. Jak łatwo się domyślić, tym razem Dolindowi akompaniowała sama Matka Boża. Słyszał jej głos także podczas tzw. wewnętrznych lokucji. Gdy prosiła go, aby napisał o Niej książkę. Zrobił to.

► Korepetycje przed egzaminem

Pomimo szykan, fałszywych oskarżeń nieprzychylnych mu ludzi, a nawet jego własnych córek duchowych, nigdy nie zboczył z obranej mu przez Boga drogi. Mało tego. Gdy Święte Oficjum wydało zakaz sprawowania przez Dolinda najświętszej Eucharystii i utrzymywało ten zakaz przez 16 lat



i 6 miesięcy, nawet wówczas nie powiedział ani najmniejszej choćby skargi na swoich przełożonych. Ani na Kościół. Pokorny i cichy. Wierny sługa Boży. Posłuszny aż do końca.

Prawdopodobnie to właśnie dlatego Pan Jezus właśnie jemu dyktował swoje słowa adresowane do konkretnych ludzi. Kazał mu je zapisywać na niewielkich karteczkach z wizerunkami świętych na rewersie. Sam Dolindo nazywał je „imagnetette”. Pisał na nich bardzo konkretne wskazówki, a następnie rozdawał z pozoru przypadkowym słuchaczom jego kazań czy rekolekcji. Były tam polecenia pojednania się z teściową, oddania długu, a czasem nawet proroctwo śmierci bliskiej osoby. Prawie zawsze ludzie, którym Dolindo wręczył taką imagnetette, wracali do niego ze zdumieniem w oczach i bezradnym pytaniem: „Skąd wiedziałeś”? Poprzez tego typu wewnętrzną lokucję Dolindo usłyszał pewnego dnia niezwykle słowa. Dziś znane pod nazwą modlitwy „Jezu. Ty się tym zajmij”.

Jedyna żyjąca krewna księdza Dolinda siedzi na niewielkim krześle przy jego grobie i tłumaczy mi nieopisane w książce Joanny Bątkiewicz-Brozek fakty i historie. Pocziwa, elegancko ubrana, z pogodnymi oczyma. Widać, że chce, aby te historie poszły dalej. Jak choćby ta z dziećmi, które



W mieście pod Wezuwiuszem nadal niewiele wie, kim był niezwykły kapłan Dolindo. Dowiadują się dopiero teraz.

spanikowane przyszły do Dolinda, gdy czekał je trudny egzamin. Nie miały pewności, czy umieją wystarczająco dobrze. Dolindo tylko pogłaskał je po głowach, zwracając się do każdego swoim słynnym zawołaniem „mój ty aniołeczku”, by po chwili poprosić ich o podanie mu podręcznika. Wtedy otworzył konkretny rozdział i polecił nauczyć się go ze szczególną starannością. Następnego dnia okazało się, że pytania egzaminacyjne były przede wszystkim właśnie z materiału zawartego we wskazanym rozdziale. Jakby tego było mało, Dolindo na koniec wizytacji ustawił dzieci w rzędzie, mówiąc im dobrotliwie, ile kto dostanie punktów. Gdy ktoś zaprotestował na tak małą liczbę, Dolindo z pokornym uśmiechem odpowiedział tylko: „Ale co ja ci poradzę? Tak mi mówi Pan Jezus. Ja tylko wam powtarzam”. Rzecz jasna, wszystkie oceny sprawdziły się co do joty.

► Zdążyć przed półwieczem

Dziś 48. rocznica jego śmierci. Wszyscy zgromadzeni w kościele z pewnością marzą, aby przed 50. jubileuszem został wreszcie wyniesiony na ołtarze. Póki co bowiem nadal jest „tylko” sługą Bożym. Znając jego nienaganną pokorę i niespotykaną cierpliwość, uśmiecha się pewnie teraz z Nieba i pa-

trząc ufnie, szepcze: „Spokojnie, spokojnie, przyjdzie pora, spokojnie”.

Wierni jednak nie są tak cierpliwi. I może dobrze. Pora bowiem zawalczyć o tego wyjątkowego kapłana. Pełna rehabilitacja Dolinda nadal trwa. Nie wszystkie z jego dzieł, wpisanych niegdyś przez Święte Oficjum na Indeks ksiąg zakazanych, zostały upublicznione. A poprzez pielgrzymki do jego grobu już stało się bardzo dużo. Na rynek trafiają kolejne jego zapiski. Biskup wznawia proces beatyfikacyjny. A włoska telewizja rozrywkowa TV2000 robi bezpośrednią transmisję z porannej mszy i przeprowadza rozmowy na antenie z proboszczem oraz Graziellą Ruotolo. Coś drgnęło.

Główne uroczystości rozpoczną się o godzinie 17.30. Będzie Różaniec odmawiany przed Najświętszym Sakramentem. Będzie uroczysta msza święta. I będą oni. Włosi i Polacy. Tłumy kochających jego historię. Jego pokorę. Jego służbę. Jego niestandardową ewangelizację. Dla nich prawdopodobnie on już jest święty. I dobrze. Był już jeden taki, dla którego skandowane na placu św. Piotra słowa „santo subito” okazały się doskonałym proroctwem. Człowiek, którego pontyfikat przewidział zresztą także sam Dolindo. Zanim jeszcze ktokolwiek usłyszał o młodym kardynale z Krakowa. Ale to już inna historia. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Kambodża

Dwaj przywódcy Czerwonych Khmerów – 87-letni Khieu Samphan (był prezydentem Demokratycznej Kampuczy) i 92-letni Nuon Chea (główny ideolog komunistycznego reżimu) – zostali uznani przez Nadzwyczajną Izbę Sądu Kambodży (ECCC) za winnych ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości. Zbrodniarzy skazano na dożywocie, ponieważ w Kambodży nie ma kary śmierci.

Reżim Czerwonych Khmerów (1975–1979) to jedna z najkrwawszych tyranii komunistycznych w historii. Pochłonęła prawie 2 mln ofiar, przeważnie inteligentów, mnichów, „wrogów rewolucji” – oskarżanych na podstawie fałszywych lub wymuszonych zeznań. Główny sprawca tej tragedii, Pol Pot, uczeń Jean-Paula Sartre’a, umarł niesądzony. Na łóżu śmierci Pol Pot twierdził, że ma czyste sumienie, a o rządach Czerwonych Khmerów mówił: „Byliśmy jak dzieci uczące się chodzić”.

Proces czołowych członków reżimu Czerwonych Khmerów rozpoczął się w 2009 roku. Rok później ECCC skazał na 35 lat więzienia Kainga Guek Eava, alias „Ducha”. Wyrok zmieniono na 19 lat pozbawienia wolności, gdyż na poczet kary zaliczono jego wcześniejszy pobyt w więzieniu w latach 1999–2007. „Duch” to były nauczyciel matematyki. W latach 1975–1979 kierował niesławnym więzieniem Tuol Sleng (S-21). Wprowadzony przez niego system tortur miał zapewnić przyznanie się więźniów do wszystkich postawionych im zarzutów. Z 17 tys. przetrzymywanych w Tuol Sleng przeżyło tylko 12 osób.

Wyroku nie usłyszał inny przywódca Czerwonych Khmerów Ierng Sary. W 2013 roku zmarł w trakcie swojego procesu. Sary, tak jak Pol Pot,

studiował w Paryżu i był tam założycielem Koła Marksistowskiego Studentów Khmerskich, współpracującego z Francuską Partią Komunistyczną. W 1957 roku wrócił do Kambodży, gdzie początkowo pracował jako nauczyciel. Gdy Czerwoni Khmerzy przejęli władzę, został wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych. Po upadku reżimu Pol Pota uciekł do Tajlandii, kontynuował tam swoje zaangażowanie w działalność rządu khmerskiego na uchodźstwie. W sierpniu 1996 roku, w zamian za akt łaski udzielony mu przez króla Kambodży, odciął się od Czerwonych Khmerów i wrócił do kraju. Do momentu aresztowania w 2007 roku mieszkał z żoną w luksusowej willi w stolicy Phnom Penh.

► Hongkong

19 listopada rozpoczął się proces dziewięciu przywódców „rewolucji parasoli”, protestu z 2014 roku, w którym Hongkończycy żądali powszechnych i wolnych wyborów. Formalnie zarzuty naruszania porządku publicznego postawiono oskarżonym 27 marca 2017 roku, czyli dwa i pół roku po zakończeniu strajku, a proces zaczął się ponad półtora roku później. Jak zauważają komentatorzy, w całej tej sprawie pomija się odpowiedzialność policji, która w dniu rozpoczęcia protestu, 28 września 2014 roku, użyła gazów łzawiących. Władze Hongkongu i policja wzywane były do ustanowienia niezależnej komisji do zbadania ataków i wydarzeń podczas pierwszych dni rewolucji i przedstawienia danych dotyczących procesu decyzyjnego, który miał doprowadzić do użycia siły wobec protestujących. Jednak żaden z tych postulowanych kroków nie został podjęty. Oskarżeni przywódcy „rewolucji parasoli” nie przyznają się do winy.

Atmosfera w Hongkongu, który od 1997 roku stanowi specjalny region administracyjny Chińskiej Republiki Ludowej, jest niespokojna nie od dziś. W ostatnich latach jego mieszkańcy często wyrażali na ulicach swoje niezadowolenie z rządów komunistów. Te bowiem przyniosły korupcję na najwyższych szczeblach władzy, powiększając się koszty utrzymania, rosnącą (a niechcianą) emigrację do Hongkongu z Chin i ograniczenia swobód obywatelskich. Mieszkańcy Hongkongu domagają się powszechnych i wolnych wyborów szefa administracji regionu. Do tej pory był on wskazywany przez komitet elekcyjny, około 1200 osób związanych z takimi sferami jak biznes, przemysł, związki zawodowe, organizacje pozarządowe czy przedstawiciele organizacji religijnych. W rzeczywistości najsilniejsi w tej grupie byli magnaci biznesowi. Wskazany lider miał chronić ich interesy, ale przede wszystkim musiał być zaakceptowany przez Pekin. Władze Chin sugerowały, że powszechne i wolne wybory przywódcy Hongkongu mogłyby nastąpić w 2017 roku. Gdy więc we wrześniu 2014 roku Pekin ogłosił, że wybory będą, ale tylko spośród kandydatów zaakceptowanych przez komunistyczne władze ChRL, młodzi Hongkończycy rozpoczęli „rewolucję parasoli” – trwający ponad 80 dni zryw obywatelskiego nieposłuszeństwa. Władze ChRL nie ustąpiły i lidera Hongkongu w 2017 roku nie wybrano w powszechnych wyborach, lecz wskazał go komitet elekcyjny.

► Chiny–USA–Japonia–Tajwan

Według raportu przygotowanego dla Kongresu USA przez komisję ds. strategii obrony narodowej Stany Zjednoczone w niebezpiecznym stopniu straciły przewagę militarną i mogłyby potencjalnie przegrać wojnę z Chinami i Rosją. Dokument stwierdza, że Chiny i Rosja dążą do dominacji w swoich regionach oraz zwiększają możliwości militarnego wpływu na świecie, a „ich autorytarne rządy dążą do obrony ukierunkowanej wprost na Stany Zjednoczone”.

Raport mówi także o tym, że niekorzystny dla USA militarny balans na świecie podważył zaufanie amerykańskich sojuszników i zwiększył prawdopodobieństwo konfliktu zbrojnego. „Stany Zjednoczone mogą mieć problemy z wygraniem, a nawet mogą przegrać z Chinami lub Rosją. Szczególnie jeśli amerykańskie wojsko będzie zmuszone walczyć na dwóch lub więcej frontach” – czytamy w dokumencie.

Obecny budżet Stanów Zjednoczonych przewidyje, że na wojsko pójdzie 716 mld dolarów. To

cztery razy więcej niż przeznaczają Chiny oraz 10 razy więcej niż Rosja. Jednak autorzy raportu twierdzą, że środki te są niewystarczające i że w ciągu najbliższych dwóch lat Kongres musi podnieść limity budżetowe na wydatki obronne, które hamują zdolność wojska do planowania długofalowego.

Do tez zawartych w raporcie odniesiono się kilka dni po jego publikacji m.in. na panelu dyskusyjnym w konserwatywnym amerykańskim think tanku Hudson Institute, a poświęconym sytuacji w regionie Indo-Pacyfiku w obliczu konfliktu amerykańsko-chińskiego. Jednym z prelegentów panelu był Yoji Koda, były dowódca Japońskich Morskich Sił Samoobrony. Stwierdził on, że siły militarne Japonii i USA przewyższają siły militarne Chin. Dodał, że choć w ostatnim raporcie dla Kongresu wskazano, iż zaniedbania dotyczące amerykańskich zasobów wojskowych doprowadziły do osłabienia efektu odstraszania, a Chiny i Rosja rozszerzyły swoją potęgę militarną, w wyniku czego w razie wojny w Cieśninie Tajwańskiej lub na Morzu Bałtyckim armia amerykańska może stanąć w obliczu „niedopuszczalnie” ciężkich strat, a nawet porażki, to jednak on sam nie jest tak pesymistycznie nastawiony. Choć siła militarna Chin rzeczywiście się poprawiła, to ta amerykańska wciąż jest na wysokim poziomie i ma wsparcie ze strony Japonii i Australii oraz nowych sojuszników, takich jak Indie.

Japoński wojskowy dodał też, że w pierwszym łańcuchu wysp na zachodnim Pacyfiku kluczową rolę odgrywa Tajwan i dlatego Japonia i USA za wszelką cenę będą chronić wyspę. Strata Tajwanu oznaczałaby utratę pełnej kontroli nad regionem.

► Wietnam

Pod koniec października wietnamski parlament wybrał na prezydenta kraju sekretarza generalnego rządzącej partii komunistycznej Nguyena Phu Tronga. Trong, architekt prowadzonej w kraju walki z korupcją, będzie pełnił obie funkcje. Poprzednia głowa państwa – Tran Dai Quang należący do konserwatywnego skrzydła partii komunistycznej – zmarła 21 września w wieku 61 lat z powodu poważnej choroby.

Choć stanowisko prezydenta ma w Wietnamie przede wszystkim charakter ceremonialny, uważa się, że nominacja Tronga umocni jego wpływy w państwie. Mówi się także, że nowy prezydent będzie zabiegał o utrzymanie relacji z obydwojoma ważnymi partnerami gospodarczymi kraju – Chinami i USA – unikając jednoznacznego deklarowania się po którejś ze stron. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Żelazo i aksamit

W chwili gdy aktualny numer „Nowego Państwa” trafi do sprzedaży, w Hamburgu zapadnie decyzja o wyborze następcy lub następczyni Angeli Merkel. Jeżeli na czele CDU stanie Friedrich Merz, wzmocnieniu ulegnie konserwatywne skrzydło partii, jeżeli schedą po Merkel przypadnie Annegret Kramp-Karrenbauer, chadecy nie powinni zrewolucjonizować swojego kursu. Jens Spahn to wielka niewiadoma. W tym konserwatywnym liberalu z ogromnym apetytem na kanclerskie krzesło tkwi spory potencjał, to polityczny zwierz, ale jeszcze musi się wiele nauczyć, zanim przetłumaczy swój zapał i pomysły na język zwykłych Niemców. Tyle na temat niepewnej jeszcze przyszłości. A co z przeszłością? Co zostawia po sobie Merkel?

Zdaniem profesora Herfrieda Münklera, politologa związanego z Humboldt-Universität, Niemcy szybciej niż im się wydaje zateśknią za Merkel i z rozrzewnieniem będą wspominać ją nie tylko jako kanclerz dobrze prosperującego państwa, lecz także jako polityka, który podniósł rangę Niemiec w Europie. W felietonie napisanym dla „Neue Zürcher Zeitung” Münkler analizuje taktykę Merkel w polityce wewnętrznej i międzynarodowej. Tam, gdzie przez ostatnie lata tak wielu ekspertów dopatrywało się jej słabości, profesor widzi same zalety.

► Powściągliwość to jej drugie imię?

Na przykład mityczną już skrytość Merkel, jej rozważę przechodzącą w osobiwą opieszałość w relacjach z innymi odczytuje Münkler jako czynniki, dzięki którym Niemcy zdołały po zjednoczeniu umocnić swoją pozycję w Europie. To rzekomy amalgam kobiecego pierwiastka i powściągliwości w forsowaniu przewodniej roli Niemiec miały zadecydować o sukcesie Berlina pod rządami pierwszej kanclerz-kobiety. Można oczywiście polemizować z Münklerem co do tego, czy Merkel

faktycznie unikała forsowania przewodniej roli Niemiec, ta teoria brzmi naiwnie, nieprawdźwie i nawet wśród niemieckich historyków i ekspertów nie brakuje głosów, że powojenne Niemcy wcale nie przestały dążyć do dominacji na Starym Kontynencie, jedynie, co się w tej materii zmieniło, to metody i hasło przewodnie tych starań (uparcie będę polecać wydaną w połowie 2018 roku książkę Josefa Joffe o „Dobrym Niemcu”). Styl rządzenia Merkel, tak różny od tego reprezentowanego przez jej poprzedników zarówno w Kanzleramcie, jak i kierownictwie CDU, zdaje się wedle teorii Münklera być najważniejszym jej atutem. Jakoś trudno do końca się z tym zgodzić. Nawet jeżeli „pierwiastek kobiecy” stał się z nastaniem ery Merkel podstawą nowej, niemieckiej politycznej soft power w kontaktach z otaczającym Niemcy europejskim mikrokosmosem, to przy całym szacunku dla kanclerz Niemiec trudno ją uznać za wyjątkowo czarującą damę, na której widok miękną kolana francuskich czy brytyjskich polityków. Merkel nie kokiecowała, tylko umiejętnie prowadziła swoją własną grę, a kolana nie mięknęły pod ciężarem jej wdzięku, lecz władzy. Angela Merkel jako mistrzyni „Monopoly” z hotelami, domkami i parcelami wszędzie tam, gdzie postanowiła je postawić. To nie jest żaden „pierwiastek kobiecy”, lecz bardzo konsekwentna polityka. Ciekawe, czy następny kanclerz Niemiec będzie choć w połowie tak precyzyjnie ukierunkowany na cel, jak Pani M.

► Coś ze Sfinksu

Generalnie motyw zależności między cechami charakteru kanclerz Niemiec a jej decyzjami politycznymi od kilkunastu lat są przedmiotem dociekań i analiz publicystów i biografów. Jeszcze zanim ukazała się jedna z najciekawszych poświęconych jej publikacji „Pierwsze życie Angeli M.”, autorstwa Ralfa Georga Reutha i Günthera Lachmanna (2013), nieżyjący już prof. Gerd Langguth, autor popularnej biografii kanclerz wydanej w 2005 roku, sam stwierdził, że Merkel „ma w sobie coś ze Sfinksu”. Słowa te padły z ust człowieka, który poznał Merkel jeszcze u progu jej politycznej ścieżki, gdy w rządzie Lothara de Maizièr pełniła funkcję zastępcy rzecznika prasowego. Langguth sam był członkiem CDU i miał dobre rozeznanie, co dzieje się na zapleczu partii, kto aktualnie jest namaszcany na wodza, a komu wkrótce zabije dzwon. W kwestii Merkel Langguth nie miał wątpliwości. Dla niego była „enerdowską bojowniczką o wolność”, zdolną do rządzenia zjednoczonymi Niemcami. W 2005 roku Langguth przestrzegał nawet Gerharda Schrödera przed lekceważeniem rywalki, która już wtedy miała na swoim koncie kilka politycznych skalpów – od Lothara de Maizièr przez Günthera Krause, Wolfganga Schäubego aż po Helmuta Kohla. Każdy z nich utorował dziewczynie z Templina drogę do poli-

tycznego awansu, za tę pomoc płacili często własną degradacją, sam Kohl zapłacił upadkiem. Teraz kolej na Merkel. Tyle że ona nie zamierza upadać z takim hukiem jak jej poprzednik. Nie chce kończyć w atmosferze pogardy, sama wybierze sobie napisy w scenie końcowej. Przy całym szacunku dla sprytu Helmuta Kohla, jego dziewczynka mentalnie przerasta o go o dwie głowy. I tutaj dochodzimy do kolejnego wniosku Münklera dotyczącego działań i natury Merkel. Profesor stwierdza, że szefowa CDU „kreowała swoją politykę na słabszą, niż była ona nią w rzeczywistości. Fakt, że Merkel zrezygnowała z postawy świadczącej o determinacji w forsowaniu swojej woli, wcale nie oznacza, że nie stawiała na swoim. Zrobiła to, tyle że bez demonstracyjnej pozy, co od początku stępiało [ewentualny] sprzeciw. Niemieckie przywództwo pod postacią europejskiego budowania kompromisów – za czasów poprzedników Merkel nie było inaczej, ale jednak [pod jej rządami] przebiegało to bardziej aksamitnie i jednocześnie o wiele silniej decydowało o polityce europejskiej” – pisze politolog, obalając jednocześnie własną początkową tezę o „powściągliwości Merkel w forsowaniu przewodniej roli Niemiec” w Europie. Władza otulona aksamitem – tak można by streścić wnioski z artykułu. A przy okazji zastanowić się nad „demonstracyjnymi pozami” niektórych polityków i tym, dokąd taka ekspresja może jej fana zaprowadzić. Martin Schulz mógłby chyba niejedno na ten temat powiedzieć, ale nie tylko on. Następnymi w kolejce to Emmanuel Macron, Guy Verhofstadt i inni, którym dramaturgia często myli się z polityką.

► O jeden dzień dłużej

„Angela Merkel zostanie na czwartą kadencję i będzie rządzić równie długo jak prezydenci na kontynencie afrykańskim, czyli dożywotnio. W demokracji nie powinno być miejsca na takie sytuacje. W Stanach Zjednoczonych na przykład prezydent może sprawować swój urząd przez dwie kadencje i na tym koniec. Dlatego nie jestem fanem niemieckiej pseudodemokracji. Żyłem w Afryce i zapewniam panią, że nie widzę różnicy między Angielą Merkel a politykami afrykańskimi” – mówił w styczniu 2017 roku na łamach „Nowego Państwa” prof. Bassam Tibi, ekspert ds. islamu i Bliskiego Wschodu.

Nawet jeżeli profesor Tibi nie trafił do końca w punkt, prognozując dożywotnie rządy Merkel, można chyba założyć, że jej spuścizna, pewnego rodzaju testament polityczny posłuży kolejnym kanclerzom za wzór i za przestrożę. Bismarcka już dawno nie ma, a jednak jego duch nawiedza zjednoczone Niemcy, z Merkel będzie podobnie. W sumie jakby rządziła dożywotnio i o jeden dzień dłużej. ■

Hanna Shen



W co gra prezydent Korei Południowej

Lewicowy prezydent Korei Południowej Moon Jae-in chce szybkiego zjednoczenia z Koreą Północną. Najpierw zapowiada jednak wprowadzenie połączeń transportowych między oboma krajami.

Warunek normalizacji relacji z Pjongjangiem stawiany przez Waszyngton, czyli denuklearyzacja, nie wydaje się priorytetem dla południowokoreańskiego przywódcy. Pojawiają się obawy, że Moon Jae-in idzie na zbyt duże ustępstwa wobec Pjongjangu, a nawet że po prostu tańczy tak, jak mu zagra komunistyczny przywódca KRLD Kim Dzong Un.



Gdy we wrześniu tego roku prezydent Korei Płd. Moon Jae-in przybył do Pjongjangu, na ulicach stolicy Korei Płn. przywitało go ponad 100 tys. osób wymachujących flagami KRLD i flagami zjednoczenia*. Jak zauważyła Tara O z amerykańskiego think tanku Pacific Forum, to, co rzuciło się w oczy, to brak flag Korei Południowej. „Może mieszkańcy Korei Południowej pocieszali się, widząc, jak Lee Jae-yong z firmy Samsunga miał wpiętą flagę Korei Południowej w klapę marynarki, będąc w Korei Północnej. Nikt z administracji Moona tego nie zrobił” – komentowała Tara O w wypowiedzi dla Gatestone Institute.

► Poprawianie wizerunku Korei Płn.

Gordon G. Chang, amerykański prawnik, często występujący jako ekspert do spraw Chin i Korei Płn., w programach stacji Fox News Channel, Fox Business Network, CNN i Bloomberg TV w kilku swoich ostatnich artykułach i wystąpieniach telewizyjnych podkreśla, że głównym celem prezydenta Moona jest zjednoczenie obu Korei i jest gotowy na duże ustępstwa wobec przywódcy Korei Płn., by do tego doprowadzić. Chang zwraca uwagę, że nawet podręczniki szkolne w Korei Płd. są już tak zmieniane, by były łatwiejsze do strawienia dla komunistów z Północy. Do tej pory szkolne materiały stwierdzały, że władze w Seulu to „jedyne legalny rząd na Półwyspie Koreańskim”. Ten zapis południowokoreańskie Ministerstwo Edukacji już usunęło.

W artykule pt. „Czy Korea Północna przejmie Koreę Południową?”, jaki ukazał się na stronie internetowej amerykańskiego think tanku Gatestone Institute, Gordon G. Chang pisze, że prezydent Korei Płd. zaczyna już nawet ograniczać wolność wypowiedzi w swoim kraju m.in. po to, by stworzyć bardziej przyjazny wizerunek komunistycznej Korei Płn. wśród swoich rodaków. Rząd Moona w ostatnich miesiącach przejął kontrolę nad kilkoma mediami, m.in. Munhwa Broadcasting Corporation (MBC). W kontrolowanych przez rząd mediach ograniczane są poglądy odmienne od tych reprezentowanych przez jej władzę i promowana jest Korea Północna. Chang podał przykład amerykańskiego eksperta, który w czasie wizyty w Korei Płd. został ostrzeżony, by w mediach finansowanych przez państwo nie krytykował stosunku i polityki prezydenta Moona w odniesieniu do Korei Płn.

Wiadomo także, że południowokoreański rząd Moona stara się wpływać na uciekinierów z Korei Płn., by „prezentowali bardziej przyjazny wizerunek” KRLD. W wypowiedzi dla hongkońskiej gazety „South China Morning Post”

jeden z uciekinierów prowadzący w Korei Płd. wykłady na temat społeczeństwa Korei Płn. przyznał, że otrzymał instrukcję od swoich przełożonych, by nie nazywać KRLD „reżimem atomowym”.

► Komunistyczni propagandyści mają się dobrze

Tymczasem radykalne siły popierające komunistyczny reżim w Korei Płn. za Moona czują się bezkarne. Nie było tak jeszcze w niedalekiej przeszłości. W 2014 roku za rządów konserwatystów w Korei Płd. głośna była sprawa rozwiązania przez sąd konstytucyjny małej lewicowej partii politycznej, której zarzucano propółnocnokoreańskie sympatie. Według sądu Zjednoczona Partia Postępowa (UPP), mająca nawet deputowanych w parlamencie południowokoreańskim, miała na celu wywołanie powstania i obalenie rządu Korei Płd. w razie wojny na Półwyspie Koreańskim.

Po dojściu lewicowego Moon Jae-ina do władzy radykalne siły popierające reżim północnokoreański bardzo się uaktywniły. Na portalach społecznościowych można zobaczyć filmiki z ich demonstracji, na których uciekinierów z Korei Płn. nazywają szumowiną, która nie chciała żyć w KRLD. Na jednym z takich protestów w sierpniu tego roku pokazano zdjęcia dwóch zbiegów i wezwano lokalną społeczność, by ujawnić ich miejsce przebywania. W ten sposób uciekinierzy mogliby się stać łatwym celem zabójców wysłanych z Pjongjangu.

► Mniejsza armia i lewacy doradcy

Wielu ekspertów podkreśla, że mimo zapewnień Kim Dzong Una wobec Trumpa i Moon Jea-ina, iż Korea Północna doprowadzi do denuklearyzacji, to zagrożenie dla Seulu ze strony Pjongjangu jest nadal ogromne. Tymczasem Moon wydaje się je ignorować i na przykład zmniejsza swoje siły wojskowe. W lipcu tego roku władze w Seulu zapowiedziały, że skrócona zostanie obowiązkowa służba wojskowa – w marynarce wojennej z 23 miesięcy do 20, a w lotnictwie z 24 do 22.

W połowie listopada natomiast obie Koree rozpoczęły likwidowanie po 10 strażnic po każdej stronie w części strefy zdemilitaryzowanej dzielącej oba kraje formalnie wciąż pozostające w stanie wojny. Był to jeden z punktów porozumienia zawartego 19 września między Kim Dzong Unem a Moon Jea-inem. Obaj przywódcy twierdzili, że jest to krok, który ma doprowadzić do osłabienia napięcia w rejonie przygranicznym. Wcześniej z likwidowanych posterunków wycofano żołnierzy i sprzęt. Umowa Pjongjangu z Seulem przewiduje, że w rejonie, którego dotyczy operacja, pozostaną tylko dwie placówki graniczne – północnokoreańska i południowokoreańska – obie jednak zdemilitaryzowane. Kilka tygodni przed tym wycofano wojsko z granicznego Panmundzomu, czyli jedynego

* Flaga zjednoczenia – flaga używana do tej pory przez oba państwa koreańskie w trakcie niektórych zawodów sportowych. Nie ma ona statusu flagi urzędowej w żadnym z obu państw koreańskich.

miejsca na 250-kilometrowej granicy, gdzie żołnierze obu krajów stali twarzą w twarz. Po zniknięciu stamtąd broni palnej i posterunków wartowniczych Panmundżom obsadzony został przez 35 pracowników cywilnych po każdej ze stron granicy.

Konserwatyści południowokoreańscy krytykują tę demilitaryzację granicy, twierdząc, że sprawia ona, iż Korea Południowa jest bardziej narażona na atak Pjongjangu, a postępów w procesie denuklearyzacji, którą zapowiadał Kim Dzong Un, nie widać. Wielu południowokoreańskich pravicowców niepokoją też doradcy Moon Jae-ina. Są wśród nich osoby, które jako członkowie tak zwanych grup juchesasangpa popierały doktrynę Dżucze** sformułowaną przez przywódcę Korei Północnej Kim Ir Sena. Jednym z najbardziej lewackich polityków wokół Moona jest szef jego Kancelarii Prezydenckiej Im Jong-seok. W przeszłości był radykalnym działaczem studentkim, ostro krytykującym USA. W 1989 roku Im został oskarżony o pomoc jednemu ze studentów w odbyciu tajnej, nielegalnej podróży do Korei Płn. Jej celem było spotkanie z ówczesnym dyktatorem Kim Ir Senem, wykorzystane następnie propagandowo przez Pjongjang. Dziś to właśnie Im Jong-seok jest określanym jako główny projektant odwilży z Koreą Północną.

► Denuklearyzacja to nie priorytet

Administracja Donald Trumpa jako warunek dalszej współpracy z Koreą Płn. i zniesienia sankcji stawia denuklearyzację. O tym mówił podpisany przez Kim Dzong Una i prezydenta USA dokument na historycznym szczycie w Singapurze w czerwcu tego roku.

Kim coraz częściej jednak podkreśla, że denuklearyzacja to proces, który będzie postępować krok po kroku. Takie stanowisko zupełnie odpowiada też Moon Jae-inowi. Dla niego denuklearyzacja to problem, który powinna bezpośrednio w rozmowach z Kimem załatwić administracja Trumpa. Dla prezydenta Korei Płd. nie jest to priorytetem i stawia on na zacieśnianie relacji gospodarczych z Koreą Płn., mimo że sojusznik, Waszyngton, mówi, iż zniesienie sankcji, pomoc i współpraca gospodarcza możliwe są tylko wtedy, gdy nastąpi pełna denuklearyzacja Korei Płn.

Moon Jae-in chce jak najszybciej udzielić i doprowadzić do integracji głównej linii kolejowej łączącej Seul z Pjongjangiem i Sinuiju na granicy Korei Północnej z Chinami. Linie tę zbudowali na początku XX wieku Japończycy. Połączenie zostało przerwane podczas wojny koreańskiej w latach 1950–1953. Od czasu zawieszenia broni z 1953 roku oba państwa koreańskie

nie są połączone żadną linią kolejową. W sierpniu tego roku miało dojść do inspekcji torów z Korei Płd. do Korei Płn. Wtedy do gry wkroczyli jednak Amerykanie. Generał stojący na czele amerykańskich sił na Półwyspie Koreańskim i zarazem głównodowodzący stacjonujących tam sił ONZ zablokował inspekcję torów i w ten sposób na razie wstrzymano prace nad realizacją planu ustanowienia połączeń kolejowych między oboma państwami koreańskimi i resztą Azji Wschodniej. Waszyngton stoi na stanowisku, że dopóki Kim Dzong Un nie odda swojego arsenału nuklearnego, ten projekt Moon Jae-ina musi być zawieszony.

Z planów, które udało się południowokoreańskiemu przywódcy zrealizować wbrew ustaleniom z USA, było otwarcie w specjalnej strefie ekonomicznej w Kaesongna na terytorium Korei Płn. biura łącznikowego obu państw koreańskich, w którym pracować ma na stałe około 40 urzędników. Ustanowienie biura to naruszenie sankcji USA nałożonych na Pjongjang, podobnie jak dostawa prądu przez Seul do strefy ekonomicznej.

► Denuklearyzacji nie widać

Opublikowany 12 listopada tego roku raport amerykańskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) pokazuje, że gotowość Kim Dzong Una do denuklearyzacji to na razie raczej tylko deklaracje. Dokument opierający się na źródłach wywiadowczych z kilku krajów, zeznaniach północnokoreańskich dezertów i zdjęciach satelitarnych stwierdza, że Korea Płn. ma co najmniej 13 ukrytych baz nuklearnych, które nadal funkcjonują. Victor Cha, dyrektor programu Parallel Cell, który stworzył raport, twierdzi, że choć w materiale wymieniono 13 baz, to możliwe, iż naprawdę jest ich 20, a jedna z nich znajduje się niespełna 150 kilometrów od Seulu.

Także w połowie listopada ukazała się wiadomość, że Akademia Nauk Obrony Narodowej Korei Północnej przeprowadziła pod obserwacją Kim Dzong Una testy nowej broni. Nie podano jednak żadnych szczegółów. Stany Zjednoczone są przekonane, że testowana przez Koreę Płn. broń nie należała do arsenału atomowego, a rzecznik Departamentu Stanu USA mówi, iż USA liczy na dotrzymanie dotychczasowych obietnic między Pjongjangiem a Waszyngtonem. Jednak w USA coraz częściej pojawiają się głosy, że Kim Dzong Un wyprowadza Trumpa w pole, i to dzięki wspólnej grze z Moon Jae-inem. Gra we wspólnej drużynie przywódców obu Korei to zwiększone zagrożenie dla wolnej i demokratycznej Korei Płd.

Tara O z Pacific Forum twierdzi, że podczas gdy Moon godzi się na redukcję zdolności obronnych Seulu, Kim Dzong Un wcale nie ma na myśli pokoju, bo każe swoim obywatelom mobilizować się na czas wojny, i na przykład po pracy obywatele Korei Płn. mają zgłaszać się do ośrodków szkoleniowych na trening na wypadek wojny...

** Dżucze – koreańska wersja marksizmu-leninizmu, która ma podkreślać samodzielność i suwerenność Korei Płn., zwłaszcza w takich dziedzinach, jak polityka wewnętrzna i zagraniczna, obronność i gospodarka; idee Dżucze wprowadzone w życie sprawiły, że KRLD stała się państwem odizolowanym od świata, o autarkicznej, niewydolnej gospodarce, skazanym na międzynarodową pomoc humanitarną.



Tomasz Sakiewicz

Dlaczego Rosja jest coraz bardziej agresywna

Od dziesięciu lat Rosja jest największym agresorem na świecie. Ludobójstwo w Czeczeni można było jeszcze ocenić jako próbę utrzymania zważności Federacji Rosyjskiej. Dokonano tego dzięki trwającej już kilkanaście lat okupacji, ale przede wszystkim poprzez przerażającą masakrę. Jednak najazd na suwerenne państwa takie jak Gruzja czy Ukraina, udział w masakrze w Syrii pokazują, że Kreml wchodzi w fazę rosnącego konfliktu, którego celem podstawowym jest powstrzymanie cywilizacji zachodniej przed ekspansją na tereny byłego ZSRS. Trzeba tu dodać, że jest to ekspansja pokojowa i wywołana wolą narodów zamieszkujących wyzwalać się spod rosyjskiego ucisku państwa. Interwencja militarna była

Nie jest to ostatnio jedyna porażka Kremla. Coraz większe problemy ekonomiczne doprowadziły do trwałego pogorszenia warunków życia Rosjan. Podwyższono wiek emerytalny do 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn. Wprawdzie w Polsce do takich poziomów właśnie wiek emerytalny obniżono, ale trzeba pamiętać, że ludzie w Rosji, szczególnie mężczyźni, żyją o wiele krócej niż w Polsce. Niższy wiek emerytalny był jednym z niewielu przywilejów, którymi Rosja przeważała nad Zachodem.

To jednak nie koniec upokorzeń Moskwy i to mających bardzo konkretnym wymiar. Załamuje się rosyjski program kosmiczny. Ewidentnym dowodem

PUTIN PODEJMUJĄC KOLEJNE KROKI MILITARNE, ODZYSKUJE POPARCIE CZĘŚCI
SPOŁECZEŃSTWA, ALE PAKUJE ROSJĘ W JESZCZE WIĘKSZE KŁOPOTY. TAKIE, KTÓRE
ZWYKŁYCH OBYWATELI WKRÓTCE NAPRAWDĘ ZMĘCZĄ.

dla Rosji w tej walce jedynie wsparciem. Używano przede wszystkim rozbudowanej agentury, zależności ekonomicznych, przede wszystkim energetycznych, a także resentymentów części społeczeństw zrażonych wolnym postępem ekonomicznym. Ważną i niedocenioną bronią jest rozgrywanie waśni narodowych. Między na przykład Osetyjczykami a Gruzinami. Ormianami a Azerami, Polakami a Ukraińcami itd. Jednak widać wyraźnie, że ten arsenał środków się kończy.

Rosja ani nie doprowadziła do rozpadu Ukrainy, ani nie zmieniła jej wektorów politycznych. W ostatnich miesiącach przeżyła jeszcze sporo prestiżowych porażek. Jedną z nich jest oderwanie się Cerkwi kijowskiej od Moskwy. To spycha patriarchat moskiewski do roli Kościoła lokalnego, a należy pamiętać, że rosyjskie prawosławie jest mniejsze niż ukraińskie. Odbudowa jednej Rusi, z jedną dominującą religią, była podstawowym celem rosyjskich carów tworzących wschodnie imperium. Oderwanie się Ukrainy razem z prawosławiem może bezpowrotnie odwrócić ten proces.

na to są kolejne katastrofy. Pomijając już fakt, że największy rosyjski kosmodrom znalazł się po rozpadzie ZSRS na terenie Kazachstanu, który coraz mocniej aspiruje do wyjścia z rosyjskich wpływów.

Kreml niezwykle dotkliwie odczuł amerykańskie sankcje. Szczególnie boli objęcie nimi papierów dłużnych. To nie tylko ogranicza inwestycje, lecz także sprawia kłopoty ze zdobyciem środków na bieżące wydatki.

Co więc Putinowi zostaje? Kolejne postępy na Ukrainie. Tylko że Ukraina jest już dzisiaj trochę inna niż pięć lat temu. Ma kontrolowaną przez siebie armię. Wprawdzie o wiele słabszą niż rosyjska, ale jednak zdolną do walki.

Putin podejmując kolejne kroki militarne, odzyskuje poparcie części społeczeństwa, ale pakuje Rosję w jeszcze większe kłopoty. Takie, które zwykłych obywateli wkrótce naprawdę zmęczą. Nawet jeśli nie wywołają buntu, to spowodują depresję ekonomiczną i demograficzną. ■

Świąteczne promocje! Telewizja na start 6 miesięcy bez opłat!

